



Linda Lenhoff



Modne życie

Rozdział pierwszy

Kocham szczura

Kiedy leje bez przerwy, jak dziś, snuję się czasem wzdłuż i wszerz mieszkania po wymagowanych ścieżkach, aż natykam się na przybrudzoną biel ściany. Wtedy zawracam i odkrywam nową ścieżkę, która wiedzie mnie prędzej czy później do okna, gdzie deszcz bębni po szybach, jak paznokcie po biurku. Patrząc na ulicę, rozglądając się za czymś nieznanym, ale wszystko jest zawsze takie samo - nawet fioletowo-czerwone flagi na restauracji po drugiej stronie wciąż tam wiszą, smutne i ociekające wodą. Deszcz zaczyna przesączać się na parapety ciemnymi, sadzastymi smugami. Jakby mało było pięciodniowej ulewy, teraz jeszcze będę musiała wziąć się za szorowanie.

Skończyłam swoje ćwiczenia na dzisiaj, które polegały na zejściu na dół po pocztę. Naprawdę staram się robić prawidłowe wdechy i wydechy, i podnosić wysoko kolana, kiedy wchodzę na czwarte piętro. Stos listów jest wysoki na piętnaście centymetrów i może uda mi się przejrzeć je nawet przez parę godzin, jeśli prośby o datki będą naprawdę szczegółowo umotywowane. Nie mówiąc już o czasie spędzonym na deliberowaniu, co z tej makulatury nadaje się do powtórnego przetworzenia. W ten właśnie sposób wypełniam sobie sobotnie przedpołudnia.

Od jakiegoś czasu próbuję uszyć nowe zasłony w biało-niebieskie pasy. Chociaż „nowe” to może źle powiedziane, skoro nie mam starych zasłon, tylko niezbyt czyste białe żaluzje. Używam wiekowego singera matki, który zapewne działałby jeszcze całkiem nieźle, gdybym miała blade pojęcie o szyciu. Moim zdaniem jednak to głównie wina piorunów, że maszyna szyje krzywo.

Kiedy dzwoni telefon, liczę do pięciu, by nie wyglądało na to, że chwytam słuchawkę zbyt gorliwie.

- Dzień dobry, Holly kochanie. Jesteś zajęta? - To moja matka.

- Cześć, mamoo... nie - mówię, jak zawsze.

Wyciągam materiał spod igły. W paru miejscach przyszył się sam do siebie.

- Dzwonię, żeby cię namówić na lunch ze mną i twoją siostrą - oświadcza i wydaje mi się, że słyszę w tle pilowanie paznokci. - Ja stawiam - dodaje, jakby machała mi nad głową batonikiem czekoladowym. Skoro już o tym mowa, to chętnie zjadłabym w tej chwili batonik czekoladowy.

Odwracam się do mojego stosu poczty i zaczynam otwierać koperty. Dobrze jest czymś się zająć, kiedy się rozmawia z matką. Nie mówi się wtedy żadnej z tych mniej przyjemnych rzeczy, które mogły przyjść człowiekowi do głowy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie żeby nasze stosunki były złe, ale czasem czuję, że najlepiej być nieco zaprzątniętym innymi sprawami, gdy ma się do czynienia z rodziną.

- Miałam zamiar zostać w domu i coś niecoś tu porobić - odpowiadam nie do końca kłamliwie.

- Cóż, z pewnością nie zaszkodziłoby, gdybyś trochę posprzątała. Co to za dźwięk?

- Otwieram tygodniową porcję poczty reklamowej. Wygląda na to, że mogę wygrać jakieś dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów z puli rozmaitych nagród.

- To by było naprawdę miło, kochanie. Mogłabyś kupić sobie nową sukienkę na specjalne okazyje, jak lunch z twoją matką i siostrą.

Teraz mam wrażenie, że słyszę, jak potrząsa buteleczką z lakierem, a ta mała kuleczka w środku obija się o szkło. Matka z równym uporem własnoręcznie maluje paznokcie, z jakim ja je obgryzam.

- No cóż... - mówię - na razie musicie się pogodzić z moim zwykłym, niechlujnym wyglądem. Przynajmniej dopóki Ed McMahon nie zaprosi mnie do swojego programu telewizyjnego.

- Naprawdę uważam, że powinnaś zjeść z nami lunch, choćby po to, żeby twoja siostra miała się przed kim pochwalić swoimi zaręczynami. Jeśli my jej nie wysłuchamy, będzie tym zanudzać obcych ludzi.

Matka ma rację, oczywiście.

- Sama nie wiem... - waham się. - Musiałam już wysłuchać pięciu innych historii zaręczynowych. Niech teraz opowie to komuś obcemu. Po to mamy metro.

Wyciągam ze stosu poczty dużą wyściełaną kopertę i potrząsam nią z nadzieją, że zawiera coś wspaniałego, co zamówiłam z katalogu i o czym na śmierć zapomniałam. Coś, co już jest zapłacone. W środku znajduję korkociąg, bez żadnego liściku ani rachunku.

- Przy okazji, mam, nie wysyłałaś mi ostatnio jakichś przyborów kuchennych?

- Nie, dlaczego, czy jest coś, czego potrzebujesz?

Mama potrafi czasem być taka słodka.

- Nie, ale natknęłam się na dość niespodziewany przedmiot...

- W twojej kuchni, coś podobnego! - pokpiwa. - À propos, chciałam ci powiedzieć, że mamy w planach zabrać cię dzisiaj również na kolację.

- Na kolację... rany... chyba...

- Ronny i ja idziemy do tej małej francuskiej restauracyjki w Village, niedaleko ciebie, i udało nam się dostać stolik na trzy osoby. Bardzo trudno zdobyć tam rezerwację, to prawdziwa okazja!

Matka zaczęła się niedawno spotykać, albo przynajmniej jadać kolacje, z bardzo wysokim, szpakowatym facetem, do którego każe mi się zwracać per Ronny. Moim zdaniem Ronny to imię dobre dla trzylatka. Tak czy siak, cieszę się, że mama z kimś się spotyka - i je - ostatnimi czasy. Ojciec opuścił nas trzy lata temu i zamieszkał w Teksasie z Sophie, swoją daleką kuzynką, jakąś dziesiątą wodą po kisielu. Zaczęli rozmawiać na zjeździe rodzinnym i od tej pory są ze sobą. Żadna z nas nie lubi o tym mówić.

Wymawiam się jednak od pójścia na kolację. Ronny, jak wiem, lubi nadziać rybę na widelec i podnieść ją do góry z okrzykiem: „Mam cię!” Zdaje się, że jest zapalonym wędkarzem.

- Przykro mi, mam, ale jestem dziś wieczorem zajęta. - Tym razem to wierutne kłamstwo.

- Ach tak? Masz może randkę? To nie mój interes, ale przed nami sobotni wieczór. Pora, kiedy miliony młodych ludzi umawiają się na randki. Przynajmniej tak słyszałam.

- Mam wrażenie, że to tylko niecne plotki rozsiewane przez kobiece magazyny i producentów pasty do zębów - mówię. - Jestem pewna, że większość z nas ma zbyt wiele zajęć, żeby umawiać się w sobotnie wieczory, choćby przeglądanie tych magazynów i reklam past do zębów.

- A więc będziesz siedzieć sama w domu. I jeść zimne resztki przed telewizorem.

Prawdę mówiąc, nie mam już żadnych resztek.

- Nie, nie - zaprzeczam - zjem porządny, gorący posiłek. - Popatrz, właśnie wyjmuję coś z zamrażarki.

W nagłym odruchu uczciwości przemierzam się do maleńkiej kuchni i otwieram zamrażarkę, która jest zarośnięta wielką, solidną bryłą lodu. Mimo woli wydaję cichy jęk.

- Co to było? - pyta mama. - Aż boję się myśleć, co tam znajdziesz. Nie powinnaś jeść nic, co ma więcej niż pięć lat, moja droga. - Wydaje mi się, że słyszę jej chichot.

Niewiele myśląc, chwytam mój nowo otrzymany korkociąg i zaczynam odłupywać nim lód. W końcu, gdzieś tam z tyłu, mogła przechować się paczka lodów czekoladowych.

- To już wszystko, mam? Czy mam potrzymać jeszcze słuchawkę przy uchu, żebyś mogła mi trochę podokuczać?

- Chciałam ci jeszcze przypomnieć, żebyś była miła dla swojej siostry, kiedy się z nią zobaczysz, na przykład na lunchu, jeśli zdecydujesz się przyjść.

- Zadzwoiłaś już do kelnera i poprosiłaś, żeby też był miły? A co z kierownikiem sali?

- To będą moje dwa następne telefony - mówi mama.

Biorę szeroki rozmach i odłupuję kawał lodu. Niestety, walę też w rurkę z freonem.

- Co tam tak syczy, kochanie?

Matka usłyszała kiedyś tykanie mojego zegarka, kiedy siedziałam trzy osoby dalej przy grze w monopol. Spytała, czy nie mogłabym go jakoś ściszyć.

- Syczy? - dziwię się. - To pewno jakieś szmery na linii. Przez deszcz. Dzięki za zaproszenie, mam.

- Od czego są matki? To na razie - żegna się. - Weź płaszcz.

Zatraskuję drzwi zamrażarki i kawałek lodu wpada mi w skarpetkę.

Po przyszyciu sobie zasłony do szlafroka decyduję się iść na lunch. Przynajmniej tyle się matce należy.

Knajpka jest w sąsiedztwie, niedaleko, mojego domu, i kiedy wchodzę, wdycham z lubością zapach gorących zup i duszonych potraw dochodzący z kuchni. Młoda kobieta o przesadnie umalowanych ustach prowadzi mnie do stolika, gdzie czeka moja siostra Janie, przeglądając pismo „Panna

młoda". Naprawdę kocham moją młodszą siostrę. Janie ma obecnie dwadzieścia sześć lat, co przy moich niemal trzydziestu jeden daje między nami pięć lat różnicy. Siedzi tam, z pochyloną ciemnoblonde głową a łagodne, niezbyt mocno skręcone loki opadają jej wdzięcznie na ramiona, jak to bywa u młodszych sióstr o idealnych włosach. Moje własne włosy, brązowe i cienkie jak u niemowlaka, nie chcą się kręcić ani łagodnie, ani w żaden inny sposób, chociaż w ten deszczowy dzień każdy kosmyk sterczy w inną stronę. Jej widok przypomina mi, że często mam ochotę chwycić ją za pasemko nad lewym uchem i pociągnąć wokół pokoju tym czułym, a jednocześnie władczym gestem, jaki pamiętam z dzieciństwa.

Janie podnosi wzrok.

- Holly, jestem zaręczona! - oznajmia, machając mi lewą ręką przed nosem.

Pierścionek jest naprawdę duży, nawet jak na standardy Janie. A ona ma swoje standardy, zważywszy na fakt, że była już zaręczona pięciokrotnie. Niewątpliwie musiała wykupić długoterminową prenumeratę „Panny młodej”.

Janie jest ważną figurą w śródmiejskiej galerii sztuki, gdzie wystawia się dzieła zrobione ze szkła. Wielkie rzeźby o nieokreślonej formie, które wydają mi się niebezpiecznie kruche. Muszę przyznać, że podziwiam łatwość, z jaką Janie biega wokół nich na wysokich obcasach. Na wernisażach zawsze zachęca mnie, żebym brała czynny udział w rozmowie z zaproszonymi gośćmi, i chyba nie zdaje sobie sprawy, że po prostu boję się do nich podejść.

- Gratulacje raz jeszcze! - wykrzykuję.

- Posłuchaj - zaczyna Janie - wiem, że przyszedłam wcześniej. Jestem tego świadoma, więc nie musisz od razu mi wytykać, że zawsze jestem za wcześnie. Nie zawsze, po prostu dzisiaj przyszedłam trochę wcześniej.

- Cieszę się, że mamy ten temat z głowy - mówię zgodnie. - Gdzie mama?

- Ona zawsze się spóźnia.

Widzę matkę sunącą za mocno uszmkowaną kelnerką, która teraz, prowadząc ją, wlepia wzrok w swoje idealnie pomalowane paznokcie. Nawet ta wypacykowana dziewczyna nie musi, idąc, patrzeć pod nogi, co każe mi zwątpić w moje poczucie równowagi. Ale nie mam czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo matka zdejmuje płaszcz i moją uwagę przykuwa jej strój. Ma na sobie marynarskie ubranko: białą bluzkę z granatową muszką i krótką granatową spódniczkę z rozcięciem. Siadając, cmoka nas obie w policzek. Patrzymy po sobie z Janie. Moja siostra mruczy pod nosem „hm...” i zapisuje coś w notesie, który jej dałam w prezencie zaręczynowym kilka okazji temu.

- Przepraszam za spóźnienie. - Mama wygładza serwetkę na kolanach, a potem poprawia swoje nieskazitelne włosy w naturalnie wyglądającym odcieniu jasnego brązu, co stanowi kolor pośredni między włosami moimi i Janie. Są „podbarwione”, jak zawsze powtarza, przez jej fryzjerkę. - Strasznie jestem ostatnio zajęta. Zamówiłyście już? Niepotrzebnie czekałyście, trzeba było zamówić.

Janie i ja nie możemy oderwać oczu od jej granatowej muszki.

- Wyglądacie obie doskonale - dodaje mama.

- Ty... hm... też - mówię z wahaniem.

- Sportowo - dorzuca Janie.

- Jak rozumiem, uzgodniłyśmy, że ubieramy się dziś nieformalnie? - W głosie mamy brzmi nutka wyzwania.

- Oczywiście - poddaję się. - I wyglądasz naprawdę...

- Nieformalnie - kończy Janie. - Absolutnie nieformalnie. Nie ma w tym nic złego.

Biorę menu, które nie jest dostatecznie duże, aby się za nim schować. Wiedziałam, że istnieje powód, dla którego zwykle omijam tę restaurację. Mam nadzieję, że nikt nie będzie komentować mojego stroju, który składa się z bardzo starych czarnych legginsów, które noszę cały weekend, mimo że są obrzydliwie zmechacone, i równie starego swetra, zmechaconego celowo, a ponadto dzięki ciemnoszarej barwie doskonale maskującego wszelkie plamy. Janie jest również ubrana nieformalnie, ale o parę klas wyżej, w niebieski sweterek w kwiatuszki i jasne spodnie, które na mnie pobrudziłyby się w ciągu pierwszych paru minut. Na niej wyglądają zdumiewająco czysto.

Matka zamawia suflet, Janie niespodziankę z owoców morza, ja zieloną sałatę i zupę jarzynową. Widzę, że obie dziwnie na mnie patrzą.

- Dobrze już, dobrze, kochanie - mówi matka. - Jesteśmy rodziną. Nie będziemy się wyśmiewać z tego, co jesz. Tylko z tego, jak jesz.

Wybuchają zgodnym śmiechem, a ja się zastanawiam, dlaczego to nie Janie, bądź co bądź młodsza latorośl, jest przedmiotem żartów. Próbuję dodać sobie otuchy, tłumacząc to faktem, że ona nie ma poczucia humoru. Właśnie pokazuje mamie swój pierścionek.

- Masz już całkiem niezłą kolekcję - mruga mama do Janie, która nie uznaje oddawania pierścionków zaręczynowych. Można by to nazwać łagodnym podkpiwaniem, gdyby Janie nie brała wszystkiego tak poważnie.

- No więc - mówi Janie dzielnie - o czym będziemy rozmawiać?

- Może o mężczyznach? - podsuwa moja matka w marynarskim ubranku.

- Lepiej wybrać jakiś bezpieczniejszy temat - proponuję. - Na przykład pogodę. Czy zauważyłyście, że leje bez przerwy od jakichś trzech tygodni?

- Nie chcę rozmawiać o pogodzie - sprzeciwia się Janie. - To zbyt przygnębiające.

- Ronny uważa, że deszcz jest romantyczny - wtrąca mama. - Twierdzi, że daje mu to poczucie, jakbyśmy on i ja byli sami na bezludnej wyspie, a deszcz chronił nas przed światem.

- Wow... - mówi Janie. - Tak powiedział?

- Dwa albo trzy razy. Wiecie, on zapomina.

- No więc, chciałam... - Próbuję zmienić temat, ale bez skutku. - Prawdę mówiąc, wybieramy się z Ronnym na małą wycieczkę.

- Jakie to ekscytujące! - podnieca się Janie, zawsze zainteresowana nowymi pomysłami na potencjalny miesiąc miodowy. - Dokąd?

- Jedziemy na czteromiesięczne safari do Afryki - oznajmia mama z dumą.

- Czteromiesięczne? - niemal krzyczę. - Czy to nie lekka przesada?

- To brzmi jak bajka - mówi Janie, znów zapisując coś w notesie.

- To będzie jak bajka - potwierdza mama. - Obejrzymy z bliska przeszło czterdzieści gatunków dzikich zwierząt.

- Z jak bliska? - chcę wiedzieć. Choć może nie chcę.

- Będziemy spać w namiotach, na leżankach pod moskitierami, gotować w szczerym polu i w pełni delektować się dziką przyrodą - ciągnie mama. - W każdym razie tak mówią w folderze.

- Wobec tego będę musiała zaplanować długi okres zaręczyn, żebyś mogła po powrocie pomóc mi w przygotowaniach do ślubu - stwierdza Janie.

- Masz rację, skarbie, długie zaręczyny są zawsze najmiłsze. - Matka nad jej głową wznosi oczy do nieba, podczas gdy Janie robi notatki.

Przynoszą nam jedzenie i moja zielona sałata jest pokryta różowymi kwiatami. Nie jestem pewna, co z tym zrobić.

- Wiedziałyście - pyta nas mama - że w Afryce jest około dwustu gatunków gryzących insektów?

Wracam do domu, przechodząc przez każdą błotnistą kałużę, tylko po to, żeby usłyszeć plusk, i szykuję się na długie popołudnie, pełne błyskawic i grzmotów, co może być irytujące ze względu na zakłócenia w odbiorze telewizji. Spędzam większość dnia, szyjąc zasłony i oglądając grę w golfa. Miło pomyśleć, że gdzieś jest słońce i wielu mężczyzn w koszulkach z krótkimi rękawami. Lubię patrzeć, jak bną przez piaszczyste pułapki - jak dzieci próbujące spacerować po plaży. W końcu biorę gorący prysznic i wyobrażam sobie, że jestem gdzieś w tropikach, gdzie deszcz jest ciepły i drobny.

Dla podkreślenia mojego nowego nastroju puszczam muzykę ze starego filmu *Południowy Pacyfik*, której słuchałam jako dziecko, i wyciągam z zeszłotygodniowej gazety niedzielnej dodatek „Podróże”, w którym tytuły zachęcają: *Zobacz wiele światów Meksyku, Odwiedź Kona Coast, Poznaj malowniczy raj Puerto Vallarta*. Rozglądam się wokół i nagle moje mieszkanie zmienia się w białą, piaszczystą plażę, rozrzucone wszędzie kawałki materiału w ręczniki leżące na piasku, a filiżanka pomarańczowej herbaty w sok owocowy z parasoleczką z bibułki. Reklama w gazecie nalega, żebym natchmiast skorzystała z szansy wygrania naszyjnika z pereł o wartości tysiąca dolarów. Chwytam za pióro, by wypełnić mój zwycięski formularz, głęboko przekonana, że naszyjnik z pereł to niezbędny dodatek na wieczór na zimnym piasku.

Słyszę pukanie do drzwi. Zapewne to posłaniec z moim naszyjnikiem z pereł. W rzeczywistości to Josh, z którym kiedyś pozostawałam w związku małżeńskim. Tak, poślubiłam mężczyznę imieniem Josh. Ciemne, kręcone włosy nieco bardziej zachodzą mu na uszy, ale twarz jest generalnie ta sama. Swego czasu własnoręcznie przycinałam mu loczki. Z pewnością to pani Mazzalo, sąsiadka z dołu, wpuściła go do budynku, jako że lubi pogadać sobie ze wszystkimi członkami mojej rodziny, nawet z Joshem. Nie żebym wtajemniczała ją w szczegóły naszego rozstania.

- Siema, Holly - wita mnie Josh, otrzepując włosy z wody i starając się nie wyglądać jak zmokła kura. - Ta pogoda nie wpędza cię w depresję?

Przysięgam, że w tym momencie rozlega się potężny grzmot. Przysięgam na Boga.

- Masz wycucie chwili - mówię z uznaniem.

Wpuszczam go do środka. Był już u mnie parę razy od rozvodu. Zauważyłam, że w porze deszczowej pojawia się częściej, trochę jak robaki. Chociaż to może zbyt surowe porównanie. Jesteśmy rozwiedzeni od czterech lat, po równie długim, choć wydawał się dłuższy, okresie małżeństwa. Pobraliśmy się „zbyt młodo”, jak zwykle się mówi, co w naszym wypadku oznacza w wieku dwudziestu dwóch lat, nie żeby matematyka była moją mocną stroną. Ale nie ma co odwoływać się do rozsądku studenckiej pary, która poznała się przy stoliku w bufecie akademickim i poczuła, że to spotkanie jest bardziej znaczące niż wszystkie inne spotkania przy wszystkich innych stolikach. Nadal pamiętam aromatyczny zapach kawy zmieszany z zapachem oprawionych w płótno podręczników i to poczucie satysfakcji z siedzenia w towarzystwie kogoś o wymarzonem odcieniu brązowych włosów, nie mówiąc o idealnie pasujących brązowych oczach. Rzecz dziwna, to Janie najbardziej odwołała mnie od tego małżeństwa, co trudno zrozumieć, zważywszy na jej hysia na punkcie wszystkiego, co związane ze ślubem. Josh wyciąga kosz piknikowy, który chował za plecami.

- Pomyślałem, że przyniosę ci trochę słońca - oznajmia. Nie bujam, Josh mówi takie rzeczy.

- Bardzo miły gest - odpowiadam. - Nieco teatralny, ale miły.

Josh zaczyna wyjmować małe pudełeczka, których obiecujący zapach zdradza, że pochodzą z dobrej knajpy na wynos. Podnosi butelkę wina.

- Co na to powiesz? - pyta.

- Bardzo na czasie.

Wiem z doświadczenia, że przywiązuje wagę do dobrego wina, chociaż zupełnie nie przywiązuje wagi do stroju. Jego poszarzałe džinsy mają wystrzępione nogawki i wytarte siedzenie, co jest po-niekąd nawet rozczulające. Wiem, że z pewnością ma dziury w skarpetkach. A jego okulary są poplamione.

- Nie masz przypadkiem czegoś, czym by to można otworzyć?

Patrzę na niego spod oka i idę do kuchni po nowy korkociąg, który tak zagadkowo znalazł się w mojej porannej poczcie. Bez żadnego liściku. To coś nowego - niemal romantyczna strategia, Josh

przygotowujący coś z góry. Nigdy nie był typem planującym romantyczne kolacje albo wyjścia, wolał to, co on nazywał spontanicznością, a ja niechęcią do zadania sobie trudu. Co nie znaczy, że na swój sposób nie był romantyczny, czy że, powiedzmy, nie zaskakiwał mnie prezentami. Ale nie lubił poświęcać temu zbyt dużo uwagi. Na przykład kiedyś w ostatniej chwili znalazł na ziemi liść w kształcie serca i wręczył mi go, gdy wspomniałam, że mamy walentynki. Nie przeczę, liść był piękny, zasuszyłam go nawet i mam do dziś. Doceniłam ten gest, no i oczywiście fakt, że umiał dostrzec liść w kształcie serca dokładnie w chwili, kiedy go potrzebował. Jednak chodzi mi o to, że Josh naprawdę uważa takie gesty za bardziej romantyczne - im mniej się im poświęca myśli, tym lepiej. Osobiście po jakimś czasie przestałam widzieć w tym romantyzm. Toteż ta akcja zaplanowana z góry jest dla mnie prawdziwą niespodzianką. Wręczam mu korkociąg i zastanawiam się, jakim cudem przeoczyłam jego pismo na kopercie.

- Będzie dobry?

- W sam raz. - Ogląda go dokładnie. - Skąd go masz?

- Nie mam pojęcia. Dostałam w charakterze niespodzianki.

- Dobre rzeczy często przychodzą w charakterze niespodzianki - oznajmia Josh, ni mniej ni więcej. Przeszawia meble, żeby zrobić miejsce na piknik. - Będziemy potrzebować koca dla ochrony przed mrówkami.

- Nie doceniasz determinacji moich mrówek - oświadczam, ale sięgam po jedną z niedokończonych zasłon. Jak rozumiem, można będzie ją uprać. I wygląda bardzo dekoracyjnie na podłodze.

- Wiedziałaś, że przyjdę - mówi Josh.

Zdejmuję kłębek kurzu z podłogi.

- Sprzątałam cały dzień.

Zaczynamy jeść pikantne kurze udka i małe kolbki kukurydzy. Josh sięga po mój dodatek turystyczny.

- Planujesz wakacje?

- Nie, po prostu marzę sobie o jakimś ciepłym miejscu, z plażą i bez deszczu.

- Spędziliśmy kiedyś wakacje nad morzem, pamiętasz? Nie pamiętam.

- Gdzie?

- Na Long Island, przypomnij sobie.

- Och, Josh, pojechaliśmy w październiku. Było lodowato. - Nie mógł wyjechać wcześniej, bo rozpaczliwie starał się skończyć jeszcze jedną pracę seminaryjną. Jeszcze jedną spóźnioną pracę seminaryjną.

- Miałaś takie seksowne czerwone bikini - rozmarza się Josh.

- Tak, ale mogłam w nim wytrzymać najwyżej przez dziesięć minut, i to stojąc tuż przy kaloryferze. Powinniśmy byli pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło, Josh.

- Ale mieliśmy całą plażę tylko dla siebie, a w pokoju było zawsze ciepło. Nawet bardzo ciepło
- podkreśla. - Po prostu zapomniałaś.

Może i tak.

- Pamiętam za to, że spóźniliśmy się na pociąg.

- I zostaliśmy dzień dłużej! I wpakowaliśmy nasz latawiec na druty telefoniczne!

- To było okropne.

- Nie, to było wspaniałe! - mówi to z pełnym przekonaniem.

- Lało bez przerwy, dzień w dzień - przypominam mu.

- Fakt, codziennie podziwialiśmy nową tęczę. Przez chwilę nie odpowiadam.

- Nie mówmy już o deszczu - proszę w końcu.

Więc nie mówimy. Zamiast tego oglądamy w telewizji jeden z programów o możliwych i bogatych, nie tych z pierwszych miejsc na liście, ale o tych trochę mniej wypchanych forszą. Ściszymy dźwięk i oglądamy opalone kobiety sunące na nartach wodnych w dalekich, ciepłych krajach do wtóru tropikalnej muzyki z mojego stereo. Powiedzmy, że jest to wieczór multimedialnych wydarzeń, bez dalszych rozmów o pogodzie, która stopniowo staje się coraz cieplejsza i przyjemniejsza, niemal rozkosznie upalna, przynajmniej w moim mieszkaniu.

Kiedy budzę się nazajutrz rano, leżę na kanapie, okryta dwoma warstwami materiału w niebiesko-białe pasy. Josh wyszedł, zostawiając plastikowy kwiatek w pustej butelce po winie. Dziwię się, skąd go wziął, gdzie go ukrył w ubraniu, które dość starannie obmacałam. Ciekawe, czy prawdziwy kwiat symbolizowałby coś bardziej serio, czy coś bardziej przelotnego. Może powinnam się zastanowić, co to wszystko znaczy i jakie będą konsekwencje nocnych igraszek ze źle ubranym matematykiem, zwłaszcza takim, który był kiedyś moim mężem. Przez te lata wpadał do mnie od czasu do czasu, ale po raz pierwszy spowodował zmianę pogody, by tak rzec. Przyjemną zmianę i może należałoby to kontynuować. Tak czy owak, nie wiem, czy to punkt startowy, czy punkt zwrotny, czy jeden z tych innych punktów, które mają być znaczące w życiu, z rodzaju takich, które rodzina, przyjaciele i terapeuci każą ci przekroczyć, albo się cofnąć, często jednocześnie? Obawiam się, że żadna z tych myśli nie zabawia zbyt długo w mojej głowie. Jestem pewna, że powinnam poświęcić temu więcej uwagi, ale idę do okna i podnoszę żaluzje, a promienie słońca wpadają w końcu do pokoju z oślepiającym blaskiem. Stoję w nich przez chwilę, grzejąc się w ich ciepłe, owinięta dwoma sztukami materiału, które mają kiedyś zasłonić moje okna. Z drugiej strony, może już spełniły swoje zadanie.

Rozdział drugi

Wrzeszcząc nad tacką w samolocie

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że mój ojciec opuścił zjazd rodzinny z Sophie, daleką kuzynką, której nie umiemy umiejscowić w rodzinie.

- Jesteś córką cioci Ethel, prawda? - spytał ją ojciec na pikniku.

- Nie... - odparła ze śmiechem, mocząc język w kieliszku z winem.

- Wobec tego musisz być spokrewniona z tym, jak mu tam...? - Odwróciłam się do ojca po pomoc. - Pamiętasz, robił dla dzieci taką sztuczkę z połykaniem monet?

- Bertie! - wykrzyknął ojciec.

- Nieee, ale cieplej... cieplej... - Sophie się uśmiechnęła, okręcając wokół palców fioletowy sznur paciorków i od czasu do czasu podnosząc je do ust, jakby chciała je zgryźć, a może pocałować.

Cieplej... cieplej... to jedyne, co udało mi się uzyskać - nadal nie wiem, czy jest naszą kuzynką, choć się na to zaklina. Nie do końca jej wierzę, jednak trudno mi zrozumieć, czemu ktoś miałby się dobrowolnie upierać, że przynależy do naszej rodziny. Ona i mój ojciec bawili się w tę zgadywanke przez całe godziny, po czym znikli z przyjęcia. To nie są szczęśliwe wspomnienia.

Na swoje pięćdziesiąte piąte urodziny ojciec przysłał mi bilet powrotny do Houston, z nadzieją, że się złamię i przyjadę do niego na weekend. Widziałam go od czasu pamiętnego pikniku, oczywiście, w trakcie jego krótkiej wizyty w Nowym Jorku, ale czułam się skrępowana, coś mi mówiło: oto człowiek, który uciekł, który nie umiał opuścić sceny z klasą. Jestem często rozdarta między niepewnością, czy powinnam być dla niego miła, a irytacją że się w ogóle nad tym zastanawiam. Te dwa zmartwienia znoszą się nawzajem i prawdopodobnie zachowuję się przy nim tak, jak zwykle. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Moja siostra Janie też otrzymała zaproszenie, ale zwróciła bilet z uprzejmym, choć kłamliwym listem, że jej obowiązki w pracy nie pozwalają na wyjazd.

- Poza tym - powiedziała mi przez telefon - jestem tego dnia umówiona na oglądanie sukien ślubnych. Bardzo ekskluzywnych.

- Ja chyba pojedę - wyznałam.

- Jestem także lojalna i wiem, co jest moralnie słuszne - oznajmiła moja młodsza siostra.

Dlatego byłaś sześciokrotnie zaręczona, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

Lepiej było nie wychodzić za żadnego z poprzednich pięciu narzeczonych, uważa Janie, niż się później rozwodzić. Ma jakąś głęboką, religijną awersję do rozwodów, mimo że nie wyznajemy żadnej szczególnej religii. Wini naszego ojca za rozpad małżeństwa rodziców - i ma sporo racji. Ale co dziwniejsze, to mnie obarcza winą za mój rozwód, nie Josha, chociaż nigdy za nim nie przepadała. Podczas

rozmowy zawsze odsuwała się od niego, jakby miał nieświeży oddech. No i to jego roztrzepanie, czy też niedbalstwo, jak to zaczęłam postrzegać, też dało nam się wszystkim we znaki, aż w końcu już nie mogłam tego dłużej znieść. Mimo to niełatwo było mi odejść. Zadawałam sobie pytanie, jak ojciec mógł się zdobyć na to, żeby opuścić matkę, choć zainwestował w ten związek o tyle lat więcej, ale jednocześnie byłam mniej skłonna go potępić. W każdym razie mniej skłonna niż Janie. Wyobrażam sobie, jak by zareagowała na wieść, że spędziłam noc z Joshem - który, nawiasem mówiąc, od tygodnia się nie pokazał. Już widzę, jak Janie marszczy nos, a potem potrząsa głową, starając się czym prędzej odsunąć tę myśl.

- Czy zakwestionowałabyś moją dozągonną miłość i przywiązanie, gdybym, hipotetycznie rzecz biorąc, pojechała zobaczyć się z ojcem? - pytam kwieciście matkę w jej mieszkaniu, gdzie szykuje walizki na swoją przydługą podróż do Afryki. Wyjęła właśnie ósmą torbę.

Myśli przez chwilę.

- Czy zakwestionowałabyś mój dobry smak, gdybym ci powiedziała, że Ronny i ja spędziliśmy razem kilka dni, biorąc kąpiele błotne w bardzo ekskluzywnym uzdrowisku na północy stanu? - ripostuje.

- Mhm... - odpowiadam niezobowiązująco. Wolałabym nie poznawać szczegółów.

- Było bajecznie. Zdjęło mi to z ramion całe lata. - Podwija rękaw, żeby pokazać mi całkiem nieźle napięte ramię.

- A mój wyjazd? - ośmielam się wtrącić.

Matka patrzy na mnie, potem podciąga mi do góry krótkie rękawki, żeby obejrzeć moje ramiona, które nie prezentują się najgorzej, jak na kogoś, dla kogo nalanie szklanki wody jest podnoszeniem ciężarów. Te butelki z wodą są naprawdę ciężkie. Kiwa z uznaniem głową.

- Nie musisz mówić mi wszystkiego, skarbie. W tym celu Bóg dał nam terapeutów. Masz moją miłość bez żadnych warunków.

Innymi słowy, mam jej pozwolenie. Nigdy nie była jedną z tych „opowiedz mi wszystko” matek. Jestem pewna, że sama też zachowuje dla siebie całą prawdę o kąpielach błotnych. Wszyscy mamy swoje małe sekrety, przeważnie ważne tylko dla nas samych, sprawy, o których lubimy myśleć, ale nie lubimy mówić.

Jest też parę rzeczy, o których wolelibyśmy zapomnieć, urazy i zdrady, zniknięcie ojca z blond kuzynką, śmierć mojego starszego brata w dniu, kiedy odbierałam dyplom na uczelni. Prawdę mówiąc, zapadł wtedy tylko w śpiączkę po wypadku motocyklowym, ale umarł na drugi dzień. Radość z mojego ukończenia studiów natychmiast wyparowała, wyparta rozpaczą po stracie brata, który rzucił studia i chciał iść własną drogą, pisząc programy komputerowe, i właśnie zaczynał odnosić pierwsze sukcesy. Mój brat John, starszy ode mnie o cztery i pół roku - akurat o tyle, że trudno nam się było porozumieć - miał szerokie grono przyjaciół, ale trzymał się na dystans wobec mnie, a jeszcze bardziej wobec Janie.

Wiedziałam, że nas kocha, zwłaszcza matkę, lecz nie palił się do dawania rad ani przebywania w moim towarzystwie tak często, jakbym chciała. Zawsze uważałam, że dorośniemy do takich stosunków, toteż mocno przeżyłam jego przedwczesną, nagłą śmierć. Pamiętam, jak dziękowałam Bogu, że mam Josha. Być może w związku moich rodziców już wtedy źle się działo. Te wszystkie myśli nie dają mi spokoju, tkwią gdzieś w mózgu nad prawym uchem, w zakamarku, do którego logika nie ma dostępu. Nie rozmawiam o tym z matką, tylko raz na jakiś czas z terapeutami (jak wspomniała) i czasem z ludźmi kompletnie obcymi.

I z Marią. To moja najlepsza przyjaciółka od niepamiętnych czasów, która wie o mnie wszystko, łącznie z faktem, że kiedyś własnoręcznie usunęłam sobie brodawkę ze stopy. Chociaż nie będę wdawać się w szczegóły, jak to zrobiłam. Poznałyśmy się na pierwszym roku studiów na zajęciach z biologii, na których od razu pierwszego dnia udało mi się zrzucić probówkę na ziemię. Jak na takie małe naczynko, narobiła mnóstwo hałasu. Kiedy asystentka spytała, kto to zrobił, Maria, siedząca po mojej lewej stronie, natychmiast zrzuciła też swoją probówkę, w geście solidarności.

- O jejku! - jęknęła bez śladu skruchy. Maria rozwiąła moje zmartwienia.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Kupują je setkami, a poza tym wczoraj widziałam, jak jeden wykładowca upuścił całą skrzynkę. Wyobrażasz sobie, jaki fantastyczny, perkusyjny dźwięk wydała!

Od tej pory przychodziła mi z pomocą dziesiątki razy. I jak wszyscy, którzy mnie znają, doskonale wie, że boję się latać, o czym większość ludzi nie chce już słyszeć. Maria jest jedyną osobą, która nadal odprowadza mnie na lotnisko. Wychowała się z pięciorgiem braci na Staten Island i - o ile mi wiadomo - nie boi się niczego. Jednak ma jakiś uraz do kabin prysznicowych.

- Nigdy nie postawiłam nogi w cudzym prysznicu - przysięga. - Trudno wyczuć, co tam znajdziesz. Nigdy nic nie wiadomo.

Przez tę swoją zasadę straciła paru chłopaków - brali to do siebie. Chociaż kilku z jej facetów, których znałam, nie zwróciłoby żadnej uwagi na to, czy się u nich kąpie, a nawet czy się w ogóle kąpie. Wspomniałam jej coś na ten temat.

- Mają inne priorytety - powiedziała.

A więc to Maria wiezie mnie na lotnisko w Newark, jedno z jej ulubionych, swoim dodge'em dartem z lat siedemdziesiątych, należącym przedtem do jej babki. Ubrana w ogromny czarny płaszcz przeciwdeszczowy, ma na głowie tak zwaną wyjściówkę. Chociaż została obdarzona przez naturę wspaniałą burzą niezależnie myślących włosów - ja osobiście jestem ze szkoły cienkich (i rzędnych) brązowych, prostych włosów - Maria wciąż zmienia fryzurę i kolor. Teraz ma włosy długie i jakby oszronione, w stylu blondynek z lat sześćdziesiątych. Mój odcień jest statecznie kasztanowaty, a kiedy czasem je podbarwiam, zawsze wybieram coś w rodzaju orzecha lub klonu, choć trochę mnie śmieszy cała ta drzewopodobna metaforyka. Maria zawsze używa farb takich jak Zwariowany Koktajl Żurawinowy albo Szampańska Hulanka i nie sędzę, żeby się przejmowała kryjącą się za nimi metaforyką. Te-

raz jeszcze wytapirowała się na czubku i po bokach i ma prawdziwą burzę włosów. Jest ich naprawdę mnóstwo.

- Popatrz na tego słodkiego facecika z trzema oczami - mówi, prowadząc mnie do wyjścia numer pięć.

- To nie oko, tylko ogromny siniak.

- Poczekaj, aż się wygoi. Chociaż teraz wygląda bardziej interesująco, nie sądzisz?

Stroi sobie ze mnie żarty, żeby odwrócić moją uwagę od lotu albo przynajmniej od obgryzania paznokci. To jedna z niewielu rzeczy, na których potrafię się skoncentrować, podobnie jak na pocieraniu górnego przedniego zęba paznokciem kciuka albo tym, co z niego zostało. Jak mówi mama, nie są to najatrakcyjniejsze cechy.

Maria podnosi swoją przepastną czarną torbę i zaczyna wyjmować starannie zapakowane małe torebeczki.

- To twoje prezenty na drogę.

- Ta stewardesa wygląda jak moja matka - mówię. - To zły znak. Co zrobię, jeśli będzie obsługiwać mój lot?

- Zignorujesz ją i powiesz, że jesteś dość duża, aby sama nalać sobie piwo.

Nie spuszczam oka ze stewardesy i widzę, że w ciągu niecałej minuty zawiązuje apaszkę, przeczesuje włosy i zapina zakiet, jednocześnie ciągnąc za sobą w pełnym biegu walizkę na kółkach. Jestem pod wrażeniem.

Odrywam od niej wzrok i skupiam się na prezencikach od Marii. W pierwszej torebce są małe, kolorowe pigułki, popakowane osobno w jeszcze mniejsze torebeczki.

- Skąd ty to bierzesz? - pytam niewinnie.

- Z rekomendacji lekarza - odpowiada z pełną powagą.

Maria pracuje jako farmaceutka w drogerii, który sprzedaje mnóstwo termoforów i różowych bombonierek z pralinkami. Wnętrze spowija przyćmione sztuczne światło, w którym zawsze ogarnia mnie senność, jakby była pora na popołudniową drzemkę. Jej ulubieni klienci - i zarazem ci, którzy najbardziej ją kochają - są wszyscy powyżej siedemdziesiątki. Nigdy nie widziałam tam nikogo - oprócz nas - kto by nie był powyżej siedemdziesiątki.

- Te pomarańczowe są na chorobę lokomocyjną. Weź pół od razu. - Podaje mi pigułkę i stosuję się do zaleceń mojej farmaceutki. Maria daje mi tylko środki wydawane bez recepty, przynajmniej tak sądzę. Ale lubi otaczać się aurą tajemniczości.

- Te zielone są na naprawdę poważną chorobę lokomocyjną, gdyby do tego doszło, na przykład, kiedy głowa obraca ci się z inną szybkością niż ciało albo w innym kierunku. Podczas turbulencji podziel się nimi z pasażerami obok, którzy nie zechcą się zamknąć, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kiwam głową. To nie znaczy, że Maria lekkomyślnie rozdaje leki na prawo i lewo. Po prostu nie uznaje sztywnych reguł. „Jesteś dorosła. Jeśli potrzebujesz coś zażyć, to zażywasz. Jeśli nie potrzebujesz, to nie zażywasz - powtarza. - A kiedy ktoś cię krytykuje, powiedz sobie, że jego życie musi być strasznie puste, skoro skupia uwagę na twoich małych pigułkach. Współczuj mu". Słyszałam te jej słowa wiele razy.

- Weź te białe, jak będzie cię boleć głowa albo żołądek - ciągnie - a te żółte tylko i wyłącznie wtedy, kiedy zaczniesz się wczepiać pazurami w siedzenie albo wrzeszczeć na tackę z jedzeniem, rozumiesz?

Znów kiwam głową. Znam te żółte.

- Albo jeśli samolot rzeczywiście zacznie spadać w dół - dodaje ze swoim najśłodszym uśmiechem.

Maria wyposaża mnie też w dwa czasopisma filmowe i tygodnik dla nastolatków, ponieważ, jak mówi, są tam zdjęcia uroczych chłopców. Daje mi bułkę z dżemem malinowym i na koniec wkłada mi w ręce różowe pudełko pralinek.

- Jeśli ich nie zjesz, możesz je dać Sophie. Są naprawdę tandetne - uśmiecha się skromnie.

Obie mamy słabość do tandetnych pralinek. Takich, które można nadgryźć i bez skrępowań wyrzucić. Takich, które można zgnieść w palcach tylko po to, żeby poczuć miękką konsystencję toffi. Zamiłowanie do nadziewanych czekoladek w kiczowatych różowych pudełkach to nasz cichy sekret, więc jestem wzruszona tym prezentem. Maria wydobywa z jednej z licznych kieszeni mały aparat fotograficzny i robi mi zdjęcie, jak trzymam różową bombonierkę z twarzą białą jak ściana. Niemniej uśmiecham się dzielnie.

Na szczęście lot przebiega bez żadnych sensacji - i bez potrzeby sięgania po pigułki czy słodycze. Moja metoda na zaśnięcie jeszcze raz się sprawdza: przede wszystkim jestem półżywa z nerwów, więc robię się senna, ledwo zapnę pasy, jak dziecko w samochodzie. Poza tym staram się oglądać film, nie słuchając dźwięku, co działa na mnie hipnotyzująco, chociaż Maria twierdzi: „To tylko znudzenie”. Mój sąsiad - młody człowiek w krawacie w różowo-zielone pasy (zastanawiam się, czy sam go wybrał) - zagłębia się w pismo komputerowe. Słyszę, jak od czasu do czasu mruczy pod nosem coś w rodzaju „kod dostępu” albo inne pojedyncze sylaby przypominające dźwięki, jakie wydaje z siebie ktoś niespodziewanie uderzony w policzek.

Niewiele tracę, nie śledząc filmu, w którym grają dwaj aktorzy zmarli nagłą śmiercią w zeszłym roku. Tuż przed zaśnięciem myślę jeszcze, że to zły znak. Ale myślę się. Lądujemy w Houston o czasie i w jednym kawałku. Zawsze mi się wydaje, że samolot roztrzaska się albo co najmniej rozpadnie na pół. I że powinien być nieco przyszarzały po przedzieraniu się przez te wszystkie wiatry. Ale nie, nadal lśni jak nowy i pyszni się jaskrawymi, czerwonymi paskami, jakby ta podróż kosztowała go mniej niż mnie.

Łapię swoje odbicie w lustrze na lotnisku i widzę, że mam przyklepane włosy po prawej stronie i czerwoną pręgę na lewym policzku. Odnoszę nieodparte wrażenie, że siność mojej twarzy i różowość bombonierki nawzajem się podkreślają. Idę wolno do hali przylotów, pocierając policzki, żeby nabrały zdrowszego koloru. Kiedy mój ojciec macha podniesionym w górę kowbojskim kapeluszem, ja macham ręką z bombonierką. Muszę wyglądać jak upiór z przeszłości.

Ojciec zagarnia mnie kapeluszem i przyciska. Nasze uściski zawsze były nieco nieporadne, niepewne, jakby ojciec zadawał sobie pytanie: czy ten uścisk nie jest za mocny? A może za słaby? Ale tym razem jest to uścisk teksaski, bardziej zdecydowany i odważniejszy. Wszędzie wokół ludzie obejmują się i walą po plecach - co, na szczęście, zostaje mi oszczędzone.

Mój ojciec, Doug, który w ten weekend kończy pięćdziesiąt pięć lat, chyba zadomowił się w Houston. Jest nieco bardziej opalony, niż pamiętam z Nowego Jorku, co uwidacznia jego świeżo posiwiałe włosy na karku i nad uszami. Jestem nieco zazdrosna, bo moje własne pojedyncze włosy zaczęły siwieć, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata i byłam w kinie z Joshem. Pochylił się, żeby mnie pocałować, ale zamiast tego wyrwał mi siwy włos z grzywki. Zabawne, ale zupełnie nie pamiętam filmu. Pewno mężczyzna, który potrafi wypatrzeć i wyrwać jeden siwy włos w zaciemnionej sali kinowej, zasługuje na podziw. Chociaż może „podziw” to nie jest właściwe słowo.

Ojciec trzyma się całkiem nieźle, co zauważam z ulgą, bo kiedy rodzice osiągną pewien wiek, zaczynamy się o nich martwić, bombardowani zewsząd artykułami o prostatie i szkodliwości przebywania na słońcu. Jest ubrany w niebieską koszulę i brązowe spodnie, tylko kowbojski kapelusz przynależy do Houston. Ale kiedy otwiera usta, zauważam, że zaczął mówić z przeciągłym teksaskim akcentem.

- Holly, Holly... - To jego charakterystyczne powitanie zawsze sprawia, że robi mi się ciepło na sercu, nawet jeśli powtarza tylko dwukrotnie moje imię. - Jak minął lot? - pyta. - Puścili wam film? Dostałaś posiłek? Były jakieś turbulencje?

- Wszystko przebiegło bez żadnych zakłóceń. Przez większość czasu spałam, co zawsze czyni klasę turystyczną znacznie wygodniejszą. Przynajmniej, póki się człowiek nie obudzi.

Śmiejemy się jednocześnie identycznie brzmiącym śmiechem i w tym momencie pojawia się Sophie, wyglądająca niemal dokładnie tak, jak ją zapamiętałam, tylko że tym razem jest cała na różowo: ma na sobie różową jedwabną bluzkę wetkniętą w różową jedwabną spódnicę nad różowymi skarpetkami i różowymi adidasami. Nie wiem, co powiedzieć, ale wiem, co zrobić. Wręczam jej różową bombonierkę.

- Czekoladki! Dla mnie! - wykrzykuje Sophie, niemal kłaniając się przed pudełkiem. Ciekawe, czy podzieli moje upodobanie do tandetnych pralinek, czy myśli, że to te z rodzaju wykwintnych. - Co za słodka dziewczyna! - oświadcza, chociaż nie sędzę, żeby była ode mnie starsza więcej niż dziesięć, piętnaście lat. - Prawda jak miło, Dud? - pyta ojca.

- Tak mnie pieśczośliwie nazywa - oznajmia ojciec z dumą.

Sophie wyjmuje zza pleców kwiat gardenii. Boję się gardenii, czy raczej ich zapachu, co wynika z jakiegoś nieprzyjemnego doświadczenia z dzieciństwa, które nie całkiem pamiętam. Przypominam sobie tylko małego jamnika, gryzącego mnie po piętach i ten ostry zapach gardenii, a potem bardzo szybkie pedałowanie na rowerze. To może mieć coś wspólnego także z moją niechęcią do ćwiczeń, przychodzi mi do głowy. Sophie przypina mi kwiat do zakietu, nieco zbyt blisko podbródka. Czuję się jak czyjaś babcia w Dzień Matki, a do tego zbiera mi się na mdłości.

- Dzięki - mówię, wdzięczna mamie, że z powodu jej musztry „proszę” i „dziękuję” stało się moją drugą naturą.

- Witaj w Houston! - grzmi ojciec, wyrzucając obie ręce w górę.

Ojciec mieszka z Sophie w dużym domu, który odziedziczyła w spadku po swoim poprzednim małżeństwie.

- Ale całkowicie zmieniłam wystrój - zapewnia.

Jest to dość przyjemny dom na przedmieściu, co nie znaczy, że można się w nim od pierwszego wejrzenia zakochać, jak zapewne sądzi Sophie. Oprowadza mnie po nim i wyjaśnia, że każdy pokój ma za temat przewodni jeden z jej ulubionych kwiatów - różę, chryzantemę, irysa i sosnę, choć nie wydaje mi się, aby sosna była kwiatem. Dodatkowo Sophie spryskuje każde pomieszczenie odpowiednim zapachem. Będę spać w sypialni hiacyntowej i dziękuję Bogu, że nie w różanej. Zastanawiam się, czy nie dostanę alergii na dom Sophie.

Znajduję ojca w tak zwanym gabinecie, chociaż przestał już pracować jako inżynier i przeszedł na emeryturę. Sophie nazywa ten pokój sosnowym. Króluje tu zieleń i brąz, jak przystało na tradycyjną męską pracownię, a ponadto wszędzie wokół jest pełno kaczek, Kaczki na obrazkach, na półkach, na zszywaczu i na piórniku. Nawet jego telefon kwacze.

- Nie wiedziałam, że tak lubisz kaczki - zauważam, siadając na zielonym, sztruksowym fotelu, przyrzuconym granatowym kocem wyszywanym w kaczki.

Ojciec wzrusza ramionami.

- Kaczek nigdy za wiele.

Mamy chwilę dla siebie - Sophie poszła do fryzjera na „szybkie uczesanie” - i chcę go zapytać, czy jest tu szczęśliwy. Czy sprawiają to kaczki, czy Sophie, czy upalna pogoda i mnogość dodge'ów z przyczepą na drogach, czy to wszystko składa się na część zagadki, jaką nazywamy ojcem. Ale jak zwykle, z jakichś nieznanых przyczyn, trudno mi nawiązać nawet prostą rozmowę. Głównie słuchamy tykania zegara z kaczką na ścianie.

- U Janie wszystko w porządku? - pyta ojciec.

- O, tak - zapewniam go. - Janie zawsze doskonale sobie radzi. Jest niesamowita.

- To prawda - przytakuje ojciec. - Ale u ciebie też dobrze?

- W pracy wszystko okej - mówię. Nie mam ochoty wgłębiać się w moje życie prywatne, nie żeby było się w co wgłębiać. Przychodzi mi do głowy wieczór spędzony z Joshem, ale nie wydaje mi się to stosownym tematem na towarzyską rozmowę z ojcem.

- To świetnie - kwituje ojciec, przerzucając jakieś pismo. Jego uwagę skupia artykuł *Golf i mężczyzna*. Zegar tyka. W końcu wychodzę pod pretekstem, że chcę się odświeżyć. O ile pamiętam, tak zawsze mówiono w starych filmach: „Pójdę się odświeżyć”, chociaż moim zdaniem takie słowa niosą jakąś nieprzyjemną konotację. Na odchodne ojciec daje mi korek do wina zwieńczony kaczką.

- Zatrzymaj to sobie - mruga.

Mój weekend w Houston przebiega w ciepłej pogodzie i w spokojnym, leniwym tempie. Sophie bierze mnie na zakupy i przymierza jaskrawożółte poncho, które uznaje za „niestosowne” dla swojej figury.

- Po co w ogóle mieć jakąś figurę - stwierdza zagadkowo, odwieszając poncho na wieszak.

Kupuje dwie wykończone haftem bluzki i wielkie pomarańczowe korale, które wypatruje z drugiego końca sklepu i dopada z okrzykiem: „To jest coś!” Nabywa także, mimo moich protestów, dużą czerwono-biało-granatową apaszkę dla mnie.

- Apaszek nigdy za wiele - mówi, co mi przypomina stwierdzenie ojca, że nigdy za wiele kaczek.

Jak rozumiem, są ze sobą na tyle długo, że ich słownictwo się upodabnia. Ta myśl uwiera mnie, jako córkę, a także każe mi się zastanowić nad słownictwem matki. Czy zachowała je po ojcu, czy przejęła słowa i wyrażenia po Ronnym?

Kolację urodzinową spędzamy w trójkę przy grillu na świeżym powietrzu, z krowami muczącymi w tle, do wtóru pokrzykiwania pastucha, który może być, lub nie, prawdziwym kowbojem. Zamawiam owoce morza z szacunku dla porykujących wokół krów. Ojciec i Sophie potrząsają lekko głowami - z ubolewaniem, jak mi się wydaje - i biorą dwa ogromne steki. Sophie mówi, że po moim wyjeździe planują dalsze obchody z przyjaciółmi, ale nie chcieli mnie narażać na towarzystwo ludzi, którzy są, jak to określa „mocno hałaśliwi”. Inna córka mogłaby poczuć się urażona, ale ja czuję ulgę, a może tylko jestem oszołomiona całym tym muczeniem i porykiwaniem.

Podczas kolacji to głównie Sophie ciągnie rozmowę, podnosząc takie tematy, jak wygodne buty (oboje lubią spacerować po okolicy, chociaż nie zgadzają się co do ilości tych małych wypustek na podeszwach adidasów, co do których stare „nigdy za wiele” zdaje się nie mieć zastosowania), zalety i wady wybielania zębów i coś o błędnych założeniach diety rodzynekowej, co nie do końca rozumiem. Pyta mnie, czy chodzę do fitness klubu i mimo mojego zaprzeczenia opowiada mi wszystko o swoim, który wygląda na jakieś mocno egzotyczne miejsce z siedemdziesięcioma prywatnymi jacuzzi. Tato głównie uśmiecha się do mnie, oferując do spróbowania swoje danie, choć mam przed sobą cały talerz ogromnych krewetek w cieście naleśnikowym.

- Chcesz skosztować pieczonego kartofla? - pyta.

- Nie, dzięki, muszę być lojalna wobec moich krewetek - mówię, choć nie wiem, co to właściwie ma znaczyć. Najchętniej zdjąłabym z nich ciasto i gdzieś schowała, na przykład pod kartoflami, ale mam ryż, który się nie nadaje do tego celu. Jednak w końcu ciasto zaczyna mi smakować.

Wszystko to wiedzie nas do tortu urodzinowego, który już zjadamy wspólnie. Ojciec gasi świeczkę na okrągłym wypieku czekoladowym, odpowiednim dla trzech, czterech osób - no może, dla pięciu lub sześciu, jeśli ktoś nie lubi czekolady. Wypowiada w myśli życzenie, po czym bierze mnie i Sophie za ręce, ale nic nie mówi. Uśmiecha się tylko i potrząsa wolno naszymi rękami w górę i w dół, jakby dyrygował swoją własną symfonią.

Do tego sprowadza się niemal cała moja rozmowa z ojcem i chociaż omówiliśmy takie tematy jak kaczkę i białe zęby, nie poruszyliśmy spraw poważniejszych, tych które bezskutecznie próbują się kryć za przestrzenią między Nowym Jorkiem a Houston. Chcę go zapytać, czy jego zdaniem moja wizyta nas zbliżyła lub choćby podkreśliła to, co jest między nami, a może jedno i drugie. Nasz stosunek przypomina mi wykres na mapie podróży, z czerwoną linią między dwoma punktami, poszarpaną i krętą, oznaczającą niemożliwie długą drogę, ale jednak do przebycia. Nie jestem pewną co myśleć o tym weekendzie; mam podobne odczucia, jak po ostatniej wizycie Josha, że coś to sygnalizuje, jakiś mały krok do przodu, albo nawet duży. Mam wrażenie, jakby te chwile mojego życia strzelały do mnie palcami, próbując mi coś powiedzieć, ale w obcym języku, którego nie rozumiem. Trochę mnie to frustruje.

- Dziękuję za zaproszenie - mówię. Staram się zignorować myśli, które tłuką mi się po głowie, rozpaczliwie szukając ujścia. Przypisuję to migrenie.

Nazajutrz zegnamy się na lotnisku, przy wyjściu numer 4. Mój samolot jest tym razem mniejszy i jakiś szarawy. Mogłabym przysiąc, że ten poprzedni lśnił.

- Zawsze będziesz u nas mile widziana - mówi ojciec, kiedy wymieniamy krótkie uściski.

Zapomniał kapelusza, a może zabrał go na powitanie tylko demonstracyjnie.

Patrzę na Sophie.

- Oczywiście - potwierdza i wręcza mi dwie paczki gumy bez cukru, która wydziela coś z siebie podczas żucia. Ten rodzaj gumy zawsze wprawia mnie w lekki popłoch, bo absolutnie nie marzę, by nieznanne substancje wydzielały mi się do ust, kiedy coś gryzę. Daje mi także na podróż dwa numery magazynu „Dom w Teksasie”, w których będę sobie mogła poczytać o najnowszych trendach w tkactwie ręcznym i niezapomnianej atmosferze domów w stylu ranczerskim.

- Artykuł o zbudowaniu własnego grilla w ogrodzie jest naprawdę znakomity - poleca mi, potwierdzając moje podejrzenie, że już przeczytała te numery.

Dziękuję jej.

- Pamiętaj, żeby do nas wracać - mówią unisono ojciec z Sophie, ale żartobliwym tonem.

- Trzeba to powiedzieć w tym miejscu - wyjaśnia ojciec, wskazując na napis tej treści nad wyjściem, zwieńczony trzema wykrzyknikami.

Tym razem nie mam obok siebie żadnego sąsiada w samolocie, nikogo, na kim mogłabym skupić myśli czy podzielić się gumą do żucia, więc przeglądam magazyny od Sophie. Dowiaduję się, że obrus w kratkę stworzy domową atmosferę w każdym wnętrzu, a łazienki o fioletowo-pomarańczowym wystroju zdobywają przebojem cały Teksas i widuje się je w najlepszych domach. Jeden z artykułów twierdzi też stanowczo, że kaczki wyszły z mody, teraz na topie są bażanty. Nie mogę nie zauważyć, że Sophie postawiła obok duży znaczek, nie jestem pewna dla kogo.

TLR

Rozdział trzeci

Praca ze słuchawkami na uszach

Nie lekceważ Janie - poucza mnie Maria takim tonem, jakby radziła mi wziąć do końca wszystkie lekarstwa. - Pod tą ślubną obsesją kryje się pełna powagi kobieta.

- Raczej pełna problemów - mówię, niezbyt pewna, czy mam ochotę roztrząsać psychologiczne aspekty sześciokrotnych zaręczyn mojej siostry.

- Może i tak - godzi się Maria - ale widziałam, jak prowadzi tę swoją galerię sztuki, jak sprzedaje pięciocyfrowe, zatopione w szkle pęcherzyki powietrza i nawet nie wystąpi jej kropelka potu na czoło.

- Ja się pocę od samego patrzenia na te dzieła - wyznaję. - Zawsze się boję, że podczas rozmowy zamacham rękami i któreś zrzucę.

W McAnderson Gallery, gdzie Janie jest zastępczynią kierowniczką, wszystkie wystawiane przedmioty są ze szkła.

- Lepiej nie gestykulować w galerii szklanych dzieł sztuki - potwierdza Maria.

- Ale Janie gestykuje - zaznaczam.

- Tak, to prawda, i to całkiem swobodnie. Zdarza mi się, że przystaję tam i obserwuję ją przez okno.

- Widziała cię?

- Jasne. Czasem wchodzę. Czasem tylko stoję i patrzę. Machamy do siebie. Istnieje między nami milczące porozumienie. - Maria kiwa głową, jakby to było dla niej oczywiste.

Jestem pełna podziwu dla tego milczącego porozumienia. Nieraz sama lubiłabym poobserwować Janie przy pracy, popatrzeć, jak komplementuje twórcę, używając właściwego żargonu zawodowego, jak bez śladu skrepowania otwiera wernisaz oblewany szampanem. Niekiedy moja młodsza siostra mnie zdumiewa.

- Gdzie tym razem wydamy dla niej wieczorek zaręczynowy? - pyta Maria.

Spisuję pomysły na wieczorek zaręczynowy, jedząc lunch przy biurku. W Science Press, Inc., gdzie jestem jednym z dwudziestu czterech redaktorów technicznych, nie mamy pokoju socjalnego z prawdziwego zdarzenia. Jemy przeważnie we własnych boksach, co przekształca nasze wspólne pomieszczenie - podzielone tymi ściankami działowymi, które sięgają zaledwie do podbródka - w jeden wielki plac piknikowy, pozbawiony jedynie dymu z grilla. Jest to zapewne również najcichszy plac piknikowy w historii, gdyż mamy zwyczaj jadać każdy z osobna. Jeśli zamknąć oczy, można sobie wyobrazić, że szelest przewracanych stron „The New York Timesa” to chrzęst jesiennych liści pod stopami, a zapach sałatki jajecznej i piwa korzennego dolatuje od rodziny piknikującej obok, która za

chwilę będzie grać w siatkówkę. Fantazjowanie podczas lunchu to jeden z naszych przywilejów pracowniczych.

Większość redaktorów technicznych nie rozstaje się z walkmanem i prawie wszyscy słuchamy tej samej stacji rockowej. Podczas finału ostatniego konkursu - nagrodą był chevrolet - gremialnie rzucono się do telefonów. Porównaliśmy nawet swoje listy piosenek, bo staramy się być redakcją równych szans. Ten konkurs polegał na wymienieniu wszystkich piosenek puszczonech podczas ostatnich trzech tygodni w godzinie południowej i zawierających słowa: „Ale cię Kocham”. Samo „Kocham cię” się nie liczyło. Jako redaktorzy znamy oczywiście wartość należycie użytego spójnika. Muszę tu zaznaczyć, że naprawdę ciężko czasem pracujemy, jednak konkursy radiowe pomagają nam wypełnić bolesną lukę po tym, czego nam brak w życiu.

Zaczynam spisywać listę poprzednich wieczorków zaręczynowych, które urządziłyśmy dla Janie:

1. *Wieczorek z chińskim żarciem pod hasłem: ulóż sentencję do ciasteczka z wróżką. Janie była zadowolona. Myślę, że nadal ma wszystkie nasze hasła, zapewne wetknięte w stare pierścionki zaręczynowe. Maria napisała: Mądra kobieta nie szuka rady w ciasteczkach. Ja chyba: Nie ma niechcianych prezentów - zawsze można dać je siostrze. Coś takiego. Do dziś nie wiem, co napisała mama, ale pamiętam, że Janie się zaczerwieniła.*

2. *Wieczorek wymiany szminek. Każda z nas przyniosła co najmniej jedną z tych szminek, które się dostaje w promocji kosmetyków („Nadzwyczajny prezent z okazji zakupu!”) i które nigdy nam nie pasują. Janie zakwestionowała ten pomysł, ale dostał mi się fantastyczny odcień burgunda. Matka zagabiła wszystkie odcienie brzoskwiniowe, jednak z drugiej strony przyniosła nam peeling do twarzy.*

3. *Wieczorek na statku wycieczkowym. Janie miała mdłości, ale nie zgłaszała do mnie pretensji. Maria upierała się, że dojrzała rekina w rzece Hudson, lecz jak się okazało, był to szlam. „Na pewno szlam-ludojad”, skwitowała.*

4. *Wieczorek obrzucania się ciastkami. No cóż, to nie było z góry zaplanowane. Janie ubolewa, że zniszczyłam sobie nową, białą, jedwabną bluzkę. Nadal twierdzę, że wszystko zaczęła nasza matka.*

- Rzuciłam tylko bułeczką - powtarza mama. - Był to gest czułości.

- Ale pierwszy gest - przypominam jej.

- Jasne - mówi. - Matka zawsze jest wszystkiemu winna.

5. *Wieczorek na pokazie psów. U niektórych kobiet wystąpiła reakcja alergiczna, ale Janie, jak my wszystkie, z zapalem porównywała psy różnych ras do swojego ówczesnego narzeczonego, Jerry'ego. W końcu uznała, że najbardziej podobny do niego jest szary sznaucer, ale nie chciała wyjawić dlaczego.*

- Nie sądzę, żebyśmy chciały znać dokładne kryteria - powiedziałam do Marii.

- *Prawdę mówiąc - odparła Maria - moim zdaniem przypomina raczej tego pekińczyka z różową wstążeczką.*

- *Niezbyt atrakcyjne zwierzę - szepnęła cicho nas matka, odchodząc w stronę bokserów.*

Kończę listę znakami zapytania, starając się wymyślić hasło na szósty wieczorek. Maraton no-wojorski? Pchli targ? Akcja krwiodawstwa?

Okrągła różowa twarz pojawia się tuż nad przepierzeniem naprzeciwko mojego biurka. To Tom, którego dziecięce rysy zawsze wywołują mój uśmiech. Mam ochotę pogilgać go w policzek, ale obawiam się, że byłoby to niewłaściwe zachowanie w stosunku do kolegi z pracy. Tom jest idealnym współpracownikiem - przeważnie milczy jak głaz. Czasem słyszę jego telefon, ale rzadko potem jego głos, a dzieli nas tylko cienka, prowizoryczna ścianka. Jednakże raz zdawało mi się, że coś sobie podśpiewywał. Zauważyłam, że powiesił w boksie maseczkę chirurgiczną, chociaż nie wiem po co, i nigdy nie widziałam, żeby ją nosił. Może to jedna z tych, których używają robotnicy budowlani, by nie wdychać azbestu, co mnie martwi.

Tom zawsze uprzejmie wręcza mi moją pocztę, która często z niewiadomych przyczyn ląduje na jego biurku, i nigdy nie próbuje zaglądać do środka przez przezroczyście okienka w kopertach.

- Cześć - mówię, powstrzymując prawą rękę, która wyciąga się, żeby go pogłaskać po twarzy.

Tom kiwa głową, co nauczyłam się odbierać jako ciche, przyjacielskie powitanie i podaje mi kartkę, po czym jego księżycowe oblicze zachodzi za ścianą. Okazuje się, że wręczył mi zaproszenie, takie jak na przyjęcie, z małymi konikami i zajaczkami wydrukowanymi na granatowo-żółtym tle. Wewnątrz kartki napisał: *Zjesz ze mną lunch?* Wydaje mi się to mocno skomplikowanym sposobem zaproszenia koleżanki z pracy na lunch, ale także dość oryginalnym. Poza tym, jak już mówiłam, rzadko kiedy ktoś z nas wychodzi na lunch. Wiem, kiedy moja szefowa, Monique, chce zjeść na mieście z kimś z nas, bo rzuca w niego wtedy zwiniętym kawałkiem kartonu, celując w głowę. Ma dobrego celu.

Pukam w ścianę i księżyc wschodzi.

- Jasne, Deli? - pytam szyfrem, oznaczającym knajpkę po drugiej stronie ulicy. Naprawdę nazywa się The Jelly Deli, co brzmi o wiele za głupio, żeby wypowiadać to w profesjonalnym otoczeniu.

Tom znów kiwa głową na znak zgody. Jest to kiwnięcie podobne do powitalnego, ale z lekkim błyskiem w oku. Jednak w rzeczywistości nie zastanawiam się nad tym, skąd znam tak dobrze niuanse jego kiwnięć.

Tego wieczoru oglądam w domu relację wojenną w wiadomościach, chociaż ściszyłam dźwięk, więc nie wiem, jaką wojnę relacjonują. Niewykluczone nawet, że jest to już kolejna wojna w programie. Czasami zmuszam się do patrzenia na te reportaże, może, aby wzbudzić w sobie wyrzuty sumienia, że nie wspomagam wszystkich akcji charytatywnych, jakie ogłasza się tydzień w tydzień. A może, aby docenić własne spokojne życie, co jednak nigdy nie skutkuje. Doprawdy nie wiem, jaki jest cel oglądania reportaży wojennych.

Kiedy przychodzi Maria, patrzy na ekran, zgłośnia na chwilę dźwięk, a potem wyłącza stanowczo telewizor, tymczasowo kładąc kres mojej fascynacji liczbą zaginionych ciał.

- Co ty oglądasz? - woła z obrzydzeniem. - I pewno jeszcze w tym czasie jesz, tak?

- To mi przypomina, jaką jestem szczęściarą - mówię. - I jak niewiele mam zmartwień.

- To chore!

- Tak - zgadzam się. - Ale za to przy tym mniej jem.

- Tylko żadnych rozmów o dietach! - zastrzega się. To jedna z jej zasad. Maria nie uznaje diet. Są jak religia, twierdzi, zbyt wiele przykazań i niewielka wartość odżywcza.

Maria lubi przebywać w moim mieszkaniu, bo jest większe od jej własnego. W końcu mam osobną kuchnię, za co, jak mówi, należą mi się dodatkowe punkty. Mam dodatkowe punkty za małą kuchenkę, za niezajeżdżanie drogi przy skręcie w lewo, za nieprzeklinanie, kiedy ktoś inny zajeżdża mi drogę, albo - jeszcze więcej punktów - za przeklinanie w wysoce twórczy sposób. Niemniej panujące u mnie porządki pozostawiają wiele do życzenia, o czym świadczy choćby materiał na zasłony porzucony w kącie, niedokończony kolaż dla matki za stolikiem telewizyjnym, a w drugim kącie obowiązkowa gitara z pękniętą struną, której nie tknęłam od lat, ale z którą nie mogę się rozstać. Mieszkam tu od czasu studiów, kiedy to dzieliłam salon/sypialnię z dwoma innymi dziewczynami, które koniecznie chciały mieszkać w Village. A potem spałam tu z Joshem, który zawsze wydawał się trochę za duży na to mieszkanie i dlatego spędzał większość czasu w swoim uniwersyteckim gabinecie, który był oczywiście jeszcze mniejszy niż mój salon. Tak czy owak, choć mieszkanie jest małe, dość zaniedbane i niezbyt reprezentacyjne, jest moje. To mój dom.

- Dzwoniłam do ciebie w południe, żeby spytać, czy znasz odpowiedź na pytanie konkursowe - mówi Maria. Słucha tej samej stacji. - Gdzie się ukrywałaś?

- Wyszłam na lunch.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Nie. Mój towarzysz z za przepierzenia, Tom, i ja poszliśmy do Jelly Deli.

- To się nazywa The Jelly Deli, nie zapominaj - informuje mnie Maria. - Irytują się, kiedy się opuszcza The. Czy ja znam Toma?

- Nikt go tak naprawdę nie zna - mówię.

Jak zawsze, Tom był milczący podczas lunchu. To głównie ja podtrzymywałam rozmowę, mówiąc o siedmiu książkach, nad którymi pracuję, o autorach, którzy do mnie dzwonią, o tym, jak miło będzie, kiedy skończy się zima - ten rodzaj konwersacji, jaki prowadzi się z własną babką. Tom z wrodzoną sobie biegłością tylko kiwał głową, od czasu do czasu dorzucając uśmiech. Przy rosole jego twarz nabrała ciepłego, brzoskwińowego koloru. Opowiadam Marii to wszystko.

- Czy powiedział coś znaczącego? - pyta. - Z jakiej jest planety, do jakiej apteki chodzi, czy zarabia więcej od ciebie? Czy wspomniał coś, że kiedy słyszy, jak stukasz w komputer, serce zaczyna mu pikać z rozkosznym, ale groźnym dla życia uniesieniem?

Potrząsam głową.

- Powiedział, że podoba mu się wystrój naszej redakcji, zwłaszcza kolorystyka.

Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że nasza redakcja ma jakąś kolorystykę, ale Tom zwrócił mi uwagę na kojące połączenie szarego z bladoniebieskim. To najbardziej osobisty temat, jaki poruszyliśmy.

- A więc to był tylko lunch - stwierdza Maria zawiedzionym tonem.

Pewno liczyła na więcej. Nie wiem, na co ja liczyłam, ale nie czuję się jakoś szczególnie rozczarowana.

- To była tylko sałatka z kurczaka - mówię. - Rzadko zdarza mi się coś więcej niż sałatka z kurczaka.

Moja sałatka z kurczaka staje się tematem dnia.

Nina, przyjaciółka od serca w redakcji, zagląda do mnie nazajutrz tuż przed lunchem. Wchodzi do mojej klitki i przysiadła na stołku do dojenia, który trzymam na takie wizyty. To prezent od Josha z przeszłego życia, antyk, co się objawia głównie tym, że jest chybotliwy. Kiedy Nina siada, obie zdejmujemy słuchawki. Rozgląda się ostrożnie.

- Wysłaś wczoraj na lunch - zauważa.

Nina jest moją ulubioną redaktorką. Ma dwadzieścia parę lat i to jej pierwsza praca, więc czuje się zagubiona i niepewna. Jest ładną blondynką z rodzaju tych, które nie wzbudzają zazdrości, które nie chełpią się swoją urodą, lecz noszą ją z naturalną niedbałością, nie myśląc o tym, podobnie jak reszta z nas nosi torby zarzucone na ramię. Poza tym, kiedy się uśmiecha, jej uśmiech jest promienny i szeroki, ukazujący cały garnitur niezliczonych białych zębów.

- To był tylko lunch - mówię. - Sałatka z kurczaka. Z Tomem. - Wskazuję na przepierzenie.

- Ciii... - Nina podnosi się i zagląda górą do boksu Toma. - Nie ma go.

- Wydaje mi się, że uprawia czasem w przerwie jogging - informuję ją.

- Biega.

- Biega?

- Uprawia bieg, nie jogging - poprawia mnie Nina. - Jogging jest niezdrowy.

- Czy te dwie dyscypliny wymagają różnych butów? - pytam. Wygląda na to, że Nina się na tym zna.

- Jasne. Teraz nie można już nawet kupić butów do joggingu. Zastanawiam się, co się stało z tymi wszystkimi niesprzedanymi butami do joggingu, ale nie pytam.

- Mogliście przynieść lunch tutaj - zauważa.

- Chcieliśmy porozmawiać.

- No tak, to prawda, tutaj nikt nie rozmawia. Ale mogliście iść do pokoju lodówkowego.

Ktoś kiedyś nazwał nasz pokój śniadaniowy pokojem lodówkowym, choć niektórzy przechrzcili go na zamrażarkowy. Nie tylko jest zimny i zajęty przez ogromną dwudrzwiową lodówkę, ale znajdują się w nim jeden stary stolik z lodziarni, dwa lodowate krzesła z kutego żelaza i ekspres do kawy, toteż nie tyle nadaje się do jedzenia w nim lunchu, ile do schładzania lunchu. Niemniej czasem chodzimy tam pogadać, kiedy mamy taką potrzebę. Poplotkować można sobie też w boksie, jak to robimy teraz. I tak nikt nas nie usłyszy przez słuchawki, które wszyscy mają na uszach.

- Myślałam, że może rozmawialiście o odejściu z pracy - mówi Nina. - Wiesz, o poszukaniu czegoś nowego.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sama nie wiem. Słyszysz się to i owo. A może tylko wydaje mi się, że słyszałam różne rzeczy.

Jak sędzę, Nina mówi o plotkach biurowych, nie o głosach w jej głowie. Odsuwam machnięciem ręki jej zmartwienia.

- To był tylko lunch - powtarzam, poklepując ją skoroszytem. - Lubię moją pracę - zapewniam, i to prawda.

- Wiem, wiem - mówi, drapiąc paznokciem po indeksie.

- Co w tym wielkiego? Że wyszłam na lunch? Czy ludzie o tym plotkują?

- Nie, nie. Tylko widziano was i to wzbudziło zaciekawienie. No i nie było cię, kiedy przyszedłam w południe zapytać o pytanie konkursowe.

Wyobrażam sobie to poruszenie w pracy spowodowane moją sałatką z kurczaka. Ciekawe, czy gdybyśmy poszli na coś elegantszego, jak homar, ton plotek by się zmienił, a z troskanie wzrosło. Wygląda na to, że ludzie obawiają się najgorszego po towarzyskim spotkaniu dwóch redaktorów technicznych.

Moja siostra, Janie, dzwoni do redakcji w porze lunchu oznajmiając, że właścicielka galerii, Melody McAnderson, chce wydać dla niej przyjęcie zaręczynowe. Nie po raz pierwszy.

- Zdaję sobie sprawę, że istnieje różnica pomiędzy przyjęciem zaręczynowym a wieczorkiem zaręczynowym, ale może tym razem darujemy sobie wieczorek - sugeruje.

Sposób, w jaki mówi „tym razem”, każe mi się zastanowić, czy będzie jakiś „następny raz”. Tak czy owak, jestem trochę rozczarowana. Mimo moich utyskiwań, dobrze się bawiłam na wieczorkach, które urządziłyśmy dla Janie. Mój głos z pewnością zdradza to rozczarowanie, chociaż bąkam jedynie:

- Och...

- Po prostu Jackson uważa, że mam już dość przedmiotów gospodarstwa domowego - wyjaśnia Janie. - Nie jest zwolennikiem zbyt wielu sokowirówek.

Jackson to naturalnie obecny narzeczony numer 6, młody prawnik z kancelarii w śródmieściu. Co roku wynajmuje dom na lato w sztywnej miejscowości, do której jego rodzina jeździ od pięćdziesięciu lat, jak podkreśla. Jedyna rzecz, jaką moja rodzina robi od pięćdziesięciu lat, to się kłóci. W gruncie rzeczy, robi to zapewne od stuleci.

- A co mówi na temat damskiej bielizny? - pytam.

- W tym względzie nie ma uprzedzeń.

Coś w Jacksonie drażni moją matkę, ale nigdy nie powiedziała co. Kiedy ją pytam o opinię, odpowiada: „Jak można ulepszyć ideal?”, lecz jej ton wskazuje, że to i owo wymagałoby ulepszenia. Odpowiedź Marii była prostsza, choć bardziej krytyczna: „Widziałas, żeby miał na sobie dwa razy ten sam krawat?”

- No cóż... - proponuję - może moglibyśmy tak czy owak się spotkać na czymś w rodzaju wieczorku, oprócz przyjęcia. - Wiem, że Maria też będzie rozczarowana. Lubi stroić się na te wieczorki i uwielbia przypinać sobie jedną z tych. plakietek z imionami: „Cześć, mam na imię Maria!”, które zawsze przynosi.

- Oczywiście, że możemy - mówi Janie łagodnie, jak do dziecka.

Kiedy odkłada słuchawkę, wzdycham i wbijam wzrok w niebieski długopis, zastanawiając się, jak przebrnąć przez następną rundę zaręczynową mojej siostry. Bazgrzę koguty na mojej liście z pomysłami, jako że koguty to jedyny rodzaj bazgrołów, jaki opanowałam. Niektóre wyglądają, jakby piały, przynajmniej w moich oczach. Nad przepierzeniem pojawia się twarz Toma, który patrzy na mnie z niemym pytaniem, niezbyt dla mnie jasnym. Uśmiecham się, ale mało przekonująco.

Tom delikatnie puszcza w moim kierunku papierowego gołąbka i znika. Ptaszek origami ląduje wprost przede mną, ma skrzydełka wprawnie przycięte ostrymi nożyczkami. Podziwiam kunszt Toma, nie mówiąc już o stosownie wybranym czasie. W takich momentach podejrzewam, że nie zawsze słucha radia przez słuchawki.

Rozdział czwarty

Odpowiedz Janie

Tym razem to Janie proponuje, jak możemy razem uczcić jej zaręczyny, podsuwając nowy pomysł. Zwykle byłabym za czymś nowym, ale mam niejasne obawy, jak się to skończy. Niemniej, łądujemy w czwórkę w samochodzie - mama, Janie, ja i Maria - z zamiarem odbycia podróży zaręczynowej. To nie to samo, co wykazanie obywatelskiej postawy poprzez udział w akcji krwiodawstwa, nie mówiąc już o przyjemnym poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, ale, jak zauważyła Maria, zawsze możemy przynajmniej stanąć gdzieś na ciastka i sok owocowy. Maria błagała, żebyśmy ją zabrały.

- Wyrosłam w domu pełnym chłopaków - tłumaczy, mówiąc o swoich pięciu braciach - chciałybym zakosztować kobiecej więzi.

Ja też chciałabym jej zakosztować, chociaż wątpię, czy toyota z osiemdziesiątego dziewiątego roku jest do tego najlepszym miejscem.

- Taka podróż może nas wpędzić w tarapaty - oświadczam ponuro.

- To ja mogę was wpędzić w tarapaty - mówi mama dzielnie - ale usiądę z przodu.

Nie pamiętam, żebym jeździła samochodem z matką i siostrą od czasów wczesnej młodości. Jeszcze widzę Janie wystrojoną w strój cheerleaderki. I to ja wtedy siadałam na przednim siedzeniu, walcząc z chorobą lokomocyjną i wkuwając materiał z grubego podręcznika historii, który przydaje mi się wyłącznie do wygrywania quizów i konkursów radiowych. Teraz znów siedzimy wszystkie razem w przyjemnym sedanie mojej matki, chociaż Maria ofiarowała się, że zabierze nas swoim dodge'em. Maria jest naprawdę podekscytowana tą podróżą, spakowała się starannie i uczesała w łatwą do utrzymania fryzurę, czyli ściągnięty niedbale do tyłu koński ogon. Wygląda jak grzeczna dziewczynka, siedząca jak trusia na tylnym siedzeniu samochodu.

Jej matka była wiecznie zajęta użeraniem się z pięcioma synami. Maria mówi: „Ciągle słyszałam: «Muszę iść do szkoły porozmawiać o tej piłce, którą zniszczył twój brat». Albo: «Jesteś dziewczynką więc lepiej nie sprawiaj kłopotów. Piorę ci ubranie, ale to cała uwaga, jaką ci mogę poświęcić»". Maria chce się przekonać, jak radzą sobie kobiety we własnym kółku, jak dzielą tę uwagę między siebie.

Janie prowadzi pierwsza, ponieważ, jak twierdzi: „Jestem bardzo bystrym kierowcą". Poza tym jest uważna, uprzejmą i najwyraźniej sprytna, skoro wyłgała się z pięciu mandatów za przekroczenie szybkości - przynajmniej o tylu wiemy.

- Może się przekonamy, jak ona to robi - szepcze do mnie Maria. Ona sama nie chce się przyznać, ile mandatów jej wlepiono, ale twierdzi, że ma zamiar ustanowić swój własny prywatny rekord, a

poza tym policjanci zawsze z zainteresowaniem patrzą, jakim cudem ktoś się rozpędził takim starym gratem.

Mama siedzi na przednim siedzeniu pasażera, trzymając na kolanach porządnie złożone mapy Nowego Jorku, New Jersey i Pensylwanii, dokąd zmierzamy, aby „z całym szacunkiem przyjrzeć się z bliska, jak żyją amisze”, jak powiedziała Janie. Wydaje mi się, że dożycie trzydziestki bez gapienia się na amiszów jest rzeczą chwalebną, ale mama upiera się, że tracę cenne doświadczenie. Maria zgodziła się z nią, dodając, że obserwacja nieznanym ludzi ubranych na czarno powie mi coś o mnie samej.

- Jak miło i spokojnie - mówi Maria teraz. - Gdybyśmy byli w samochodzie z moją rodziną, ktoś już by został przy drodze.

Myślę o wszystkich rzeczach, które mogłam robić podczas tego weekendu u siebie w mieszkaniu - szyć zasłony, prać, prasować kapek, wyliczać, ile dni dokładnie żyję - kiedy przerywa mi głos matki.

- Będziemy grać w gry samochodowe, czy jesteśmy już na to za stare?

- Starość to słowo, którego do siebie nie dopuszczam - oświadcza Janie.

- Ja tak czy owak nie chcę grać w żadne gry - zaznaczam.

- Nie psuj zabawy, Holly! - krzyczą matka i Janie jedna przez drugą.

- I - dodaję - samo to, że jesteśmy grupą kobiet nie oznacza jeszcze, że musimy śpiewać.

- Albo mówić o miesiączkach - dorzuca Maria.

- Albo o piersiach - wtrąca mama.

- To mężczyźni zawsze mówią o piersiach - zauważa Maria.

- Albo o mężczyznach - dodaję.

- Albo o dietach.

- Albo o kosmetykach.

- Albo o wyprzedażach. Zapada moment ciszy.

- Już wiem - mówi mama. - Porozmawiajmy o polityce. Powiedzmy, że macie szansę spędzić wieczór z dowolnym prezydentem.

- Którego ty byś wybrała? - pytam.

- Tego, który jest najwyższy i nadal żyje, oczywiście. Załóżmy, że nie musicie się martwić Pierwszą Damą, służbami specjalnymi i tymi prezenterami telewizyjnymi, którzy dzisiaj wszędzie wściubiają nos. Poszłybyście?

- To głupie - stwierdza Janie.

- To ma być tylko kolacja? - pyta Maria. - Czy powinnam włożyć coś rozpinanego na zamek błyskawiczny z przodu?

- To zależy, czy na niego głosowałaś - mówię.

- Chciałabym zobaczyć, jak prezydent posługuje się pilotem telewizyjnym - oświadcza Janie. - Można wiele powiedzieć o mężczyźnie, dając mu coś elektronicznego do ręki. Czy jest zdeorientowany? Czy wie, do czego służą poszczególne przyciski? Czy pyta cię o radę, czy ciska pilotem w stół, jeśli coś nie działa?

Przez chwilę rozważamy to w milczeniu.

- Więc spotkałabyś się z nim? - pyta Maria Janie.

- Oczywiście, że nie. Przecież jestem zaręczona.

- To założenie hipotetyczne - mówię i łapię się na tym, że nie do końca wiem, czy mam na myśli randkę, czy jej zaręczyny.

- A co, gdybyś mogła się z nim umówić i pomóc mu podjąć ważną decyzję, której skutki odczują kobiety w samochodach na całym świecie? - pyta matka.

- I miałabyś na sobie coś na zamek błyskawiczny - dorzuca Maria.

Janie myśli przez chwilę.

- Nie chcę już grać w tę grę. Patrzcie, policja.

Janie naciska gaz i obie z Marią chwytamy się rączek na drzwiczkach. Podjeżdżamy do policjanta na motocyklu, czekającego na poboczu na takich piratów drogowych jak my. Policjant podnosi głowę, widzi przemykającą obok białą toyotę i macha do Janie. Janie odmachuje mu. Jesteśmy w połowie drogi.

Jemy kolację w zajeździe, który może być autentyczną kryjówką amiszów albo pułapką turystyczną, trudno mi powiedzieć. Ale biało-granatowe obrusy w kratkę wyglądają znajomo i zachęcająco, a koszyczki z szyszkami sosnowymi, rozstawione jako dekoracja, spowijają wszystko zapachem Bożego Narodzenia. To miejsce o domowej atmosferze, gdzie można bezkarnie rozlać mleko, jeśli jest się dzieckiem, a może nawet jeśli jest się dorosłym. Matka uważa, że amiszowskie czepki na głowach kelnerek to dobry pomysł, bo włosy nie wpadają do potraw. Jej uwaga skłania Janie do sięgnięcia po notes, w którym zaczyna coś skrobać. Wszystkie staramy się zobaczyć, co pisze, ale ona trzyma się na baczności.

- Nie, nie, nie - mówi, ściągając notes na kolana.

Przynoszą nam kolację; proste, ale smacznie doprawione dania, w rodzaju kurczaka, ryby i kartofli, podane z sosem, lecz bez niespodzianek. Maria i ja bez skrupowania dzielimy się kawałkami swoich potraw. Janie jest zde gustowana.

- Nie jestem pewna, czy amisze to aprobują - mówi.

Patrzymy na nią a potem na siebie i wymieniamy się całymi talerzami. Na twarzy Janie maluje się zgroza. Odwraca się po wsparcie do matki, ale ta nabija sobie na widelec jej zielony groszek. Nasza grupka swym zachowaniem wyraźnie daje odpór Janie.

- Jedz i nie przejmuj się, kochanie - zachęca ją mama. Maria i ja jednocześnie sięgamy po jej groszek. Mama chichocze.

- Pamiętajcie, że to ona jest gościem honorowym - przypomina.

- Racja - zgadzam się.

Maria i ja oddajemy Janie trochę naszego groszku i marchewek. Jedna z marchewek odbija się od jej talerza i ląduje na dywanie obok innego stolika. Janie lekko zielenieje.

- Teraz zaczyna to wyglądać jak posiłek z moją rodziną - mówi Maria.

Janie przeprasza nas na chwilę. Kiedy znika w toalecie, matka i ja rzucamy monetą, kto ma z kim spać. Przegrywam, więc dostaje mi się Janie. Mama nie kryje ulgi.

- Ona ma tyle kremów do twarzy - wyjaśnia - że wpędza mnie to w kompleksy.

Maria mówi, że jeśli o nią chodzi, to i tak najbardziej chciała dzielić pokój z matką.

- Miałam nadzieję, że Allison zada mi te wszystkie matczyne pytania o chłopców, których moja rodzina dawno zaniechała.

- Nie martw się, złotko - pociesza ją mama. - Obiecuję zadać ci mnóstwo niedyskretnych pytań.

Maria uśmiecha się z wdzięcznością.

Chcąc wynagrodzić Janie droczenie się z nią, do czego jest nieprzyzwyczajona, pozwalamy jej samodzielnie zjeść całą tartę cytrynową. Widzę, jak zerka łakomie na mój tort orzechowy zwieńczony lodami, ale wiem, że nigdy nie przyjąłaby ani kęsa. Wszystkie cztery trzymamy nasze łyżeczki przy sobie.

Staram się potraktować to jako okazję do lepszego poznania mojej młodszej siostry i zgłębienia rozmaitych niespodziewanych zwrotów zachodzących w jej umyśle. Śpimy w pokoju urządzonym w wiejskim stylu w czasach, kiedy nie było to jeszcze w modzie. W rogu stoi staroświecka miotła lekko pachnąca gałką muszkatołową. Jak sądzę, nie musimy jej używać. Nasze kapy są haftowane w sosny i psy myśliwskie, a mosiężne lampki nocne bzyczą cichutko, jak przyjacielskie wiejskie owady. W dzieciństwie nie chciałam spać w jednym pokoju z Janie, bo mówiła przez sen do postaci z bajek. Kiedyś wyraźnie słyszałam, jak radziła Kopciuszkowi, by sznurowała buciki zamiast pantofelków. Mam nadzieję, że już z tego wyrosła.

Janie śpi w długim różowym T-shircie z terierem szkockim na piersiach, a blond włosy zaczesuje porządnie w koński ogon. Jako lekturę do poduszki bierze *Radość seksu* i śmiało zabiera się do czytania. Mam ochotę zadać jej parę pytań, ale nie wiem, od czego zacząć. Zastanawiam się, czy czytałaby to, gdyby spała z matką. I czy matka by to jakoś skomentowała. A może ma własny egzemplarz, choć nie jestem pewna, czy chcę to wiedzieć. Przez chwilę czuję, że jestem jedyną osobą w rodzinie, która nie ma tej książki. Kiedy Janie widzi, że na nią patrzę, mówi jedynie: „To nowe wydanie”. Budzi to moją ciekawość, co się zmieniło. Czy seks został zmodernizowany? Czy moja młodsza siostra wie o czymś, co wynaleźli po tym, kiedy zdawało mi się, że wszystko już wiem? W końcu Janie odkłada

książkę. Czas na dziewczynską rozmowę, plotki, które stają się tym lepsze, im bardziej jest się zmęczonym. Lecz Janie tylko patrzy na mnie. Więc ja muszę zacząć.

- Nie wiedziałam, że jest nowe wydanie - mówię ostrożnie.

- Właściwie chyba tylko szata graficzna się zmieniła. Ale lubię być na bieżąco.

Prawdę mówiąc, Maria i ja spędzamy mnóstwo czasu, spekulując na temat życia seksualnego Janie. Przy sześciu narzeczonych to nie do uniknięcia. Sama Janie nigdy nie zwierzała mi się z tych spraw ani nie przychodziła do mnie z pytaniami. No, ale ma książki. Istnieje, oczywiście, niewielkie prawdopodobieństwo, że nasza poprawna do bólu Janie jest nadal dziewicą, ale jakoś nam się nie wydaje. Tak czy owak, nadszedł właściwy moment, żeby ją wy badać.

- A Jackson - pytam - oglądał to nowe wydanie? - Chociaż właściwie to naprawdę nie moja sprawa.

Janie nawet nie mruga okiem.

- Lubimy czytać sobie na głos rozmaite fragmenty. Czasami robimy sobie małe kwizy.

Kiwam głową. Jakie pytanie, taka odpowiedź.

- Kiedyś - mówi Janie, zniżając głos - zrobił mi połączenie kropeczek.

- O, to bardzo miło.

- Ale nie jest szczególnym artystą. Szukam w myśli odpowiedzi.

- Jednak to fajnie móc razem robić rozmaite rzeczy.

- To podstawa - mówi Janie.

Nie wiem, co powiedzieć. Staram się wyobrazić sobie siebie z mężczyzną moich marzeń, kartkujących razem *Radość seksu*.

Nie bardzo mi to idzie, jako że ów mężczyzna z początku wygląda trochę jak Josh, a potem przybiera zamazane rysy mojego współpracownika, Toma. Sama książka zaczyna przypominać gazetę z programem telewizyjnym, a ludzie w mojej wyobraźni mają zagubione miny, jakby nie mogli nic w nim znaleźć. Słucham bzyczenia lamp i żałuję, że nie jestem z Marią. Słyszałam, jak szeptały do siebie z mamą coś o grze w szachy, kiedy odchodziły do swojego pokoju. Janie siada na łóżku.

- Martwię się o mamę - mówi, kładąc książkę na kolanach.

- Myślę, że nieźle sobie radzi - zapewniam ją. - Ma Ronny'ego i planują tę przydługą podróż, na którą się cieszy.

- Ale co się z nią stanie, kiedy wyjdę za mąż?

- Z mamą? Będzie szczęśliwa. A co niby ma się stać?

- Och, Holly, jesteś beznadziejna w ocenie rzeczywistości - wzdycha Janie. - To zmieni cały nasz układ rodzinny. - Zaczyna znów kartkować książkę, wyglądając strony.

Wydaje mi się, że Janie się myli, w każdym razie w ocenie skutków jej zamążpójścia, jeśli o tym mówimy. Próbuję dojść, co rozumie przez nasz układ rodzinny, w którym z pewnością zaszły już

pewne zmiany, kiedy ojciec odszedł do Sophie. To zwykle ja jestem najbardziej przeciwna zmianom, rodzinnym, pogodowym, jakimkolwiek. Ale jeśli chodzi o małżeństwo Janie i doprowadzenie do końca choćby jednych zaręczyn, to myślę, że zmiana byłaby rzeczą pozytywną.

- Nie bardzo rozumiem - przyznaję.

- Sama nie wiem... - To wszystko, co mówi, po czym znów bierze książkę i zagłębia się w techniki seksualne.

Jak sądzę, oznacza to koniec naszej intymnej rozmowy, naszej siostrzanej pogawędki od serca. Jestem nieco skonfundowana i niezbyt pewna, czy się nie przesłyszałam, czy nie odpowiedziałam bez sensu na jej pytanie, a może ona w ogóle nie zadała żadnego pytania? Czuję się, jakbym coś gdzieś zawieruszyła, pod prześcieradłem, na stoliku nocnym albo parę centymetrów od siebie. Naprawdę chciałabym zrozumieć Janie, pomóc jej przezwyciężyć to, co ją blokuje, ale jest pochłonięta książką. Jak widzę, zwróciła się o radę do ekspertów. Ciekawe, czy jest tam rozdział o stosunkach seksualnych w dobie dysfunkcyjnych stosunków rodzinnych. W końcu to nowe wydanie.

Wyglądam mój stary, szary, podarty T-shirt, który chyba kiedyś był Josha, albo może ukradł mi go, zanim ja mu go ukradłam. Gaszę lampkę nocną i zamykam oczy, żałując, że nie wzięłam własnej książki, jakiejś bajki ze szczęśliwym, nawet jeśli nieprawdopodobnym, zakończeniem.

Spotykamy się na śniadaniu w jadalni naszego zajazdu, wypełnionej jeszcze większą liczbą szyzek, co mi się tym razem kojarzy z niezbyt udanym Bożym Narodzeniem. Janie od samego rana opowiada mi o swoich ślubnych planach, więc może cały zeszły wieczór powstał jedynie w mojej wyobraźni. Mówi, że obecna moda kwestionuje konieczność posiadania welonu przez pannę młodą. Ja też to kwestionuję.

Wchodzi mama z Marią i dobiega mnie strzęp ich rozmowy.

- Po prostu nigdy nie lubiłam u mężczyzn tych podkoszulków bez rękawów - wyjaśnia mama Marii i odwraca się do nas. - Cześć, jak się macie? Dobrze spałyście?

- Osiem godzin w krainie snu - mówi moja punktualna siostra.

Moja własna kraina snu nieco się już zamazała, ale pamiętam, że śnił mi się wieczorek zaręczynowy, na którym to ja byłam honorowym gościem i wszyscy dawali mi podręczniki technik seksualnych. Matka wręczyła mi taśmę wideo i pokazała ją Marii i Janie, które z aprobatą kiwnęły głowami. Jakaś kobieta, skrzyżowanie koleżanki z liceum i higienistki szkolnej, dała mi cztery balony w granatowo-białą kratkę, które wszyscy powitali z entuzjazmem, ale ja nie byłam pewna, czy prezent jest natury seksualnej. Byłam zapewne jedyną osobą w tym śnie, która tego nie wiedziała.

- Przegadałyśmy całą noc - odzywa się Maria. - I wasza mama zaplotła mi warkocze. - Wygląda tego ranka jak uczennica szkoły katolickiej, mimo konwersacji o męskich podkoszulkach. - Powiedźcie same, czy taka wyprawa samochodowa nie jest cudowna? - dodaje, wdychając głęboko zapach sosnowych szyszek.

Podczas śniadania mama wręcza Janie prezent zaręczynowy, chociaż Janie tego nie oczekuje. Gdzieś po trzecich zaręczynach poprosiła, żeby nie dawać jej już prezentów, z których większość potem zwracała, w przeciwieństwie do pierścionków. Niektórzy, naturalnie, nie chcieli ich odbierać, ale ja do nich nie należałam. Po kilku wieczorkach pakowałam znów tę samą sokowirówkę i dawałam jej z powrotem, a potem zabierałam. Nadal ją mam; owinięta w ozdobny papier i obwiązana żółtą wstążeczką stoi na półce pod zlewem za mikserem. Może kiedyś podrzucę ją do mieszkania Janie.

Jednakże matka jest przeciwna niedawaniu prezentów, jakby takie zaniechanie kusiło zły los. Kupiła prezent sama, ale napisała na nim także imię Marii i moje, jakbyśmy były dziećmi, którymi stałyśmy się na powrót podczas tego weekendu.

- Szczęśliwych zaręczyn - mówi. - Oby tym razem były owocne. - Mruga do mnie, a Maria chce.

- Przecież wiesz, że miałaś tego nie robić - kryguje się Janie.

- Wiem, wiem, słyszałam to już kilka razy. Otwórz.

Janie rozpakowuje kwadratową paczuszkę, w której jest niewielka, oprawiona w ramki akwarela, niemal mieszcząca się jej w dłoniach. Pejzaż przedstawia drzewa i kwiaty - nasza rodzina zawsze miała słabość do kiczowatych krajobrazów - i przypomina teren piknikowy z naszego dzieciństwa. Niemal widzę ławkę ukrytą za drzewami. Janie najbardziej z nas lubiła te rodzinne pikniki. Reszta rodziny zawieszala wszystkie kłótnie na czas pikniku z poczuciem, że robimy to dla Janie, choć zapewne robiliśmy to też dla siebie. Zawsze chciałam, żeby Janie miała beztrudne dzieciństwo, bo byłam starsza, a ona była takim miłym i ładnym dzieckiem, któremu chce się przychylić nieba. Pewno też skierowałam na nią całą uwagę, której nie chciał mój brat. Janie trzyma obrazek, prawdziwie wzruszona.

- To wygląda jak w domu - szepcze i dziękuje nam wszystkim.

Kelnerka, która zmierza do naszego stolika z dwoma dzbankami kawy, obrzuca naszą czwórkę baczny spojrzeniem i gwałtownie zawraca.

- No już, dziewczęta, nikt nie lubi zimnych grzanek - mówi mama, jednym pociągnięciem przerywając ciszę i przypominając nam o jedzeniu.

Spędzamy resztę dnia, chroniąc się przed niespodziewanymi opadami deszczu, co nas dzisiaj trochę wycisza. Dźwięk wody uderzającej o ziemię zastępuje nam rozmowę, kiedy oglądamy widoki i słuchamy przewodników. Posuwamy się cicho i w skupieniu przez mżawkę, która wypełnia luki pomiędzy ulewą. Kiedy czuję pierwsze krople na włosach, ogarnia mnie błogość i spokój. Przeżyłam już niejedną deszcz. W drodze powrotnej też siedzimy jak trusie, słuchając starych taśm matki do akompaniamentu miarowego stuku wycieraczek. Wszystkie jesteśmy senne i ociężałe, czujemy się niemal jak zahipnotyzowane.

Po zakończonej wycieczce, kiedy matka wysadza mnie na rogu, maszeruję przez łagodniejszy, bardziej miejski deszcz i kupuję torbę pomarańczy. Kusi mnie, żeby rozpakować to obwiązane żółtą

wstążeczką pudełko schowane w kuchni. Szkoda marnować taką porządną sokowirówkę, a poza tym mam ochotę na coś cierpkiego.

Rozdział piąty

Nogi żyrafy

Zdjęcia w książce medycznej, nad którą pracuję, są tak obrzydliwe, tak przykre, że wszyscy redaktorzy kulą się, kiedy zachodzą do mojego boks i widzą je na biurku. Niemniej zaglądają do mnie i ukradkiem rzucają na nie okiem. Publikujemy różne książki naukowe. Ta moja, z dwudziestoma dwoma całostronicowymi ilustracjami, nosi tytuł *Szczegółowa strategia walki z rakiem jajnika*. Zauważyłam, że ostatnio wiele medycznych tekstów czerpie tytuły z języka wojskowego. Fotografie pokazują galaretowate, miękkie narośla, które każą ci się chwycić za brzuch z głębokim przekonaniem, że już czujesz ból. Moja szefowa, Monique, która pochodzi z Filipin i jest kobietą twardo stąpającą po ziemi, nigdy nie mruga nawet okiem na widok takich zdjęć. Jak sądzimy, ma koło czterdziestki, ale nikt nie odważył się jej zapytać. Monique lubi stawać przy moim biurku i przeglądać książkę.

- Okropne - mówi, nachylając się nad fotografią. - Straszne - dodaje, krzywiąc się przy następnej.

Czasami używa szkła powiększającego, badając to, co ją tak fascynuje. Poświęca się temu przez dłuższy czas, oglądając dokładnie każdą ilustrację, potem potrząsa głową, klepie mnie po ramieniu, mrużąc coś w rodzaju „fuj”, i wychodzi.

Nie mogę już znieść widoku tych zdjęć, gdy zostawiają mi na biurku powiększone odbitki albo gdy kartkuję książkę, robiąc końcowe poprawki. Staram się na nie nie patrzeć, ale i tak mam przed oczami zbyt dużo różowej materii. Idę do działu graficznego po papier pakowy. Przycinam go i zaklejam od góry każde zdjęcie kawałkiem taśmy, przez co maszynopis wygląda, jakby wyszedł spod rentgena. Kiedy Monique zachodzi następnym razem, przegląda książkę i widzi zaklejone ilustracje. Wygląda na nieco rozczarowaną, ale mówi:

- Bardzo słusznie, Holly.

Zauważam, że ludzie od jakiegoś czasu coraz rzadziej do mnie zaglądają.

Obecnie pracuję nad o wiele przyjemniejszą książką o wielorybach - ze zdjęciami zadowolonych z życia wielorybów pluskających się w chłodnych wodach. Monique nazywa tę książkę *Orka*, jako że ma kryptonim dla każdej mojej książki. Wyobrażam sobie wieloryby nurkujące w ciemnych wodach, potracające się lekko i wydające te swoje śpiewne dźwięki, kiedy słyszę przed sobą pukanie w przepierzenie. Odpukuję. Mały, papierowy homar spływa znad ścianki. Kunsztownie złożony, leci w powietrzu równie płynnie jak jego poprzednik, ptaszek z papieru, co w wypadku homara wydaje się

nico ekstrawaganckie. Uprzymamniam sobie, że od czasu lunchu Tom niemal nie otworzył do mnie ust, co nie znaczy, by podczas lunchu mu się nie zamykały. Wślizguje się rano do swojego boksu i wyslizguje po pracy, pozdrawiając nas skinieniem głowy, ale nic nie mówiąc. Milczące skinienia głową ma po mistrzowsku opanowane.

Na boku homara wykaligrafował starannie: *Zjesz ze mną kolację w przyszły wtorek?*

Jestem pod wrażeniem jego kunsztu w sporządzaniu origami i jego zdolności planowania naprzód. Postanawiam trochę się z nim podroczyć.

Wstaję i patrzę nad przepierzeniem, opierając podbródek o ściankę.

- Dziękuję za homara - mówię.

W rogu jego biurka leży stosik kolorowego papieru i pięć czy sześć zaostrzonych ołówków. Podnoszę homara, jakbym nie dostrzegła wypisanego na nim zaproszenia. Nawet nie wiem, dlaczego to robię. Jest poniedziałek. Czuję się zadowolona i bezpieczna w moim boksie nad książką o radosnych wielorybach. Ale do głosu dochodzi jakiś wstrętny impuls.

Tom jest zagubiony. Jednym z zaostrzonych ołówków wskazuje napis, więc obracam homara.

- O... - mówię, a potem: - Co to za słowo? - pokazuję palcem, choć nie ma sposobu, żeby nie odczytać takiego starannego pisma.

- Kolacja - szepcze Tom.

Zdaję sobie sprawę, że przez swoją złośliwość odcięłam sobie drogę wyjścia, możliwość uprzejmej odmowy. O czym będziemy mówić, to znaczy, o czym ja będę mówić podczas kolacji, która zwykle trwa dłużej niż lunch? Czy coś takiego jak światło świec zmieni sposób, w jaki Tom kiwa głową, i wypełni przerwy w konwersacji? Zmagam się z tymi myślami, wpatrując się w papierowego homara. Z drugiej strony, to takie oryginalne zaproszenie. Nie chcę odmawiać wsparcia dla takich innowacji. A może to coś więcej, jakiś sekretny pociąg do Toma, z którego nie zdaję sobie sprawy, może dlatego, że boli mnie podbródek, wciśnięty w krawędź ścianki.

- Jasne - mówię i odhaczam podbródek.

No, cóż. Nigdy dotąd nie spotkałam mężczyzny, który robi papierowe homary.

Matka ograniczyła się do dwóch dużych toreb i dwóch bagaży ręcznych.

- Myślałam, że wolno wziąć tylko jeden bagaż ręczny - mówię.

- To powszechnie panujący mylny pogląd - oświadczają. - Należy zawsze sprawdzić najpierw w swojej linii lotniczej.

Oglądamy jej wypchane torby, spakowane na długą podróż po Afryce z Ronnym. Mama twierdzi, że bez trudu zmieści cały bagaż na swoim niezniszczalnym, plastikowym wózku - chociaż to będzie bardzo ciężki wózek.

- Nie zamierzam zdawać się na Ronny'ego, żeby dźwigał moje bagaże - oznajmia. - Jestem kobietą niezależną

- To świetnie.

- Co nie znaczy, że nie może pomóc - dodaje mama, wyjmując skafander z jednej z toreb i przekładając go do bagażu ręcznego, a potem wyjmując go z bagażu ręcznego i jakimś cudem upychając do drugiej, pękającej w szwach torby.

Cofa się i podziwiamy jej kolekcję toreb, które wyglądają solidnie, ale ciężko. Mama wyjeżdża do Afryki w dzień po przyjęciu zaręczynowym Janie.

- Dziwnie jest pomyśleć, że można upchnąć cztery miesiące życia do czterech toreb - wzdycha mama. - I plastikowego wózka.

- Cztery miesiące! - powtarzam po niej. - Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Twoja matka to poszukiwaczka przygód - mówi. Dodaje jeszcze jeden spray na owady do mniejszego bagażu ręcznego i poklepuje torbę dwukrotnie, jakby chciała ją pochwalić.

- Jak sądzisz, ile owadów gryzących będzie na przyjęciu zaręczynowym Janie? - pytam.

Podnosi brwi, jakby trudno było powiedzieć.

Rzeczą, którą lubię w McAnderson Gallery, gdzie Janie pracuje jako zastępczyni kierowniczkii, jest wrażenie wywołane przez światło: poczucie magii. Dwupokojowa galeria, klimatyzowana chłodnym powietrzem, ma umieszczone wysoko nad głowami reflektory punktowe, w których kolory na poszczególnych dziełach sztuki zdają się tańczyć. Ukryty reflektor tu, nagły błysk światła tam, wypełniają przestrzeń iskrzącymi się szklanymi bąbelkami, którym towarzyszą malutkie cząsteczki czegoś bajkowego - to nie może być po prostu kurz - co wiruje w powietrzu od podłogi do sufitu. Zawsze oczekuję, że zaraz pojawi się czarownik w spiczastym kapeluszu, klepnie mnie w ramię, wskaże na błyszczącą, kryształową kulę i spyta, czy chcę wiedzieć, jak on to robi. Ale, oczywiście, to by zniweczyło całą magię.

Jednak moim zdaniem wokół jest zbyt wiele cennych przedmiotów, żeby wydawać tu przyjęcie. No, ale ja zawsze bałam się zatłoczonych sal pełnych szkła. Boję się stać sama w takiej galerii. I zwykle czuję się niepewnie na przyjęciach, zwłaszcza tych stojących i zwłaszcza wtedy, gdy ktoś obcy stoi za mną. Wciąż obracam się w kółko, próbując wszystkich Zobaczyć.

Na dzisiejszym przyjęciu inni goście nie sprawiają wrażenia onieśmiałych kruchymi dziełami sztuki, a jeśli tak jest, dobrze się maskują. W świetle reflektorów, spowita magicznymi cząsteczkami kurzu, mam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie. W tle rozmów rozbrzmiewa cicha, kojąca muzyka; muzyka, która może nie porwie nikogo do żadnych szaleństw, ale doskonale współgra z moimi bojaźliwymi wężowymi ruchami.

Maria, moja dobra wróżka, spada mi jak z nieba i podaje kieliszek szampana.

- Będiesz miała przynajmniej jedną rękę zajętą - mówi. - Poznaliście się już z Henrym?

Wie, że nie i że ciekawość weźmie górę nad moim skrepowaniem.

- Henry, to Holly Philips, moja najlepsza przyjaciółka i siostra wiecznej narzeczonej - przedstawia mnie.

Jej nowy chłopak dostał na imię, jak mi przysięgała, Henry Wadsworth James i na razie wiem o nim tyle, że pracuje w metrze w służbach technicznych i doskonale wygląda w jaskrawym, pomarańczowym kolorze.

- Czasami ma ręce umazane po łokcie - powiedziała mi z dumą. Nie jest protekcyjna - naprawdę podziwia ludzi, którzy ciężko pracują, zwłaszcza jeśli się muszą przy tym ubrudzić. Ma szczególny sentyment do oleistej mazi.

Patrzę na jego ręce, zaróżowione od szorowania. To od razu budzi moją sympatię. Henry jest muskularnym, ciemnym blondynem w naszym wieku, czyli około trzydziestki, może trochę młodszym. Wita mnie pogodnie, choć nieco nieśmiało.

- Masz bardzo interesujące potrójne imię - mówię, popijając z ulgą szampana.

- Wydaje mi się, że moi rodzice mieli wobec mnie bardzo wysokie oczekiwania. Chyba ich zawiodłem - odpowiada, podnosząc lewe ramię do ucha.

- To znaczy, że nie piszesz?

- Nie, zbiera mi się na mdłości, kiedy wypisuję czek, żeby zapłacić za elektryczność. - Przewraca wymownie oczami.

- Tym lepiej. Jesteś zapewne jedną z nielicznych osób w każdym towarzystwie, która nie pisze książki.

- No właśnie.

- Henry ma także inne zalety - zapewnia mnie Maria. - Potrafi powiedzieć, na jakim przystanku należy wysiąść w całym regionie Nowego Jorku. - Henry uśmiecha się z zażenowaniem. - Ma umysł jak mapa. Jak kilka map.

- Po prostu zawsze wiem, gdzie jest północ - mówi Henry, oglądając się przez prawe ramię, co zapewne ma znaczyć, że właśnie tam. Ja się gubię, idąc po schodach. - To rodzaj przekleństwa, czasami - dodaje Henry.

Przerywa nam głos, który wydaje się zbyt głośny na pokój pełen delikatnych szklanych ozdób.

- Witaj, Holly, jak się masz, dobrze się bawisz? - Jackson, narzeczonej Janie, młody prawnik z przyszłością, wyciąga do mnie rękę. Jego miękki uścisk bardziej przypomina podanie łapy przez psa.

- Jackson, czy to nowy krawat? - chce wiedzieć Maria. Założyłyśmy się kiedyś, ile ma krawatów, ale Janie powiedziała, że odechciało jej się liczyć po drugiej setce, więc nigdy nie zdobyłyśmy ostatecznej liczby.

- Skąd wiesz? Tak, rzeczywiście, kupiłem go w zeszłym miesiącu w Bostonie. Pamiętam, że rozmawiałem z właścicielem sklepu o prawie do posiadania broni.

Mamy kłopot ze znalezieniem odpowiedzi. Henry sprawia wrażenie nieco przestraszonego. Żadne z nas nie przejawia zainteresowania, czy Jackson jest za czy przeciw legalizacji broni, ani czy krawat jest z prawdziwego jedwabiu.

- To Henry - mówię.

Wymieniają podanie łap. Jackson odnotowuje brak krawata u Henry'ego z miną, która świadczy, że nigdy nie brał pod uwagę możliwości takiego stroju. Na jego twarzy maluje się nie tyle dezaprobatą, ile zdziwienie. Henry patrzy na swoją rękę, jakby sprawdzał, czy coś się do niej nie przyklepiło.

- Wydaje mi się, że zapodziałem gdzieś krawat - usprawiedliwia się niemal ze smutkiem.

- Ostatni raz widziałam go, kiedy przywiązałeś mnie nim do łóżka - wtrąca Maria.

Jackson szybko przeprosza i odchodzi, a Maria i ja zaczynamy chichotać.

- Tak mi przykro - mówi Henry do mnie. - Ona tylko żartowała. - Robi się cały czerwony, od czubka blond włosów po kark, i zawstydzony chowa się za Marią.

- Henry jest w porządku - mówi Maria, poklepując go po głowie. - I naprawdę ma tylko jeden krawat.

- I naprawdę nie wiem, gdzie jest - dorzuca Henry zza włosów Marii, które na cześć Janie są dziś nastroszone w wyjątkowo bujną szopę.

Ronny zgniata mnie w swoim niedźwiedzim uścisku. Sześćdziesięcioletni przyjaciel matki jest jednym z najwylewniejszych ludzi, jakich znam. Jego uściski są jak się patrzy - nigdy nie traktuje nas jak kruche przedmioty, raczej jak solidne, dębowe beczki, które z jakichś powodów chwytą i podnosi. Zawsze czuję się potem nieco oszołomiona.

Matka ma na sobie fioletoworóżowy kostiumik i apaszkę w zwierzęta wokół szyi. Zawiązała ją dokładnie tak, jak trzeba - wyczyn, którego nigdy nie udaje mi się dokonać. Zwykle okręcam ją po prostu byle jak i godzinę później wszystko się rozplątuje i leży na ulicy. Ronny ma w kieszonce chusteczkę w zwierzątka, dopasowaną do apaszki matki.

- Jak widzę, jesteście gotowi na Afrykę - mówię, wskazując na wzór.

Ronny obejmuje ramieniem matkę, która to przyjmuje bez zbytniego oporu.

- Mam siedemdziesiąt rolek filmu - mówi Ronny.

- Ale to ja mam aparat - mówi mama i oboje się śmieją.

- Twoja matka jest taka dowcipna - zwraca się do mnie Ronny. - Całe życie czekałem na kogoś takiego. Ale ty nie czekaj tak długo, Holly.

- Postaram się.

- Nie żebym oddał Allison za cokolwiek w świecie. - Znów zagarnia ją ramieniem.

- Nawet za to, żeby mieć znów dwadzieścia lat? - pyta mama.

- Wcale o tym nie marzę. A w ogóle, kto pamięta, jak to było, kiedy się miało dwadzieścia lat?
O proszę, nadciąga nasza przyszła panna młoda.

Podchodzi Janie w idealnie skrojonym białym kostiumie.

- Zawsze panna młoda w czasie przyszłym - szepcze do mnie mama. - Nigdy w teraźniejszym.

Janie ściska nas wszystkich po kolei; uścisk Ronny'ego na chwilę pozbawia ją tchu, ale szybko dochodzi do siebie.

- No i jak, dobrze się bawicie?

- Tak, kochanie - zapewnia ją mama. - Podziwiamy dzieła sztuki. Niektóre z tych rzeczy wyglądałyby ślicznie z cukierkami w środku.

- Szczególnie podoba nam się seria tych rzeźb - mówi Janie o misowatych, okrągłych kształtach, rozstawionych co parę kroków na wysokich postumentach wokół pokoju. Niektóre są tak cienkie, że przy wzięciu do ręki mogłyby się rozpaść, inne wyglądają tak solidnie i ciężko, że zapewne wymagają pomocy przy przenoszeniu. Stoimy zbici w gromadkę między trzema z nich, a światła reflektorów błyszczą wokół, jakby chciały zatrzymać nas w miejscu.

Jackson, przyszły pan młody, podchodzi do Janie i przez chwilę myślę, że ma zamiar uściskać jej dłoń, jednak ostatecznie biorą się rutynowo za ręce.

- Czy ona nie wygląda jak marzenie? - mówi Jackson o Janie.

- Prawda? Podobnie jak my wszyscy - odpowiada matka.

Mam wrażenie, że walczy ze sobą, aby powściągnąć swój sarkazm. O tyle niepotrzebnie, że Janie i Jackson i tak nic by nie zauważyli.

- Szkoda, że moi rodzice nie mogli przyjechać - mówi Jackson. - Wiecie, organizują zbiórkę na rzecz chorych na AIDS. Matka jest w komitecie organizacyjnym, nic się nie dało zrobić.

- Czy zdołają przyjechać na ślub? - pyta mama słodko.

- Na ślub? Ależ tak, oczywiście, za nic nie opuściliby ślubu. Jasne, że przyjadą. Pokochacie ich, wszyscy ich kochają - trajkocze Jackson.

- Kocham śluby - oznajmia Ronny i wyraża to męskim, mocnym uściskiem. Stopy Jacksona odrywają się od podłogi, podczas gdy jego ręka nadal trzyma dłoń Janie, która próbuje pomóc mu utrzymać równowagę. Widzę, że mama nie posiada się z radości.

Melody McAnderson, właścicielka galerii i bożyszce Janie, wznosi toast za szczęśliwych narzeczonych. Bywają dni, kiedy budzę się i marzę, żeby być kimś innym, kimś takim jak Melody McAnderson, trzydziestoparoletnia kobieta, która nie tylko ma dobrze prosperujący biznes artystyczny, ale doskonale wygląda w eleganckich strojach wyjściowych w przybrudzonych kolorach. Jest jedną z moich idolek, mimo że nie ubieram się w ten sposób. Mój styl to wypchane spodnie i miękkie koszulki albo golfy, które noszę codziennie do pracy, plus ukochane czarne legginsy i gryzące swetry podczas weekendów. Dzisiaj zarzuciłam czarny zakiet na białą bluzkę i jedyną długą, czarną spódnicę, którą

wkładam na specjalne okazje - zwykle są to przyjęcia zaręczynowe Janie. W żakiecie czuję się bardziej ubrana, nawet jeśli noszę go stale, chociaż nie w domu. Nie jest to wyrafinowana prostota, jaką emanuje Melody McAnderson, ale może u niej to kwestia postawy. Martwi mnie, że obie z Janie podziwiamy fascynację tą samą osobą, jednak z drugiej strony niektóre kobiety po prostu zasługują na podziw. Kiedy Melody prosi o uwagę, wszyscy obecni jak zaczarowani zwracają się w jej stronę.

Maria i Henry podchodzą do mnie, żeby też na nią popatrzeć.

- Świetna fryzura - mówi Maria.

Zwracam uwagę nie tyle na słowa toastu, ile na sposób, w jaki Melody niedbale trzyma kieliszek do szampana, delikatnie, tylko dwoma palcami. Próbuję ją naśladować, balansując swój własny kieliszek między kciukiem a palcem środkowym i zaraz robię się elegancką kobietą sukcesu. Kieliszek kiwa się kusząco. Pokazuję to Henry'emu, ale chyba nie rozumie, o co mi chodzi. Kiedy toast się kończy, wszyscy stukają się kieliszkami, rozlega się symfonia brzęku szkła.

Matka i Ronny wychodzą niedługo potem, żeby odpocząć przed jutrzejszą podróżą. Nie wiem, w jaki sposób zgrabnie się pożegnać, więc tkwię na miejscu, wysłuchując opowieści Jacksona o łodzi, którą zamierza kupić, a która ma niezwykle szlachetną sylwetkę. A może mówi o koniu. Kieliszek chybotrze się w moich palcach i co chwilę ktoś go napełnia. Podchodzi kelner i oferuje mi miniaturowe sushi - te bez ryby w środku - więc biorę jedno i macham nim lewą ręką, podczas gdy prawa usiłuje dystyngowanie trzymać kieliszek. Czuję się światowo, kosmopolitycznie, swobodnie. Maria szepcze mi do ucha:

- Skąd Janie wytrzasnęła tego Jacksona? Nabyła go na jednej z tych aukcji samców?

Wybucham śmiechem i kieliszek zaczyna wyślizgiwać mi się z rąk. Chwytam go w porę, ale tracę równowagę, cofam się i wpadam na jeden z postumentów. Sushi łukiem wylatuje w powietrze i strącam łokciem niebiesko-zieloną misę, która w zwolnionym tempie opada na podłogę, a może tylko mi się tak wydaje. Bąbelki zatopione w szkle płyną wolno przez cząsteczki kurzu w powietrzu, a delikatna misa koziółkuje w stronę różowo-szarej podłogi galerii. W tych paru sekundach przypomina mi się reklama pianki do czyszczenia dywanów, gdzie dzieje się coś podobnego, lecz to tu tutaj jest bardziej realne, choć jednocześnie dziwnie odległe. Instynktownie wyciągam rękę, żeby chwycić misę, ale słyszę głośno:

- Nie!

Janie krzyczy do mnie, jak do dziecka, które chce skoczyć na główkę do pustego basenu. To dziecko to ja. Jej krzyk zwraca uwagę wszystkich obecnych i każe mi cofnąć rękę. Misa ląduje z zaskakująco głuchym odgłosem, nie z brzękiem, którego oczekuję, ale rozbija się tak czy owak.

- Ups! - mówi Maria.

Janie w ułamku sekundy jest przy mnie, z reprimendą na ustach.

- Nigdy, przenigdy nie łap spadającego szkła - łaje mnie, nie żeby cały pokój nie słuchał. - Możesz się groźnie skaleczyć.

- Przepraszam - bąkam, czując się winna zarówno za niefortunny gest, jak za wpadanie na dzieła sztuki i ogólnie za swoją obecność.

- Nonsens, wszystko jest ubezpieczone - zbywa to Janie machnięciem ręki i natychmiast zjawia się kelner ze szczotką i małym odkurzaczem, żeby posprzątać odłamki szkła.

- Chyba już pójde - zwracam się do Janie, która mówi, żebym nie była głupia.

Maria obejmuje mnie ramieniem.

- I tak przypominało to miskę dla psa - próbuje mnie pocieszyć. - Dam ci dodatkowe punkty, jeśli zwalisz to ogromne naczynie w kształcie karczocha na ladzie.

- Sam bym dużo dał, żeby to zobaczyć - zgadza się Henry.

Wciąż trzymam kurczowo kieliszek szampana, którego już chętnie bym się pozbyła, bo utrudnia mi wymknięcie się stąd. Patrzą na Henry'ego, który wyjmuję mi kieliszek z ręki i podaje komuś przechodzącemu obok. To mógł być kelner, ale nie wydaje mi się.

- Chodź z nami do takiej jednej knajpki - proponuje.

- Jasne - podchwytuje Maria. - Znaleźliśmy świetne miejsce. Co jakąś godzinę szef kuchni i kelnerka siłują się na rękę. Można robić zakłady.

- O nic wielkiego - dodaje Henry. - Głównie o deser.

- To przyjemny, bezpretensjonalny lokalik.

Dziękuję im, ale odmawiam, kiedy wyprowadzają mnie przez drzwi.

- Chyba wrócę po prostu do domu i przeleżę pół nocy w gorącej kąpieli. To mnie zregeneruje.

Maria i Henry nie dają za wygraną.

- Mają tam placek z wiśniami, modny - mówi Henry. Ma nieszczęśliwą minę, jakby to on zbił tę psią miskę, nie ja.

W końcu wsadzają mnie do taksówki, kuszące słowa „modny” wciąż wiszą w powietrzu.

Wciskam się w sam róg tylnego siedzenia, jak dziecko za karę odesłane do kąta. W taksówce unosi się jakiś intensywny zapach, może dobiegający z przodu, ale nie jest to odświeżacz powietrza ani wyciewy ogrzewania, tylko coś kojącego i znajomego, jak aromat gorącego kakaa. Albo jakiejś przyprawy. Gorące kakao z gałką muszkatołową. Podaję taksówkarzowi adres bez większego zastanowienia, ten zapach mnie oszołamia. Wiem na pewno, że nie chcę siedzieć pół nocy w wannie ani oglądać ludzi siłujących się na rękę o placek z wiśniami. Chcę jechać gdzieś, gdzie będą znajome zapachy i dźwięki, gdzieś, gdzie nie muszę robić dobrego wrażenia, uśmiechać się ani uważać, żeby niczego nie zbić.

Josh wita mnie w progu swojego mieszkania.

- Siema, Holly - mówi niezawodnie i otwiera szeroko drzwi.

Kanapa w kratę mojego byłego męża ma wytarte oparcia i miękkie poduszki, w których się zatapiam, usiłując streścić mu przebieg wieczoru. Jedną z wypchanych, luźnych poduszek przyciskam sobie do czubka głowy, bez żadnych szczególnych powodów. Josh ma dziś na sobie spraną, czerwoną koszulkę i odwieczne, wytarte, szare dżinsy - całym sobą zachwala ciepło i wygodę miękkich, starych ubrań. Nie widziałam go od czasu naszej nocnej ekspedycji na mojej rozkładanej kanapie kilka tygodni temu, która teraz wydaje mi się snem albo czymś, co przeczytałam w jakiejś powieści i sobie wyobraziłam. Czymś napisanym przy użyciu zwężłych, ale przyjemnych przymiotników.

Josh ustawia na stole przede mną elektryczny wiatraczek i puszcza go na wysokich obrotach.

- Testuję pewną teorię - mówi. - Chcę się przekonać, czy powiew powietrza nie poprawi ci samopoczucia.

Siedzę z twarzą wystawioną na podmuch i zastanawiam się, czy wywiewa mi złe myśli z głowy, czy tylko utrudnia myślenie. Josh obserwuje mnie z pobliskiego krzesła.

- No i jak, działa? - pyta.

- Na razie robi mi się zimno.

- Przyniosę ci coś ciepłego do picia. W nietłukącym się naczyniu - żartuje.

Przestawiam wiatraczek na niższe obroty i daję się ukołysać szumem wypełniającym ciche mieszkanie Josha. Wszędzie wokół leżą stosy papierów, pisma naukowe i notatki z równaniami, nad którymi górują jakieś zielska, zasypujące dywan żółkły liśćmi.

- To rośliny czy próbki doświadczalne? - pytam, kiedy przynosi mi herbatę rumiankową w dużej, plastikowej filizance.

Josh przygląda się im się przez chwilę.

- Wydawało mi się, że trzymają się nie najgorzej.

- Całkiem słusznie - potwierdzam. - Kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie widziałam, żebyś podlewał kwiaty. W porównaniu z naszymi, te kwiatki wyglądają imponująco.

- Mam asystentkę, która się nad nimi lituje i czasem przychodzi je podlać. Ale, ale... - dodaje podekscytowany - mówiłem ci, że publikuję książkę?

- To doskonała nowina, Josh. No proszę, masz dla mnie dobrą nowinę. - Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem to ja powitałam Josha dobrą nowiną, i dochodzę do wniosku, że znów się nad sobą rozczulam.

Josh sięga do wiatraczka, zwiększając obroty.

- Potrzebujesz więcej czasu - stwierdza, kierując na mnie powiew.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, popijając herbatę. Josh z miną winowajcy obrywa parę zeschłych listków z roślin. Patrę, jak głaszczki zielone liście z czułością. To niemal hipnotyzujący gest, melodyjny, kojący. Staram się wyrzucić z głowy wszystko, co chcę mu powiedzieć o Janie, o galerii, o

podróży matki i moich własnych wątpliwościach. Myśli uciekają i płyną z podmuchem powietrza nad moim ramieniem w kierunku zlewu w kuchni Josha.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że lądują w zlewie i roztapiają się w kroplach starej kawy, a potem nikną w otworze odpływowym. Uświadamiam sobie, że Josh nie spytał, dlaczego tu jestem, co mnie właściwie sprowadza. Pewno to pytanie nie przyszło mu do głowy, chociaż może sama powinnam je sobie zadać. Jednak pozwalam mu popłynąć nad ramieniem z resztą moich myśli, uwolnionych przez elektrycznie wzbudzony powiew powietrza.

Josh podchodzi z oskubanym z zeschniętych liści kwiatkiem doniczkowym.

- Ten wygląda całkiem nieźle - mówi, siadając obok mnie i osłaniając doniczkę ręką przed zimnym podmuchem. - Chcesz go?

Stawiam kwiatek na kanapie, podziwiając jego zielonożółty kolor. Wezmę go do domu jutro i postawię na honorowym miejscu, może na lodówce. Albo w łazience, za drzwiami, gdzie będzie mógł zadziwiać mnie codziennie długimi, błyszczącymi liśćmi. Ale dziś zostaniemy oboje tu, gdzie jesteśmy.

Rano wracam do swojego mieszkania i znajduję pod progiem stadko małych, papierowych żyraf. Najpierw myślę, że to dowcip, żartobliwe pożegnanie ze strony mamy, wybierającej się do Afryki na większe i lepsze żyrafy. Później podnoszę jedną z nich i widzę kunszt, z jakim została zrobiona, równe zagięcia i gładkie rogi, od największego do najmniejszego. Przed oczami staje mi twarz Toma, wznosząca się na tle niebieskawej ściany redakcji i witająca mnie skinieniem głowy. Uzmysławiam sobie, że to jedyna osoba, jaką znam, zdolna tak precyzyjnie wykonać nogi żyrafy.

Rozdział szósty

Ten pokój jest mój

Ni z tego, ni z owego postanawiam pomalować podczas weekendu krawędzie parapetów i listwy przypodłogowe. Kiedyś były różowawe, ale przybrały szary, wyblakły odcień. Chcę być odważna i decyduję się na jaskrawy błękit, chociaż sprzedawca w sklepie z farbami namawiał mnie gorąco na mieszanekę jasnego turkus, którą zwał Atlantyda.

- Nasuwa na myśl syreny, nie uważa pani? - pytał, pokazując mi próbkę morskiej zieleni.

Nie chcę myśleć o syrenach, poza tym mam wrażenie, że pomyliły mu się mity. Tak czy owak, wymieszał mi sporą puszkę ładnego niebieskiego koloru. To głęboki błękit, błękit oceanu i nieba w środowiskowo poprawnym świetle. To błękit pełen możliwości, błękit, który mówi, że objęłam dowództwo, sprawuję władzę nad moimi listwami przypodłogowymi.

Zaczynam od szlifowania, bo chcę to zrobić jak należy i lubię szorstki dźwięk, jaki wydaje papier ścierny wygładzający drewno. To odgłos obrazujący przyczynę i skutek. Puszczam w radiu sobotni poranek jazzowy i trę papierem do wtóru basiście, zaspokajając swoje potrzeby twórcze na ten tydzień. Ktoś puka lekko do drzwi, co w pierwszej chwili biorę za perkusję.

Przy drugim pukaniu podnoszę się i znajduję za drzwiami Janie. Jest ubrana w granatowo-biały mundurek marynarski matki i ma mocno niewyraźną minę. - Sprzedajesz ciasteczka? - pytam, wskazując na jej strój.

Janie prostuje przygarbione plecy.

- Mama mi to dała. Wszystko inne jest w pralni, więc mogłam włożyć albo to, albo ażurowe legginsy, które ktoś mi dał na jednym z wieczorków zaręczynowych i nie chciał wziąć z powrotem.

- Wejdz, zanim ktoś cię zobaczy. - Trochę żałuję, że to nie uczennica sprzedająca ciasteczka na zbożny cel. Chętnie kupiłabym przynajmniej jedno pudełko.

Janie przekracza próg z nieszczęśliwą miną i nagle przychodzi mi do głowy, że jej przygnębienie może nie wynikać jedynie ze stroju, jaki ma na sobie.

- Malujesz? - pyta, lekko przestraszona.

- Tylko krawędzie parapetów - uspokajam ją.

- To jeszcze wykonalne - mówi, świadoma, że wciąż coś zaczynam i nie kończę. Ale założę się, że nowo pomalowane krawędzie będą wyglądać bardzo ładnie z tymi niedokończonymi zasłonami, to znaczy, jeśli zostaną dokończone. - To koniec - oświadcza Janie, opadając na kanapę.

- Tak? - pytam, myśląc najpierw, że chodzi o moje malowanie i dopiero po chwili domyślam się, o czym zapewne mówi.

- Zerwałam zaręczyny.

- Och, strasznie mi przykro.

- Nie chcesz wiedzieć, co zrobił?

Wolałabym zastanowić się nad tym pytaniem, ale siadam z rezygnacją na krześle, gotowa ją wysłuchać. Lekki jazz zamienił się w klasyczny blues, coś o nieszczęśliwej miłości, co uznaję za niewskazane dla Janie, więc gaszę radio.

Janie siada prosto, znów energiczna i bezkompromisowa.

- Poszedł do mojej szefowej, wiesz, Melody, i zażądał, żeby dała mi podwyżkę, bo jestem w galerii większość czasu sama.

- Dlaczego? - pytam. I „O ile?” chcę spytać, ale gryzę się w język. Od dawna podejrzewam, że moja młodsza siostra zarabia więcej ode mnie, lecz wolę nie potwierdzać tego podejrzenia.

- Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy. Nawet nie wie, ile zarabiam.

Na swój sposób jestem zadowolona, że Janie nie wyjdzie za Jacksona, że nie będę się musiała do niego uśmiechać na spotkaniach rodzinnych ani poznawać jego rodziców. Jednakże Janie jest moją siostrą i mam ochotę wziąć ją w ramiona i ukołysać jak dziecko potrzebujące pociechy. Na dokładkę ubrane w mundurek.

- Chcesz soku? - pytam.

- Tak, poproszę - odpowiada, jak przystało na małą siostrzyczkę, którą zawsze dla mnie zostawia.

Wyciskam jej świeży sok z pomarańcz w sokowirówce, którą sobie przywłaszczyłam.

- Ma obsesję pieniędzy - mówi Janie. - I wiecznie pracuje. Jak tato. - Wypija łyk. - Nie zastanawia cię to, dlaczego otaczamy się takimi mężczyznami, facetami, którzy chowają się za stertą papieru i nie poświęcają nam ani w części tyle uwagi, na ile zasługujemy? To wszystko zaczęło się od ojca, wiesz.

Jej sugestie - zaczerpnięta zapewne z podręcznika z cyklu *Niemądre kobiety* - każe mi zająć postawę obronną. Nie wiem czemu, choć pewno jedna z tych książek by mi to wyjaśniła.

- Ojciec już nie pracuje - mówię jej. - Jest na emeryturze. Teraz ma kaczkę.

- Takie małe kaczuszki? - Janie rozjaśnia się trochę.

- Nie, drewniane. Dekoracyjne. Janie myśli przez chwilę.

- Czy to nie jeszcze gorsze?

Orzeźwiona przez świeży sok, który w naszej rodzinie od dawna pełni rolę lekarstwa na wszystko, Janie szykuje się do wyjścia.

- Idę na zakupy - informuje mnie.

- Nigdy nie rób zakupów, kiedy wszystkie twoje ubrania są w pralni - mówię. - To jak kupowanie jedzenia na pusty żołądek. Wracasz do domu z pełną torbą niepotrzebnych rzeczy, kupionych pod wpływem impulsu. Dlatego mamy wszystkie tyle ozdobnych gumek do włosów.

- Och, Holly... - śmieje się Janie i podchodzi, żeby mnie uściskać.

Nie jesteśmy zbyt wylewną rodziną, jeśli nie liczyć przyjaciela matki, Ronny'ego, ale rozumiem, że to jeden z tych momentów między siostrami. Nie to, żebym nie chciała jej czasem przytulić, lecz zawsze się boję, że pogniotę jej sukienkę albo ją rozczochram.

- Jesteś szczęściarą, że nie masz tych problemów - wzdycha Janie.

Zapewne nie chce mnie urazić, lecz i tak jestem dotknięta. Co prawda, nie byłam sześciokrotnie zaręczona, jednak lubię myśleć, że mam tyle samo problemów z mężczyznami, co każda inna dziewczyna.

- Widuję się z Joshem - mówię, co brzmi w moich ustach jak: „Ja też mam problemy!” Moja intonacja wskazuje także, że nie tylko się „widuję”.

- Po co?

To pytanie, na które sama nie znajduję odpowiedzi. Po co poszłam do Josha albo pozwoliłam mu wtedy zostać u mnie? Po co w ogóle z nim spałam? Bo wiem, gdzie mieszka? Bo nie ma nerwowej atmosfery „pierwszego razu”? Bo nie muszę tłumaczyć wszystkiego o sobie jeszcze raz od nowa? Te pytania pojawiają się przede mną, jak arkusz papieru egzaminacyjnego domagający się odpowiedzi.

- Bo go znam? - mówię. To tylko przypuszczenie. Pamiętam jednak, że przy egzaminie testowym nie należy zgadywać. Można zaznaczyć złą odpowiedź.

- To zbyt łatwe - oświadcza Janie. Znów siada. - To jak z ćwiczeniami gimnastycznymi. Jeśli przychodzą za łatwo, nie ma z nich żadnego pożytku.

Moja mała siostra poucza mnie na temat miłości, a może seksu, a może tylko aerobiku. Życie staje się dziwne, kiedy dziewczynka, która jeszcze niedawno wymiotowała w samochodzie podczas dłuższej jazdy, zaczyna radzić ci w sprawach seksualnych. A jeszcze dziwniejsze, kiedy to, co mówi, może być prawdą. Nie wiem, co odpowiedzieć.

- No to lecę do Bloomingdale'a - zrywa się Janie.

- W tym stroju? - Z moich osobistych doświadczeń wynika, że sprzedawczynie nie biorą mnie serio, jeśli nie jestem odpowiednio ubrana, a nawet i wtedy najczęściej mnie ignorują.

- Jest sobota, nikt nie zwróci na to uwagi - mówi Janie o swoim marynarskim mundurku. - Poza tym, zawsze chętnie biorą moją kartę kredytową, nawet jeśli jestem nago.

- Chyba następnym razem powinnam pójść tam nago. Może wtedy ktoś do mnie podbiegnie i zaofiaruje pomoc.

- Och, Holly - wzdycha Janie. - Ty i twoja niepewność.

- Uważasz, że brak mi pewności siebie?

- Inni mogą tak uważać. Ja wiem lepiej - mówi tajemniczo, robi mi „pa pa” i już jej nie ma.

Co prawda, planowałam najpierw wszystko przeszlifować, ale po chwili machania papierem ściernym postanawiam przystąpić na próbę do malowania. Jest coś hipnotyzującego, coś kojącego w

miarowym, monotonnym ruchu pędzła tam i z powrotem, w gładkości świeżej farby na drewnianej powierzchni. Zaczynam starannie malować, wolno prowadząc prawą rękę, jakbym dyrygowała orkiestrą. Śpiewam przy tym starą, ludową piosenkę: *Hej tam, w dolinie...*, chociaż nie wiem, skąd mi ta melodia przyszła do głowy. Strasznie fałszuję, ale nic sobie z tego nie robię. Ze szczególnym upodobaniem śpiewam dolne partie i wprowadzam się w rodzaj transu. Jestem pewno jedną z tych osób, które nie potrzebują narkotyków. Wystarczy mi do szczęścia jakaś drobna robótka przy domu i ludowa przyśpiewka.

Przerywa mi głośnie tym razem pukanie; wydaję cichy okrzyk i obryzguję niebieską farbą ścianę. Chwytam ściereczkę, żeby od razu wytrzeć plamę. Ktoś puka ponownie. Otwieram z wściekłością drzwi i Jackson, ostatni były narzeczony Janie, cofa się przestraszony.

- Witaj, Holly, dobrze, że zastałem cię w domu.

- Jackson, cześć.

Stoimy przez chwilę, nic nie mówiąc. Zastanawiam się, co on tu robi i czy słyszał, jak śpiewam dolne partie, potencjalnie najbardziej ambarasujące.

- Janie tu nie ma - mówię.

- Jasne, wiem. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy porozmawiać, to znaczy, jeśli masz chwilę czasu, oczywiście.

- Och... - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Jackson może chcieć ze mną porozmawiać, i to jeszcze sam na sam. Osobiście nie czułam takiej potrzeby, choć, naturalnie, było parę pytań, które mogłam mu zadać. Zapraszam go do środka.

- Malujesz? - pyta.

Ciekawe, czemu ludzie mówią takie rzeczy, kiedy widać czarno na białym, że maluję. Co innego może znaczyć otwarta puszka farby, niedokończona krawędź parapetu i niebieska smuga na ścianie?

Postanawiam uznać pytanie za retoryczne i nie odpowiadam. Jackson siada na kanapie w miejscu, które przed chwilą zajmowała Janie. Może jednak się myliłam. A nuż byli dopasowaną parą? Ale zapewne przypisuję zbyt duże znaczenie czystemu przypadkowi. Tak czy owak, jestem zaintrygowana: żaden z poprzednich narzeczonych Janie nigdy dotąd do mnie nie przyszedł.

- Janie zostawiła mnie, porzuciła, kopnęła jak psa. - Jest naprawdę wzburzony.

- Nie powiedziałałabym, żeby cię kopnęła jak psa - protestuję.

- Chcę, żeby wróciła - oświadcza Jackson.

- Dlaczego? - To pytanie nieproszone wymyka mi się z ust i może nie jest zbyt miłe, ale naprawdę chciałabym wiedzieć.

Patrzy na mnie wielkimi oczami.

- No tak, bierzesz jej stronę. Jasne, rozumiem, nie chcę, żebyś myślała, że cię namawiam do braku lojalności wobec siostry.

- Całe szczęście, to mnie uspokaja. - Plotę, co mi ślina na język przyniesie, bo nie bardzo Wiem, o co mu chodzi, a poza tym pokój jest pełen oparów farby. Ciekawe, czy działają na Jacksona.

- Widzisz, ona tyle dla mnie znaczyła. Nigdy dotąd nie byłem zaręczony.

- Ale Janie była - mówię, zastanawiając się, czy to już oznacza brak lojalności.

- Wiem - przyznaje Jackson.

- I to ci nigdy nie przeszkadzało? Choćby trochę, choćby gdzieś w głębi duszy? - Zaczynam przemawiać jak psychoterapeutka albo gospodyni telewizyjnego talk-show.

- Nie, nie. Dopóki miała mnie poślubić, nic mnie nie obchodziło, ilu innych nie poślubiła. Wszystko zapowiadało się tak idealnie.

- Nigdy nie jest idealnie. Janie nie jest idealna. Przechyliła głowę i patrzy na mnie żałośnie, trochę jak pies.

Nie brał pod uwagę, że moja młodsza, jasnowłosa, niezależna, ale nastawiona promażeńsko siostra może nie być idealna. Najwyraźniej nie widział jej w marynarskim ubranku. Chociaż trzeba przyznać, że nie wyglądała w nim tak źle.

Jackson wzdycha głęboko. Wyciągnięty niedbale na mojej kanapie - choć może nie tyle niedbale, ile bezsilnie - budzi sympatię i współczucie. Kiedy wypuścić z niego trochę powietrza, zaczyna wyglądać całkiem normalnie.

- Wszystko zepsułem - bąka z przygnębieniem.

- Najlepiej weź się w garść i rusz do przodu - radzę mu łagodnie. - Janie nigdy nie zmienia zdania w tych sprawach. Możesz mi wierzyć.

- Może - mówi, co brzmi niemal jak sugestia, ale na tym poprzestaje.

Odrzuca w tył głowę i rozluźnia krawat. Tak, nosi krawat w sobotę, chociaż nieco pognieciony po bokach. Siedzi z odchyloną głową, jakby próbował powstrzymać krwotok z nosa.

- Chcesz świeżego soku z pomarańcz? - pytam.

- Nigdy nie lubiłem soku - wyznaje ze smutkiem, jakby podejrzewał, że to mogło być przyczyną jego niepowodzenia z Janie. Wygląda jak zbity pies. - Mogę pomóc ci w malowaniu? - pyta.

- Nie masz na dzisiaj żadnych innych planów?

- Miałem o trzeciej grać w squasha - mówi.

Nie wiem nawet, co to jest squash, ale nie przyznaję się, bo nie chcę, żeby mi to tłumaczył. Chyba wolę pozostać osobą, która nie wie, co to jest squash.

- Ale to odwołałem - dodaje. - Zostało mi tylko spotkanie z terapeutą o drugiej trzydzieści. - Patrzy na zegarek i opuszcza bezwładnie rękę na kanapę. Biedny facet.

- Z terapeutą? Takim od terapii?

Kiwa głową.

- Nie wiedziałam, że chodzisz na terapię.

- Teraz chodzę - mówi Jackson z westchnieniem.

To nie w moim stylu, żeby zaprzęgać do pomocy przy pracach remontowych przypadkowych gości, choćby dlatego, że mam ambicję sama sprostać wyzwaniu. Jestem pewna, że dałoby mi to prawdziwe poczucie spełnienia, gdybym kiedyś wreszcie coś dokończyła. Niemniej mówię Jacksonowi, że może przeszlifować listwy przypodłogowe. To go trochę ożywia.

- Będę bardzo ostrożny - zapewnia, choć nie sądzę, by można było wyrządzić wielką szkodę papierem ściernym.

- Nie chciałbyś zdjąć krawata? - proponuję.

Patrzy na mnie zdumiony, a nawet wstrząśnięty, po czym zdiera z szyi krawat i podnosi go do góry, niczym cenną, złowioną właśnie rybę. Uśmiecha się po raz pierwszy tego dnia. Może w ogóle po raz pierwszy widzę u niego uśmiech i nie mogąc się powstrzymać, sama śmieję się głośno i z aprobatą. Jackson podchodzi do otwartego okna i ostrożnie, żeby się nie otrzeć o świeżo pomalowaną krawędź, wyrzuca krawat na ulicę. Nie czeka, by popatrzeć, jak spływa na ziemię, tylko od razu kieruje całą uwagę na papier ścierny, oglądając go starannie z obu stron, jakby się zastanawiał, którą stronę użyć.

Już po zmroku słucham w radiu audycji z udziałem słuchaczy, która zawsze w sobotnie wieczory jest szczególnie smutna. Ale przyznaję, że lubię te głosy płynące do mnie z eteru. Jako pierwsza dzwoni kobieta, która prosi o radę, jak zapomnieć o zawodzie miłosnym, który przeżyła dziesięć lat temu. Prowadzący delikatnie sugeruje, żeby przestała rozpamiętywać przeszłość i wyszła naprzeciw temu, co niesie życie. Następny rozmówca nie zgadza się, twierdząc, że takie sprawy w nas zostają i trzeba się najpierw z nimi uporać. Nie biorę żadnej ze stron, gotowa zrozumieć oba punkty widzenia, z których każdy ma swoje racje. Do akompaniamentu głosom puszczam ulubiony koncert Bacha. Odkryłam jakiś czas temu, że mogę jednocześnie puszczać kasetę i słuchać radia, wynalazek, za jaki w razie konieczności chętnie dodatkowo bym zapłaciła. Pewno zepsuło się stereo. Przyciszone głosy na tle muzyki skrzypcowej sprawiają że czuję się jak na koncercie z kimś, kto siedzi obok i szepcze mi do ucha.

Maluję ostatnią listwę przypodłogową w salonie, powlekając ją drugą warstwą niebieskiej farby. Kiedy kończę, mam ochotę usiąść i oprzeć się o ścianę, żeby się napawać świeżym kolorem, ale przykleiłabym się do listwy. Siadam więc na kanapie na środku pokoju i wdycham głęboko zimny powiew wpadający przez otwarte okno. Mam na sobie cztery warstwy ubrania, jednak świeże powietrze jest tego warte - zapach chłodnej, sobotniej nocy idealnie miesza się z upajającym teraz zapachem świeżej farby, nie mówiąc o piżmowej domieszce satysfakcji. Zamykam oczy i wciągam czapkę na uszy. Ten pokój jest mój, szepczę do głosów w radiu. Ten pokój jest mój, wtórują cicho skrzypce.

Rozdział siódmy

Zbliża się wtorek

Nowa ulubiona knajpka Marii nazywa się po prostu Placek i nad frontowymi drzwiami ma duży neon w kształcie placka bez jednego kawałka. Neon mruga i jak się przekracza próg, słychać jego prze-
rażliwe brzęczenie. W środku mają te lustrzane szafki, w których są wyłożone wszystkie placki. W
centralnej gablocie pyszni się pięć złotych złotych placków z różnymi jagodami, każdy bez jednego
kawałka na wzór neonu. Napis nad ladą zachęca: SPRÓBUJ MODNEGO ŻYCIA!

Spotykamy się z Marią nad ciepłym plackiem wiśniowym z lodami waniliowymi, chociaż Ma-
ria namawia mnie, żebym wróciła tu kiedyś spróbować placka zwanego Skok w Bok. Nie chce mi po-
wiedzieć, co w nim jest.

- Zrobili kiedyś konkurs, w którym trzeba była odgadnąć wszystkie składniki i nikt nie potrafił.
- To znaczy, że nie wiesz, co jest?
- To rzecz godna podziwu w placku - zaznacza Maria.

Cieszę się, że poprzestałyśmy na placku wiśniowym. Chłopak Marii, Henry, ma do nas dojść
podczas przerwy w pracy, bo przystanek metra jest tuż za rogiem.

Opowiadam Marii o moim weekendzie.

- Po raz pierwszy mi się zdarzyło, aby były narzeczony mojej siostry przyszedł do mnie po po-
moc - mówię. - Nie żebym była w stanie mu w czymś pomóc.

- Muszę uciąć sobie pogawędkę z Janie - oznajmia Maria. - Uwielbiam słuchać, jak ich rzuca.
Wiedziałaś, że nigdy nie używa tych samych słów?

Nie wiedziałam. Moja siostra niewiele mi mówi o sposobach, jakie stosuje, żeby się uwolnić od
swoich narzeczonych, a ja, ze swojej strony, krępuję się pytać. Zwłaszcza że w moim przypadku nie
ma to praktycznego zastosowania.

- Mówi, że lubi przygotować odpowiednią, dostosowaną do każdego z nich mowę - ciągnie Ma-
ria - która ułatwi im drogę do przyszłych związków. Byłby z niej doskonały dyrektor personalny.

- Dopóki nie zaczęłyby się umawiać z pracownikami.
- Nie mogę uwierzyć, że Jackson do ciebie przyszedł. Czy był smutny i załamany, niemniej w
prawidłowo dobranym krawacie?

- Mniej więcej. Wyglądał, jakby przyszedł prosto z zabiegu upuszczania krwi.

- Użaliłaś się nad nim i spróbowałaś go uwieść?

- Ja? Oczywiście, że nie.

- Nie wzięłaś tego nawet pod uwagę?

- Nie. Ale zaproponowałam mu świeży sok z pomarańcz.

- No widzisz. A uważasz, że nie jesteś dobra - mówi Maria.

- Czy Jackson, czysto teoretycznie, nadaje się do uwodzenia? - pytam. - To znaczy, czy jest odpowiednim typem?

- To dobre pytanie - zamyśla się Maria. - Jest płci męskiej i generalnie biorąc, należy do gatunku ludzkiego, co stanowi punkt wyjścia.

- Wyczyścił papierem ściernym moje listwy przypodłogowe.

- To niezbędny warunek wstępny w wielu krajach Trzeciego Świata - stwierdza Maria. - Poza tym, lubię mężczyzn, którzy pracują rękami.

- Ale nie szło mu zbyt dobrze - przyznaję.

Maria wzdycha i zabieramy się do placka. Nadchodzi Henry, promieniejący w pomarańczowym kombinezonie na zamek błyskawiczny. Maria ogląda jego rękę.

- Umyłeś się - mówi, starając się ukryć rozczarowanie.

- Nie martw się, znów się ubrudzę.

- W porządku. Masz bardzo ładną smugę na twarzy. Henry zamawia Skok w Bok z lodami O My Darling.

- Ktoś zgadł, co jest w lodach - mówi Maria. - Ale przysiągł, że nikomu nie powie.

Rozlega się dźwięk dzwonka i z kuchni wychodzi mężczyzna w staroświeckim czepcu kuchmistrza. On i czterdziestoparoletnia kelnerka z plaketką na piersi OCH, MISS zaczynają się siłować na ladzie. Inna kelnerka krzyczy:

- Czas na zakłady!

- To Belle mierzy się z Simonem - wyjaśnia mi Maria.

- Ta kobieta potrafi walczyć - szepcze Henry.

- To prawda. Ale Simon to nie jest dla niej przeciwnik - mówi Maria.

Patrzemy w nabożnym skupieniu, jak Belle przez chwilę mocuje się z Simonem, po czym przygważdża mu ramię do lady. Goście wyrażają głośny aplauz, kawałki placków przechodzą z rąk do rąk. Belle stawia Simonowi coca-colę przed jego powrotem do kuchni. Oglądam się i widzę, że Maria i Henry trzymają się za ręce.

- To nasze miejsce - mówi Maria, spoglądając na Henry'ego. Ten kiwa głową.

Zbliża się wtorek. Staram się ubrać normalnie do pracy i wybieram czysty, czarny golf - mam też takie, które nie są zbyt czyste - i spodnie. Prawdę mówiąc, spodnie mają plamę nad kostką, ale z tego powodu nie warto ich jeszcze oddawać do pralni. To mój zwykły strój roboczy, redaktorzy techniczni w Wydawnictwie Naukowym mogą nosić, co im się podoba. Kiedy nadchodzi piątek, większość z nas zadawała się starą, flanelową koszulą. Czasami zrzucamy się na kawę dla tego, kto jest najbardziej obdarty. Ale na wtorek golf będzie w sam raz, nie mówiąc już o tym, że wieczorem idę na kolację

z moim kolegą Tomem, na którą otrzymałam pisemne zaproszenie na origami. Obdarta, flanelowa koszula mogłaby zrobić złe wrażenie.

Mam na biurku listę piosenek, które moja stacja radiowa puszcza co pół godziny między dziewiątą a piątą przez ostatnie dwa tygodnie. Inni też mają podobne listy i nie jesteśmy aż tak drobiazgowi, żeby ich nie porównywać. Wygrana w postaci pięciu tysięcy dolarów jest tego warta. Większość moich kolegów nie zwraca sobie głowy nagrodami poniżej pięciuset dolarów, choć ja czasem daję się skusić. Jedna z naszych graficzek wygrała w ten sposób nowego walkmana i była bardzo zadowolona.

Pomiędzy spisywaniem co pół godziny piosenek, kontynuuję pracę nad przydzielonymi mi książkami i muszę przyznać, że bardzo lubię swoje zajęcie. Większość ludzi nie wie, że redaktor techniczny różni się od redaktora merytorycznego i stoi niżej w hierarchii służbowej, zwłaszcza jeśli liczyć to w liczbie lunchów, jakie można zjeść na koszt firmy. Redaktorzy techniczni płacą za lunch z własnej kieszeni. Nie chodzi o to, że redaktorzy merytoryczni albo kierownicy redakcji są w jakiś sposób lepsi, po prostu są lepiej wynagradzani. Moja praca polega na zapewnianiu autora, że robimy postępy nad książką, odbieraniu materiału z działu graficznego (i zapewnianiu działu graficznego, że robi postępy nad książką) oraz na ogólnym nadzorze każdego etapu produkcji. Lubię te wszystkie skomplikowane interakcje. Dwa razy w tygodniu przychodzi do mnie moja szefowa, Monique, na oficjalną wizytację.

- Jak się miewa *Cysta*? - pyta kryptonimem nadanym pracy nad rakiem jajnika. Ma taki na każdą książkę.

- Zmierza szczęśliwie do końcowej makiety - zapewniam ją. Sprawdza po kolei wszystkie książki na swojej liście.

- To nudziarstwo - mówi w końcu. - A jak tam twój chłopak? - pyta mnie zaczepnie. - Powiedz mi coś pozytywnego.

- Jestem wolna. Tak samo, jak w zeszłym tygodniu.

- Tak... ale któregoś dnia mnie zadziwisz, prawda?

Niewiele wiemy o prywatnym życiu Monique. Moja przyjaciółka z redakcji, Nina, widziała ją kiedyś na Trzydziestej ulicy z jakimś starszym facetem, po pięćdziesiątce albo sześćdziesiątce. Monique strzepywała mu pyłek z płaszcza. „Śmiała się przy tym - powiedziała Nina. - Robiła to naprawdę z uczuciem”.

- A jak tam twój chłopak? - pytam.

- Lepiej nie pytaj - odpowiada. Podaje mi teczkę z projektem nowej książki. - Za to, że byłaś taka grzeczna - dodaje kąśliwie.

Lubię dostawać nową książkę, więc zaczynam ją od razu przeglądać.

- Spokojnie - mówi Monique. - Nie podniecaj się tak.

Mój nowy projekt zawiera sprawozdanie z symposium naukowego, które się odbyło w Norwegii, co na pierwszy rzut oka wygląda zachęcająco, bo może oznaczać międzykontynentalne telefony do mężczyzn o imieniu Per. Wszyscy będą mi zazdrościć. Ale gdy widzę tytuł, czuję się lekko rozczarowana, gdyż praca jest o pieprzykach skórnych.

- Pieprzyki? - odwracam się do Monique. - To najlepsze, co masz mi do zaoferowania?

- Nigdy nie widziałaś takich gustownych pieprzyków - mówi Monique.

Rozkładamy na biurku powiększone odbitki zdjęć, żeby je obejrzeć - ulubione zajęcie Monique. Są ponumerowane, więc nie możemy pomylić ich kolejności, co pozwala nam poprzekładać je i ułożyć nasz własny ranking „najbardziej przerażających okazów”.

- Okropność - mówię.

- Mój kuzyn miał coś takiego. - Monique pokazuje mało apetyczną plamę.

- Brr... I jak się to skończyło?

Potrząsa głową i wzdycha.

- O, popatrz na ten! - wykrzykuje i daje mu pierwsze miejsce w rankingu. - Wygląda jak coś obrzydliwego na podłodze w przejściu podziemnym. Coś, co omijasz z daleka. - Poklepuje mnie po ramieniu i podnosi się do wyjścia. - Baw się dobrze!

Spędzam popołudnie, przystępując do wstępnej pracy nad książką. Okazuje się, że jedna z fotografii zginęła, więc będę jednak musiała skontaktować się z autorem w Norwegii. Parę razy sprawdzam pod biurkiem, żeby się upewnić, czy nie zrzuciłyśmy jej podczas robienia rankingu, ale potem zdaję sobie sprawę, że w ogóle nie została dołączona. Gdyby to było naprawdę odrażające zdjęcie, mogłabym podejrzewać, że wzięła je Monique, by zrobić sobie odbitkę. Ma prywatną kolekcję najobrzydliwszych ilustracji opublikowanych w Science Press, którą pokazuje na przyjęciach, choć nie wszystkim.

W trakcie układania zdjęć myślę o Norwegii, zimnym kraju na północy, którego pewno nigdy nie odwiedzę, a który wyobrażam sobie, jako zamieszkaną przez ludzi chodzących w wielkich, futrzanych czapach i kozuchach. Jako miejsce, gdzie powietrze jest rześkie i czyste, a z daleka dobiega zapach potraw gotowanych na piecach opalanych drewnem. Widzę się, jak brnę przez śnieg po prząsny bochen chleba i trochę łososia, w grubych, solidnych butach, które w magiczny sposób mnie nie obcierają.

O piątej Tom zagląda do mnie nad ścianą. Cały dzień milczał jak zaklęty. Minęłam go raz w holu, ale tylko kiwnął mi głową nie zatrzymując się. Musi być zdenerwowany: nadszedł wtorkowy wieczór. Pora naszej randki.

- Dostałam nową książkę - mówię. Kiwa głową z aplauzem. - O pieprzykach. Widzisz?

Podaję mu zdjęcie pieprzyka w kształcie kaczki, chociaż Monique była zdania, że wygląda raczej jak „Titanic”. Tom przygląda mu się przez chwilę.

- To zdjęcie ma złe kolory - zauważa, oddając mi je ponad przepierzeniem.

- Racja - zgadzam się. Przynajmniej Tom nie jest nadwrażliwy. Mija nas Monique, wychodząca z biura. Mówię jej „do widzenia”, a Tom macha ręką.

- Pa, pa! - rzuca Monique, radośnie nieszczęśliwa, jak bym to określiła.

Tom oznajmia, że chciałby sam ugotować dla nas kolację, bo nie przepada za restauracjami. Ją też za nimi nie przepadam - nigdy nie wiem, co zrobić z nogami ani z torebką. Czasem stawiam ją pod stołem, co się sprawdza, dopóki nie skrzyżuję nóg i nie wykopię torebki na środek sali. A to tylko jeden z moich problemów z restauracjami.

Jedziemy metrem do Carroll Gardens, gdzie Tom mieszka. Przeżywamy parę niezręcznych momentów, kiedy pociąg staje pomiędzy stacjami. Nikt nie podaje nam przyczyny. Zatrzymujemy się i ruszamy parę razy, wpadając na siebie z głupimi minami i próbując zachować równowagę, trzymamy się kurczowo drążków.

Tom wzrusza ramionami na konwulsje pociągu.

- To często najlepsze, co cię może tu spotkać. Opowiedz mi lepiej o tych pieprzykach.

- Nie zajmuję się tylko pieprzykami - wyjaśniam. Nie rozmawialiśmy dotąd o naszych konkretnych zadaniach. Ograniczaliśmy się do wymiany różnych wariacji mówienia: „Cześć”. - Opracowuję też większe ssaki, wysypki i choroby wewnętrzne. Tak naprawdę, nie mam żadnej specjalności.

- A ja mam. Dostaję książki, w których jest najwięcej równań. Składacze kiedyś je policzyli. Przesłali mi korektę obwiązaną czerwoną wstążeczką. Wyższa matematyka.

- Książki Niny wszystkie zaczynają się od słowa „epidemiczne” - zdradzam mu.

- No widzisz, mamy szczęście.

Tom ma mieszkanie z wyjściem do ogrodu. Kiedy wchodzimy, zapala światło oraz sznur małych, białych lampek, takich jak na Boże Narodzenie. Powiesił je na środku pokoju, wokół małego stołu, nakrytego obrusem w czerwono-białą kratkę i, co odnotowuję z zazdrością, prawdziwymi srebrnymi sztucami. Stolik dla dwojga.

- To wygląda uroczo - mówię, co jest prawdą. - Brakuje tylko kelnerów śpiewających arie.

- Nie mogłem sobie na nich pozwolić. Związek zawodowy zarządził podwyżkę. - Nastawia płytę z Vivaldim. - Możesz zdjąć buty, jeśli chcesz.

- Wow, mój ulubiony rodzaj restauracji - cieszę się i odstawiam buty do kąta.

Postanawiam rozejrzeć się trochę, zachęcona gestami Toma, które mówią: „Czuj się jak w domu”. Tom znika w kuchni, odgradzonej tylko częściowo od salonu. Jego mieszkanie nie jest szczególnie duże, choć dwa razy większe od mojego.

- Musisz często przyjmować gości - zauważam, podziwiając jego kieliszki do wina. Są ręcznie dmuchane, zielone, wielkości pucharków. Ma cztery jednakowe sztuki.

Tom wychyla się z kuchni i patrzy na mnie, po czym kręci głową, że nie.

To znaczy, że musiał zadać sobie wiele trudu tylko dla mnie albo też jest wyjątkowo biegły w wieszaniu lampek. Przesuwam ręką po biurku zrobionym z ciemnego drewna naznaczonego czarnymi kropkami. Obok stoi półka z tego samego materiału. Oba meble są przesycone przyjemnym zapachem, jakby pochodziły z wiejskiego domu twojej babki, jeśli taki miała.

- Masz piękne meble - mówię, zatrzymując wzrok na stoliku do kawy, który jest chyba z drewna wiśniowego, a przynajmniej ma kolor świeżych wiśni, nie tych ze słoików. - Skąd wzięłeś takie cuda?

Tom pojawia się z miską sałaty w jednej ręce i pojemnikiem z oliwą i octem w drugiej, nie mówiąc o wysokim młynku do pieprzu wetkniętym pod ramię. Ustawia to wszystko sprawnie na stole.

- Cuda? - pyta.

Przez chwilę obserwuję z podziwem jego kelnerskie umiejętności po czym odwracam się i pokazuję meble szerokim gestem, jak gospodyni teleturnieju.

- Sam je zrobiłem - oświadcza Tom.

- Wow - mówię znów i natychmiast tego żałuję. Staram się wykreślić to słówko ze swojego słownika, głównie dlatego, że upodabnia mnie do dwunastolatki.

- Są piękne - chwalam go, choć mam wrażenie, że już to mówiłam.

Tom odsuwa dla mnie krzesło. Kiedy siadam, zapala dwie czerwone świece na środku stołu, po czym sam siada. Zastanawiam się, czy robił też te krzesła; mają twarde, ale wygodne siedzenia, takie, na jakich można w bibliotece przesiedzieć parę godzin nad klasykiem.

- A więc robisz własnoręcznie swoje meble - zagajam, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

- Mój sąsiad użycza mi kąta na warsztat w swoim garażu. Po prostu lubię majsterkować.

Tom. zrywa się nagle od stołu i biegnie do kuchni. Czekam ciekawa, czy wyjaśni to dziwne zachowanie. Nie ma go kilka minut.

- Wszystko w porządku? - nie wytrzymuję.

- Małże są trochę oporne - mówi Tom, wracając z kuchni z butelką wina. - Zwróć uwagę na rocznik.

Oglądam włoską etykietę.

- Nie mogę znaleźć roku.

- Bo go nie ma. Wyprodukowali to wino w zeszłym tygodniu, jak sądzę.

- Ale transport musiał zająć parę dni, więc zdążyło się trochę zestarzeć.

- Makaron zaraz będzie gotowy. - Tom profesjonalnie nakłada nam sałatę na talerze. Nie ucieka mu ani jeden z malutkich, koktajlowych pomidorków. - Mam nadzieję, że lubisz małże - dodaje.

- Ktoś w naszej redakcji pracuje nad książką o małżach - informuję go. - Pytałam Monique, czy mogłabym ją dostać, ale powiedziała tylko coś w rodzaju: „Mięczaki, wierz mi, lepiej o nich za dużo nie wiedzieć”.

- Dbaj o nas, na swój sposób - przyznaje Tom.

Kiwa głową przez chwilę.

Wygląda na to, że wyczerpaliśmy tematy służbowe. Postanawiam przez chwilę nie inicjować rozmowy, zobaczyć, czy uda mi się zmusić Toma do otwarcia ust. Po jakichś dziesięciu sekundach ciszy zmieniam zdanie. Dziesięć sekund potrafi trwać bardzo długo.

- Pyszna sałata - mówię.

Tom patrzy na swoją porcję, jakby to sprawdzał, i uśmiecha się. Odsuwa niechcianą oliwkę na brzeg talerza. Chociaż zjadłam już parę oliwek z własnej sałaty, mam ochotę sięgnąć po jego. Nie robię tego jednak, bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, kiedy wpakujesz palce w cudze jedzenie.

- Od jak dawna tu mieszkasz? - próbuję znowu.

- Od kilku lat - mówi. - Miałem przedtem współlokatora, ale sąsiedzi poprosili, żeby się wyprowadził. Z powodu hałasu - dodaje zagadkowo.

- Masz upierdliwych sąsiadów?

- Mieszkają tu przeważnie rodziny z dziećmi. Są dla mnie bardzo mili.

Tom przynosi główne danie. Nie widziałam go przy kuchni, więc nie mogę przysiąc, że nie dostarczono mu tego tylnymi drzwiami. Choć nie sędzę, aby miał tylne drzwi. Jego potrawa w niczym nie przypomina spaghetti, które ja podaję gościom na kolację, a które składa się z niedogotowanego makaronu, mrożonego zielonego groszku i sosu z torebki. Jego danie natomiast wygląda jak z fotografii w książce kucharskiej.

- Coś pięknego - mówię. - Mógłbyś otworzyć restaurację.

- To tylko wstążki makaronu z małżami - odpowiada skromnie, ale widzę, że jest zadowolony.

Wokół makaronu Tom ułożył krąg małych, wyciętych z papieru muszelek, które odpowiadają podstawkom pod talerze w kształcie dużych muszli. Widać w tym ręczną robotę, ale nie są to takie przedszkolne wycinanki, tylko prawdziwy majstersztyk.

Podczas kolacji czerwone świece rzucają ciepły blask na mały stół, który zapewne też jest dziełem Toma. Patrząc na jego ręce, spod których wyszły te wszystkie piękne przedmioty, spodziewam się, że będą zgrubiałe albo pokaleczone jakimś trudnym do zdyscyplinowania narzędziem. Ale nie, ma ręce normalnej wielkości, niezbyt duże i niezbyt zniszczone. Pewno tak samo wyglądają dłonie sztukmistrza, potrafiące wyczarować wiele niespodzianek. W jego własnym mieszkaniu twarz Toma traci nieco swoją chłopcę krągłość, przybierając bardziej zrelaksowany i dojrzały owal.

Znów schodzimy na bezpieczny temat pracy i rozmawiamy o budynku, o dziale graficznym z jego kolekcją malutkich dinozaurów, o windzie, która psuje się raz na tydzień. Sekretariat przyjmuje zakłady, kiedy stanie następnym razem i, jak się okazuje, Tom wygrał kiedyś pięćdziesiąt dolarów. Po deserze - domowe ciasto od sąsiadów - Tom odwozi mnie metrem, żebym bezpiecznie wróciła do domu.

- Mam stary samochód, ale stoi w garażu u sąsiada - wyjaśnia. - Nie chcę budzić całego domu. Uruchomienie go to dość głośny proces.

Odprowadza mnie pod sam dom i czekam na ten niezręczny moment, kiedy jesteście tylko ty, on i drzwi, na których czasami się opierasz, a czasami przez nie umykasz. Niekiedy drzwi stają się przedmiotem pytań, jak choćby tego, ile osób ma przez nie wejść, ale może za bardzo się rozwodzę nad tym niewinnym fragmentem architektury. Tom, zupełnie nieskrępowany, bierze mnie za rękę i potrząsa nią po koleżeńsku, w końcu jesteśmy współpracownikami. A jednak jest w tym coś nie do końca koleżeńskiego, jakieś ciepło w dotyku jego ręki, jakiś przedłużony, jak w zwolnionym tempie, uścisk. Czy kolega z pracy, podając rękę koleżance, normalnie przytrzymuje ją dłużej i obraca do góry, aby spoczęła w jego dłoni? Zostaję z tym pytaniem, a Tom żegna się skinieniem głowy, które jest niemal ukłonem. Słucham jego cichych, oddalających się kroków, czuję ciepło w prawej ręce i myślę o naszym wieczorze. Zdaję sobie sprawę, że nigdy dotąd nie spotkałam mężczyzny, który robi podkładki pod talerze w kształcie muszli.

Rozdział ósmy

Aromaterapia

Maria wiezie mnie swoim starym dodge'em do ośrodka spa na północ od miasta, tuż za granicą New Jersey.

- Kto jeździ do spa w New Jersey? - pytam ją.

- My, ponieważ jesteśmy młodymi, przedsiębiorczymi kobietami i mamy darmowy wstęp - odpowiada Maria.

Jedna z najlepszych klientek jej apteki, starsza pani o zachrypniętym głosie, znana wszystkim jako Pearl, dała jej dwa weekendowe karnety do MaryAnn Spa. Maria dostaje mnóstwo prezentów od różnych kobiet, które twierdzą, że jest jedyną osobą cierpliwie słuchającą o ich problemach zdrowotnych. Najpewniej mają rację.

Toteż odpuszczamy sobie nasz zwykły weekend pełen brudnych rzeczy do prania, pakujemy kostiumy kąpielowe, trykoty i japonki pod prysznic (na życzenie Marii) i udajemy się na weekend ćwiczeń i relaksu, chociaż bardziej to drugie, jeśli miałyby to ode mnie zależeć. Czytałam o ośrodkach spa w kobiecych magazynach. Wiem, że mają tam specjalne olejki i mikstury ziołowe do masażu oraz wyciagi i mieszanki owocowe do kąpeli, w której należy się zanurzyć i zapomnieć o poszukiwaniu sensu życia, a zamiast tego głęboko oddychać. Pozwól porom odpocząć od presji codzienności, radzą mi wszystkie artykuły, nie myśl o tym, jakim cudem sadza po burzy wciska ci się w szpary parapetu, chociaż mieszkasz na którymś tam piętrze nad ziemią. Uwolnij się od poczucia winy, że nigdy nie udaje ci się dość szybko wygrzebać drobnych z portfela. Przyznaję, że te artykuły mnie przekonały. Nie mogę się doczekać, żeby się na parę godzin zanurzyć w czymś truskawkowym.

- Prawdę mówiąc - uzmysławiam sobie - nigdy nie słyszałam o MaryAnn Spa.

- Może to tak ekskluzywne miejsce, że nie wolno o nim pisać. A nuż znajdziesz tam odpowiedź na wszystkie twoje problemy. MaryAnn może zmienić nasze życie - mówi Maria, prowadząc swojego dodge'a darta jedną ręką.

Uwielbiam ten samochód, który Maria dostała od swojej nieżyjącej już babki. Nadal ma twarde, wyściełane siedzenia, nawet po wszystkich tych latach. Beżową winylową tapicerkę, dopasowaną kolorem deskę rozdzielczą, radio z klawiaturą przycisków. Przypomina mi dzieciństwo, chociaż nigdy nie jeździłam dodge'em jako dziecko. Niemniej mogę sobie wyobrazić, jak bawię się tymi przyciskami, doprowadzając do szału moją własną babkę. Jedziemy przez Nowy Jork w drodze do New Jersey, wracając myślami do przeszłości.

Maria chce znać szczegóły mojej kolacji z Tomem. Chce nawet wiedzieć, jakich przypraw użył do makaronu. Nigdy nie umiałam rozróżnić poszczególnych przypraw.

- To było coś zielonego z domieszką czerwonego - mówię. - Nic więcej nie potrafię powiedzieć.

- Szkoda. Wybór przypraw wiele mówi o mężczyźnie. Oregano zamiast szałwii, na przykład. To wielka różnica.

- Masz na myśli świeże zioła zamiast tych ususzonych drobinek w małych, plastikowych pojemnikach?

- Czyżby użył świeżych? - Maria gwizdże z podziwem. Nie wiem na pewno, ale znając Toma, sądzę, że użył świeżych ziół. - Wiesz - informuje mnie Maria - lunch w The Jelly Deli to jedno, ale kolacja z przyprawami w mieszkaniu? To całkiem inny stopień zaangażowania.

- Być może.

- Bez świadków - dodaje Maria, kiwając głową uroczyście.

- Sama nie wiem... To znaczy, zadał sobie masę trudu, ale to nadal tylko kolacja.

- Mówiłaś, że była sałata, danie główne i deser - precyzuje Maria.

- Tak, wszystkie trzy. I bułeczki.

- Z supermarketu czy prywatnej piekarni?

- Możliwe, że sąsiedzi upiekli je specjalnie na tę okazję.

- No to lepiej rozważ poważnie swoje uczucia do tego faceta. Dobrze ci radzę - mówi Maria.

Nie bardzo rozumiem tę logikę, ale pewnie ma rację.

Widzę twarz Toma w migotliwym świetle świec, ale nie potrafię powiedzieć, co czuję do tej twarzy. Pamiętam swój podziw, że Tom ma jedno z tych mosiężnych gasidełek, które zostawiają smużkę dymu po zgaszeniu świeczki. Pamiętam gładkość jego stołu i to, jak zmielił mi pieprz prosto na sałatę, nie powodując u żadnego z nas ataku kichania. Pamiętam, że dał mi największy kawałek ciasta. Nie wiem, jak interpretować te myśli, ale mam cały weekend na obracanie ich w głowie. Albo odsunięcie na bok. Kiedy Maria szuka jakiejś stacji za pomocą przycisków, myślę o tym, co prowadzący nocne rozmowy w radiu powiedziałyby o samodzielnie wyciętych podstawkach pod talerze i białych lampkach powieszonych wokół własnoręcznie zrobionego stołu.

- Pamiętasz tę zgadywanekę w szkole: „Kocha, lubi, szanuje”, do której dodawałyśmy: „pożąda”? - pyta Maria. - Wszystko wtedy było takie proste. Można było zdecydować, że go lubisz, ale nie pożadasz, albo że go pożadasz, ale nie kochasz. No i ten najgorszy wariant: że go kochasz, ale nie lubisz.

- Lub nikt inny go nie lubi.

- Ja tu byłam przypadkiem klinicznym - wzdycha Maria.

- Lubię Toma - mówię, stosując się do jej recepty - ale nie mogę powiedzieć, że go Kocham albo pożadam.

- Wyklucasz to na przyszłość?

Zastanawiam się przez chwilę.

- Nie jestem pewna. Wiem jedno: pożądam jego stolika do kawy. - Przynajmniej tyle, dodaję w myślach.

Maria wzrusza ramionami.

- Niektóre moje związki opierały się na słabszych podstawach - mówi. Lecz zaraz jej sumienie aptekarki bierze górę. - Ale nie polecam tego.

Przyjeżdżamy do MaryAnn Spa, kompleksu różowych budynków, połączonych górnymi przejściami. Jednopiętrowa zabudowa i równo przystryżone, ale niekwitnące żywopłoty upodabniają to trochę do studenckiego akademika. W środku kompleksu, otoczona kolistym podjazdem, stoi rzeźba kobiety trzymającej ręce na biodrach. Nie jest to szczególnie szczupła kobieta, zauważam od razu.

Za ladą recepcji stoi nie-tak-wielka, prawdziwa kobieta, w T-shircie z napisem MARYANN na piersiach. Ma jeszcze większą burzę włosów niż Maria. Oczy mojej przyjaciółki lśnią.

- To ona - wykrzykuje. - MaryAnn!

Rozglądam się wokół i widzę, że inne pracownice też noszą koszulki z napisem MARYANN, wszystkie w pastelowych kolorach.

- One wszystkie są nią - mówię.

- Myślisz, że MaryAnn to konglomerat? - pyta Maria.

- Może w każdej z nas jest mała MaryAnn - sugeruję. Maria kiwa głową i idzie na środek pokoju.

- MaryAnn? - woła cicho.

Trzy stojące nieopodal pracownice odwracają się ku niej, ale żadna nie odpowiada.

- Robiłam tylko mały test - wyjaśnia Maria, wracając do mnie.

Recepcjonistka prowadzi nas do naszych połączonych ze sobą pokoi i pokazuje harmonogram zajęć, leżący na łózkach. Zostawia nas, żebyśmy na własną rękę poznały uroki spa, i daje na odchodnym dobrą radę:

- Tylko uważajcie, żeby nie przesadzić, dziewczęta.

Rozglądam się po pokoju, który bardziej przypomina przydrożny zajazd, niżbym sobie życzyła. Przyznaję, że liczyłam na większy luksus, a przynajmniej na falbanki. Pokój jest w ostrym, brzoskwiniowym kolorze, choć nigdy dotąd nie uważałam brzoskwiniowego za kolor ostry. Brzoskwiniowa indiańska narzuta, także obicia krzesel, brzoskwiniowe zasłony w oknach, brzoskwiniowa wykładzina podłogowa. Można oślepnąć. MaryAnn Spa podchodzi do kolorów pastelowych bez taryfy ulgowej.

Zostawiamy otwarte drzwi między pokojami.

- Nie mam jacuzzi! - oznajmia Maria.

- A ja nie mam wanny - odparowuję. Maria wkracza do mojego pokoju.

- Mam tylko prysznic - pokazuję jej. Maria krzywi się i robi dokładne oględziny.

- Jest bardzo czysty, musisz przyznać. I masz swoje japonki.

Kiwam głową.

Rozgląda się po brzoskwiniowym wnętrzu.

- Mój pokój ma odcień miodowy. Może być miło po przebudzeniu, ale gorzej po paru drinkach.

Znów kiwam głową.

- Mam wrażenie - mówi Maria - że nie odkryłyśmy jeszcze tego, co najlepsze.

Przyjechałyśmy w samą porę na „sobotni aerobik z Sal”, mówi nam nasz harmonogram, więc przebieramy się w nasze cisnące trykoty i rajstopy. Przynajmniej moje mnie cisną.

- Nie uprawiałam aerobiku od półtora roku - zwierzam się Marii, wchodząc do Femme Aerobics Lounge - jeśli nie liczyć tego razu, kiedy byłam spóźniona i biegłam na spotkanie z matką przez dwadzieścia przecznic.

- Nic się nie martw - odpowiada, rozglądając się po sali.

W idealnym feministycznym świecie, do którego staramy się przynależeć i w którym wszystkie jesteśmy siostrami, ten pokój składa się, można powiedzieć, z naszych matek i babek. Jesteśmy zdecydowanie najmłodszymi kobietami na sali, łącznie z Sal, która ma tak zwaną pełną figurę i naprawdę cisnący trykot.

- Podoba mi się jej gwizdek - mówi Maria.

Czuję się podniesiona na duchu, bo to może znaczyć, że nie będę musiała zbyt ciężko ćwiczyć. Kobiety uśmiechają się i zapraszają nas do swojego niewielkiego kręgu. Nikt nigdy nie uśmiechał się do mnie dotąd na aerobiku. I nikt w Nowym Jorku nigdy nie robił dla mnie miejsca, gdziekolwiek byłam. Wchodzę w sam środek.

Najprzyjaźniejsza z kobiet, Jeanette, ma krótkie, zadbane, siwe włosy i jest imponująco szczupła - musi być nieco po sześćdziesiątce. Zazdroszczę jej łatwej do utrzymania fryzury. Zawsze miałam wrażenie, że w krótkich włosach wyglądam jak nieszczęśliwy osiołek.

- To moja mama, Gloria, ale wszyscy nazywają ją Gran - mówi Jeanette, wskazując na starszą panią na wózku przy ścianie.

Gran jest dobrze po osiemdziesiątce i pogania nas, żebyśmy zaczynały. Ma na głowie coś, co można by opisać jako niebiesko-siwego irokeza.

- Założę się, że pierwsza robiłaby aerobik - mówi Jeanette - gdybym jej tylko pozwoliła.

Ćwiczymy do muzyki z płyt, które musi dobrze znać moja matka, a ja czasem słyszę gdzieś te melodie, zapewne w nocnych reklamach telewizyjnych, zachęcających do kupna niezapomnianej kolekcji przebojów z lat pięćdziesiątych. Albo czterdziestych. Reklamy zawsze pokazują kominek lub zieloną łąkę z dwojgiem trudnych do zidentyfikowania ludzi trzymających się za ręce. A może to kolekcja przyśpiewek ludowych. Tak czy inaczej, muzyka jest znajoma i bezpieczna, a ćwiczenia proste i przyjemne, rodzaj obrotów z przytupami i klaskaniem w dłonie.

Po aerobiku Marią mówi:

- Zróbmy to jeszcze raz. - Ale ja jestem już gotowa na lunch.

Idziemy do Café la Cuisine na nasze pierwsze spotkanie z osławioną lekką kuchnią w ośrodkach spa, o której tyle słyszałam. Mam wrażenie, że francuszczyzna na tutejszych tabliczkach z nazwami pozostawia wiele do życzenia, ale nic nie mówię.

Gran i Maria poszły przodem, więc je doganiam.

- Strzyże mnie taki jeden chłopak na St. Marks - dobiega mnie głos Gran, podczas gdy Maria z podziwem ogląda jej niebieskawe, sterczące włosy.

- To cenna informacja - mówi Maria, a Gran się uśmiecha.

Lunch nas nieco zaskakuje. Nikomu nie chciało się zmieniać stroju, siedzimy niedbale przy stolikach w swoich trykotach - żadna z nas nie wydzieliła nawet kropli potu. Café la Cuisine jest konsekwentnie utrzymana w kolorystyce zmiksowanych pasteli, stanowiąc mieszankę mojej brzoskwini z miodem Marii, zwieńczoną mandarynkowo-jabłkowymi obrusami. Przekrzywione zielone drzewko - chyba z tej samej rodziny co żywopłot na zewnątrz - służy jako dekoracja, na której ktoś pozawiazywał tu i ówdzie różowe kokardki. Jednak prawdziwą niespodziankę stanowi jedzenie.

- Nie wiedziałam, że hamburger na ostro zalicza się do potraw dietetycznych - mówi Maria, patrząc na talerz sąsiadki.

- I do tego taki duży - szepczę.

- To nie jest jeden z tych super-duper ośrodków - odzywa się Jeanette - w których serwują ci surowy krążek cebuli jako główne danie z gałązką pietruszki na brzegu talerza.

Gran się z nią zgadza.

- Nie oczekuj tu, że będziesz jeść garnirunek - potwierdza.

Kelnerka przynosi Marii i mnie kanapki z kurczakiem Tres Bien i sos tysiąca wysp, który mama nazywa zawsze sosem tysiąca kalorii. Muszę przyznać, że mi to w pełni odpowiada i moja wdzięczność objawia się jednym słowem:

- Frytki!

- Proszę cię - mówi Maria. - Pommes frites. Wiedziałałam, że ci się tu spodoba.

Dzień upływa nam przyjemnie i niezbyt wyczerpująco między innymi na jeździe konnej po zalesionych alejkach zagajnika za różowymi stajniami MaryAnn Spa.

- Wydaje mi się, że to tylko kucyki - mówi Maria, ale moja klacz mi w zupełności wystarcza. Ma na imię Darcy i grzywę przeplecioną fiołkową wstążeczką. Biegnie ciężkim truchtem, który w żaden sposób nie zagraża trawieniu przeze mnie kurczaka Tres Bien i frytek, nie mówiąc już o torcie morelowym, który zjadłyśmy z Marią na spółkę. Czarny koń Marii, Jocko, trzyma wysoko łeb i potrząsa nim za każdym razem, gdy Maria go klepie, od czego ta nie może się powstrzymać.

- Jocko ma łaskotki - śmieje się Maria i Jocko rzy z zadowoleniem.

Sięgając pamięcią wstecz, z przyjemnością przywołuję ten obraz. Jedziemy sobie oto na łagodnych kucykach przez słoneczną polanę w New Jersey - jeszcze jedna z niespodzianek, jakie niesie nam życie.

Po przejażdżce konnej i prysznicu, idziemy obejrzeć sklep z pamiątkami. Poprzestajemy na zakupie daszków przeciwsłonecznych w przypisanych nam pastelowych odcieniach brzoskwini i miodu, chociaż Marię kusi też kolorowa ekspozycja japonek.

- Trzeba oddać sprawiedliwość miejscu, które ma taki wybór kłapek pod prysznic - mówi. Wybiera w końcu dwie pary, Jej-i-Jego, w niepasującym do MaryAnn kolorze neonowego oranżu. - Dla Henry'ego - wyjaśnia. - Będą jak znalazł.

Przy kolacji dosiadamy się do stolika kobiet, które polecają nam Boeuf à la MaryAnn. Nie damy się namówić na wielkiego befsztyka pokrytego ciemnym sosem i bierzemy pieczonego łososa, chociaż nie nadano mu żadnej eleganckiej nazwy. Próbujemy się poprawić, zamawiając na deser MaryAnn Mais Oui, który okazuje się ogromną czekoladową markizą z lodami miętowymi w kolorze dopasowanym do wystroju Café la Cuisine. Maria podnosi do góry łyżeczkę lodów, porównując ją z naszym obrusem.

- MaryAnn musiała zatwierdzić to osobiście.

Chociaż nie czujemy się wcale zmęczone po całym dniu, nadal uważamy, że należy nam się długi, relaksujący wypoczynek w wodach mineralnych krytego basenu. Nie mogę się doczekać, żeby wypróbować na własnej skórze cuda aromaterapii i rozkosze musującej kąpieli, zachwalane w rozlicznych kobiecych magazynach. Okazuje się, że kostiumy kąpielowe nie są obligatoryjne, jednak decydujemy się w nich pozostać.

- Wy, dziewczęta, powinnyście się nauczyć korzystać z życia - mówi do nas Gran, naga i w doskonałej komitywie z otaczającymi ją minerałami.

Basen z wodą mineralną wygląda trochę jak jacuzzi, ale jedno pociągnięcie nosem uświadamia nam, że nie jesteśmy już w raju. Prawdę mówiąc, gdybyśmy były dziećmi, zatkałybyśmy pewno nosy przed wejściem do wody. Może uciekłybyśmy, gdzie pieprz rośnie albo przynajmniej zaczęły sobie robić żarty ze smrodu. Jednak ponieważ jesteśmy dorosłe, udajemy, że wszystko w porządku. Jestem rozczarowana, lecz staram się tego nie okazać, bo zrobiłabym z siebie rozpieszczoną lalę, czego staram się unikać w obecności obcych. Pewne zachowania są stosowne tylko wobec rodziny. Z żalem żegnam się z nadzieją na truskawkową pianę i zanurzam się w podejrzanym odmiecie pełnym nieznanymi minerałami, które pachną trochę jak płyta lotniska.

Maria wzrusza ramionami.

- To jest dobre dla twoich porów.

Oprócz Jeanette i jej matki towarzyszą nam dwie starsze panie, Shirl i Clara Louise, które przed wejściem do wody skręciły włosy w loczki i zapięły spinkami. Clara Louise puszcza w obieg swój balsam do ust.

- Opowiedzcie nam o swoim życiu miłosnym, dziewczęta - mówi Gran. Można by pomyśleć, że w gorącej wodzie zrobi się senna, ale nie.

- No właśnie - podchwytuje Clara Louise, przyklepując sobie włosy. - Tylko nie mówcie głupstw, że interesuje was wyłącznie kariera.

- No więc... - zaczyna Maria. - Mam chłopaka, na imię mu Henry.

- Czy to poważne? - pyta Jeanette.

- Nie przerywaj - zwraca jej uwagę Gran.

- Wyznam pewną filozofię życiową, jeśli można to tak nazwać - ciągnie Maria. - Nie szukam nikogo na siłę. Nie zakochuję się w każdym, kto się nawinie, ale czasem ktoś zwraca moją uwagę. Henry ma swoje dobre strony.

- Na przykład - mówi Jeanette.

- Cóż, Henry jest osobą z gruntu pogodną, a niełatwo dziś kogoś takiego spotkać. I potrafi się skupić.

Kobiety kiwają głowami. Gran poklepuje Marię po ramieniu. Clara Louise znów wyjmuje swój balsam do ust.

- A jak seks?

- No cóż, jak zapewne wiecie, seks jest rzeczą skomplikowaną w naszych czasach - mówi Maria swoim głosem aptekarki. - Ale osobiście nie narzekam.

Gran pochyla się do Marii.

- Podoba mi się ten Henry.

- Twoja kolej, Holly - zwraca się do mnie Jeanette.

Mam ochotę udać, że woda mnie uśpiła, ale Gran z pewnością spryskałaby mnie bezlitośnie, żeby mnie obudzić. Jak się domyślam, Maria i ja jesteśmy atrakcją wieczoru, choć mogłyśmy wszystkie zostać przy telewizji i obejrzeć sobie trzeciorzędny film z Dudleyem Moore'em, nienaruszający niczyjej prywatności.

Maria przychodzi mi z pomocą.

- Holly ma interesującego kolegę w pracy i byłego męża.

- Wielkie dzięki - szepczę do niej.

- Ooo... - zaciekawia się Clara Louise - co dwóch, to nie jeden.

- Na czym stoisz z tym kolegą? - pyta Gran. - Rozwikłaj ten układ.

Niezła rada, myślę.

- Jest miły - mówię.

- To już dobrze - stwierdza Jeanette.

- Proszę cię - wtrąca Gran. - Miły nic nie znaczy. Seksowny? Opiekuńczy? Muskularny?

Zastanawiam się, czy któryś z tych przymiotników pasuje do Toma i czy chciałabym, żeby pasował.

- Robi dobry sos z małży - dodaję po chwili.

- Dobry sos z małży ma swoje zalety - oświadcza Shirl. Wszystkie kobiety potakują, nawet Maria. Nawet ja.

- A co z byłym mężem? - pyta Gran.

To związek, którego staram się nie analizować, mimo protestów paru osób, jakie znam - Janie, mamy, Marii, terapeutki, do której chodziłam przez krótki okres i która kichała, ilekroć wspomniałam moją matkę. One wszystkie wypytyują mnie o stosunki z Joshem, moim byłym mężem, już od dobrych paru lat. Kiedyś przyniósł mi róże, żeby uczcić rocznicę naszego rozvodu - całkiem serio pomylił ją z rocznicą ślubu i chyba zapomniał, że się rozwiedliśmy. Z jakichś powodów nie poczułam się urażona. Teraz doszło nowe zmartwienie w postaci naszych przygodnych nocowań u siebie. Jak to Maria nazywa, nastąpił „powrót małżeńskiego seksu”. Coś w kąpielni mineralnej otwiera mój umysł i daje mi nowe spojrzenie na sytuację. Może gorąca woda, a może jakiś składnik ropy naftowej.

- Pobraliśmy się bardzo młodo - mówię. - Myślę, że po jakimś czasie oboje zatęskniliśmy za wolnością. A może tylko ja zatęskniłam.

- Dziewczyna potrzebuje trochę swobody - wtrąca Shirl.

- Ciii... - ucisza ją Gran.

- Teraz spotykamy się czasem, bez presji deklarowania, czy to będzie trwało, czy nie.

- Nadal się z nim spotykasz? - dziwi się Jeanette.

- Nadal z nim śpisz? - pyta Gran. Odwraca się do Jeanette. - Nie ma sensu owijać w bawełnę.

- Spaliśmy ze sobą dwa razy - przyznaję. - Znam go od tak dawna, rozumiecie?

Myślę o tym, jak robiliśmy razem pranie w akademiku, uważając za bardzo seksowne to, że nasze koszule przybierają jednocześnie ten sam poszarzały odcień. Pamiętam nasz skromny ślub i przyjęcie w ogrodzie mojej matki pod drzewem dereniowym, które zasadził ojciec. Janie nalegała, żebyśmy zrobili wesele w wielkiej gospodzie pod grzmiącym wodospadem, ale nawet mama uznała, że może być trochę za mokro.

- Czy to ma przyszłość? - chce wiedzieć Jeanette.

- Zawsze myślałam, że nie, ale może nie mam racji. A nuż coś z tego będzie. Nie rozmawiamy o tym i nie wiem nawet, czy bym tego chciała. Ale kiedyś będziemy musieli porozmawiać.

Zaczynam rozmyślać o konieczności przeprowadzenia z Joshem rozmowy „na serio” z rodzaju tych, podczas których człowiek poci się jak mysz, omawiając najważniejsze sprawy życiowe. Nie przepadam za poważnymi rozmowami - te kilka, które odbyłam z Joshem nic nie dały, tylko doprowa-

dziły nas w końcu do rozvodu, gdyż, no cóż, Josh to Josh i nie umiał się zmienić. Nie wiem, czy teraz byłby inny. Czy Josh potrafi być bardziej odpowiedzialny? Pamiętać o urodzinach mojej matki? Pamiętać o moich urodzinach? I czy ma to naprawdę aż takie znaczenie, czy tylko daje mi poczucie, że się ze mną nie liczy?

- Nie muszę teraz się tym martwić - mówię im.

- Dzielna dziewczyna - chwali mnie Gran. - Niezależna.

- Dzielna dziewczyna - szepcze do mnie Maria, ale gromię ją wzrokiem.

- Sama nie wiem... - odzywa się Shirl. - Gdybym kiedyś odważyła się zostawić mojego męża po trzydziestu siedmiu latach - myśli przez chwilę i zanurza się w ciepłej wodzie - to wątpię, abym chciała jeszcze kiedykolwiek go zobaczyć.

Pograżamy się wszystkie w zadumie.

Po powrocie do pokoju sprawdzam w harmonogramie nasze zajęcia na następny dzień. O dziewiątej jest masaż, potem tak zwane lekkie śniadanie. Teraz już oczekuję co najmniej ciasteczek z haszem. Później pływanie i sauna, z opcją zsynchronizowanych ćwiczeń aerobiku w wodzie. Już widzę Gran na samym przodzie w jej jaskrawoczerwonym czepku kąpielowym. „Chlor wyczynia dziwne rzeczy z niebieską farbą” powiedziała nam, nawiązując do swojej punkowej fryzury. Po południu mamy Sesję makijażu i czesania z Josephine. Maria nie może się doczekać, żeby poznać kogoś o imieniu Josephine i poeksperymentować z cieniami do oczu. Wyznała mi też, że chce pokazać innym kobietom właściwy sposób tapirowania włosów. Zdziwiłam się, że jest jakiś właściwy sposób, na co odparła: „Oczywiście. To nabyta umiejętność i można się jej nauczyć”.

Kładę się na łóżku na brzoskwiniowej narzucie. Mam wrażenie, że musi tu być odświeżacz powietrza o brzoskwiniowym zapachu, ale nie byłam w stanie go znaleźć. Zamykam na chwilę oczy. Udaję, że leżę w brzoskwiniowej kąpieli o odpowiedniej temperaturze, i pozwalam myślom błądzić w brzoskwiniowych przestworzach. To mi musi wystarczyć po naszej śmierdzącej kąpieli mineralnej. Z jakiegoś powodu przypominam sobie, że przywiozłam tu moją pocztę, którą pochwycałam ze skrzynki, wychodząc z domu. Przerzywam medytację i wyjmuję ją z torebki. Pośród licznych ulotek znajduję kartkę od mamy i liścik od ojca. Matka postanowiła skrócić swoją wyprawę afrykańską z planowanych poprzednio czterech miesięcy do rozsądniejszych dwóch tygodni. Będzie w domu w następną środę. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jej decyzja, żeby wrócić wcześniej, jest oparta na logice, czy na czymś mniej przyjemnym, jak ulewne deszcze. Kartka przedstawia dwa niesforne słońatka, które dokazują w najlepsze, ku utrapieniu matki słońicy. Ciekawa jestem, czy mama chciała coś przez to powiedzieć. Wspomina, że nie dała się zjeść przez owady i jest z tego dumna.

Liścik od ojca stanowi jeszcze większą zagadkę. Otwieram jedną z tych kartek z nadrukiem: Myślę o tobie, którą musiała mu dać jego dziewczyna, Sophie, ze swojej szuflady z papeterią. Należy do kobiet, które mają szufladę z papeterią. Na kartce ojciec napisał:

Cieszę się, że do nas przyjechałaś. Mam nadzieję, że wszystko dobrze w wielkim mieście. Uwważaj na siebie. Do zobaczenia, oby niedługo. Uściski, tato.

Uświadamiam sobie, że w ciągu trzydziestu lat życia na planecie Ziemia nigdy dotąd nie dostałam listu od ojca. To matka pisała wszystkie karki urodzinowe i kartki z wakacji, usprawiedliwienia do szkoły z powodu zapalenia ucha i tym podobne. Poznają jego pismo, bo widziałam jego prace na biurku, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek coś do mnie adresował. Oglądam kartkę ze wszystkich stron. Nie wiem, co o tym sądzić. Może ten liścik nie ma żadnego specjalnego znaczenia, może ojciec po prostu „o mnie myśli”. Widzę go w jego wypełnionym kaczkami gabinecie, jak próbuje napisać do mnie parę słów piórem zwieńczonym kaczką, parę słów, które powiedzą, że o mnie myśli. Musiałam chyba przysnąć, bo obraz ojca zamienił się w Josha, który gładzi liście swoich roślin doniczkowych. A może nawet przemawia do nich pieszczotliwie, co wydaje się nieco dziwne jak na matematyka. Odwracam się na prawy bok i Josha zastępuje Tom, czy też ktoś podobny do Toma, kto siedzi pod białymi lampkami rozwieszonymi nad stołem i starannie składa gruby papier, robiąc z niego dziwne zwierzątka, paradę małych drapieżników. Wsuwam się głębiej w brzoskwiniowe łóżko i staram się wrócić do brzoskwiniowych przestworzy. Ciało mrowi mnie po minerałach i obrotach z przytupami, i nie jest to wcale przykre uczucie.

Rozdział dziewiąty

Pocałunek w policzek może być całkiem przyjemny

Obracam w palcach kartkę, którą kupiłam w drodze do pracy. Przedstawia pomarańczowo przegowanego kotka z łapką sięgającą do miski spaghetti. Na odwrocie piszę: *Dziękuję za kolację!*, lecz nic więcej nie mogę wymyślić. Próbowalam podziękować Tomowi osobiście w holu redakcji, ale umknął mi gdzieś pomiędzy „dzięki” a „za”. Myślę, że ta kartka będzie uprzejmym gestem, który nie powie za dużo, zwłaszcza że nie bardzo wiem, co chciałabym powiedzieć, chociaż z pewnością chcę mu podziękować. Oboje nie jesteśmy pewni, na czym stoimy, choć zjedliśmy tylko jeden lunch i jedną kolację. Ale, jak sądzę, przekroczyliśmy jakąś niewidzialną granicę w stosunkach między redaktorami technicznymi. Nie chcę jakoś szczególnie zachęcać Toma, ale też nie mam ochoty zupełnie go zniechęcać. Po prostu nie wiem.

Mam zamiar położyć mu tę kartkę na biurku później, a na razie wkładam słuchawki walkmana i zaczynam sprawdzać korektę jednej z książek, nad którymi pracuję. Ta traktuje o niedrożności jelit i moja szefowa nadała jej kryptonim *Brzuch*. Czasem, kiedy wpada do mnie, omówić coś przy tej książce, zostawia mi na wychodnym opakowanie pastylek na niestrawność. To takie jej biurowe żarty.

Przychodzi moja przyjaciółka Nina i siada na stołku do dojenia mleka.

- Holly, słyszałaś coś? - pyta ze zmartwioną miną. Jest o wiele za młoda na taki wyraz twarzy.

- Nic a nic. Nikt mi nic nie mówił. Co masz na myśli?

- Wiesz, jak to jest - wyjaśnia Nina. - Carl powiedział, że słyszał od Jan, że na górze o czymś się mówi.

Zagadkowa wypowiedź Niny po odcyfrowaniu pokazuje mniej więcej, jak działa nasza poczta pantoflowa. Na wyższym piętrze urzędują wyżsi rangą pracownicy, redaktorzy merytoryczni, wicedyrektorzy i jacyś ludzie, których tytułów nigdy nie poznałam. Ciągłe o nich plotkujemy, spekulując, co właściwie robią, jak długą mają przerwę na lunch. Nie sądzę jednak, żeby oni poświęcali tyle czasu rozmowom na temat redaktorów technicznych. Jesteśmy całe piętro niżej.

- Zmiany wiszą w powietrzu - oświadcza Nina.

- No cóż, dobiegły mnie jakieś słuchy o remoncie.

- Carl mówi, że słyszał coś o przeprowadzce.

- To fatalnie - mówię, bo lubię chodzić pieszo do naszego rozpadającego się budynku w Village i chwalam sobie, że nie muszę jeździć metrem. Ale próbuję znaleźć jakieś pozytywne strony, ze względu na Ninę. - Będzie więcej miejsca.

- I może dostaniemy pokój śniadaniowy - rozjaśnia się Nina. - Taki z prawdziwego zdarzenia. Może nawet z automatem ze słodyczami.

- No widzisz, za bardzo się wszystkim martwisz.

- Wiem - przyznaje Nina. - Pracuję nad książką o zamartwianiu się i zmarszczkach mimicznych.

To mnie stresuje.

- Idź, popatrz sobie na książkę o małżach. Ma kojące działanie.

- To prawda - mówi Nina, podnosi się i wychodzi.

Trochę mnie niepokoi ta pogłoska o przeprowadzce, ale staram się ją zignorować. Plotki rozchodzące się po naszym dziale niemal nigdy się nie sprawdzają. Kiedyś wszyscy trąbili, że Science Press zatrudnia kogoś z rodziny Kennedych, a okazało się, że to sekretariat przyjął do pracy gońca imieniem Kenny.

Po spędzeniu kilku godzin nad *Brzuchem* zdejmuję słuchawki i idę z moją kartką do sąsiedniego boksu. Słyszę dochodzące stamtąd głosy, więc zwalniam kroku. Kiedy widzę źródło tych głosów, zdumienie odbiera mi mowę. Jeszcze nigdy nie byłam tak zaskoczona, przynajmniej w pracy.

- Siema, Holly. - Josh, mój były mąż, siedzi na krześle obok Toma.

- Cześć - bąkam i niepostrzeżenie wsuwam kartkę do tylnej kieszeni spodni.

- Tom opracowuje moją książkę - wyjaśnia Josh. Tom macha ręką w powietrzu na dźwięk swego imienia, ale nie otwiera ust.

- Twoją książkę?

- Publikują tu moją książkę. Mówiłem ci, nie pamiętasz?

Nie przypominam sobie, żeby mi to mówił. Podnosi w górę jakieś szpalty z równaniami. Tom wskazuje na mnie i Josha, pytając gestem, skąd się znamy, jak sędzę.

- Och - mówi Josh - Holly i ja to długa historia. Tom kiwa głową i przemawia:

- Szukałaś mnie?

- Nie - kłamię. - Przechodziłam i zajrzałam spytać, czy widziałeś wózek z pocztą.

- Jeszcze nie. Sprawdź północny korytarz. Mnóstwo razy leżał tam przewrócony.

- Dzięki - mówię. Patrzę na nich, przenosząc przez chwilę wzrok z jednego na drugiego, choć trudno powiedzieć, czy szukam podobieństw, czy różnic. - To na razie.

Idę do damskiej toalety, żeby się schować i rozważyć prawa rządzące przypadkiem, chociaż nie jestem pewna, czy przypadek ma jakieś prawa. Raczej właściwości albo pomyłki, a może nie sposób się tego dowiedzieć. W toalecie zastaję Monique, opierającą się o umywalkę.

- W czwartej kabinie jest zielony robal - mówi. - Ma nietypowy kształt i antenkę. Zawiadomiłam już dział graficzny, żeby przyszli zrobić zdjęcie, więc go nie rozdepcz.

- Okej, zostawię to dla ciebie.

- Zawsze byłaś moją faworytką - mówi Monique, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Mój były mąż tu jest - oznajmiam.

- W której kabinie?

- Nie, tam w redakcji. Pomaga przy opracowaniu swojej książki.

- Napisał *Brzuch*?

- Nie, coś matematycznego, z mnóstwem wzorów. Tom się tym zajmuje.

- Brr... - wstrząsa się Monique. - Nazwałam to *Umiem liczyć*. Wiesz, co mówią o mężczyznach, którzy bawią się liczbami.

- Nie.

- Lepiej nie pytaj. - Monique macha ręką. Wchodzi Nina.

- W czwartej kabinie jest wielki, zielony robak - informuje ją Monique. - Ale mógł już przejść do drugiej albo trzeciej. Prawdę mówiąc, może być wszędzie.

Nina zastyga przy drzwiach.

- Och... - Rozgląda się po podłodze, sparaliżowana strachem.

- Spróbuj toaletę na górze - radzi Monique i Nina wychodzi, mrużąc: „Dzięki”.

- Ona się mnie boi - konstatuje Monique. - To takie smutne. Została mi tylko jedna osoba spośród was wszystkich, która się mnie boi. Przedtem wzbudzałam więcej strachu. - Monique potrząsa głową, przeglądając się w lustrze. Zauważam, że ma naprawdę niezłą fryzurę.

Pojawia się kobieta imieniem Denise, z działu graficznego, i wchodzi z aparatem fotograficznym do wskazanej jej czwartej kabiny.

- Pójdę obejrzeć sobie twojego byłego, co? - rzuca Monique, kierując się do drzwi. Postanowiam zostać tu jeszcze przez chwilę. Monique odwraca się od progu. - Wystaje ci ze spodni kartka z kotkiem.

Chwytam kartkę i wpycham ją głębiej do kieszeni. W czwartej kabinie kilkakrotnie błyska flesz.

Parę dni później kartka nadal wisi na mojej lodówce w miejscu, gdzie ją przygwoździłam magnesem z biedronką po powrocie w poniedziałek do domu. Gdy minął dzień lub dwa, zdałam sobie sprawę, że nigdy nie dostanie się na biurko Toma, nie mówiąc o samym Tomie. To jeszcze jedno zadanie, którego nie wypełniłam, ale trzeba przyznać, że kartka przedstawia się na lodówce bardzo ładnie. Teraz rozumiem, czemu ludzie obklejają swoje lodówki. Jedna mała ozdoba sprawia, że pomieszczenie nabiera ważności, chociaż to niezbyt duże pomieszczenie.

Ale od razu widać, że ktoś tu mieszka, ktoś, kto lubi koty albo spaghetti, albo po prostu kolorowe obrazki. Czuję, że moje życie nabrało nowego wymiaru, stało się bogatsze, choć zapewne przypisuję zbyt wiele zwykłej kartce pocztowej. Ale daje naprawdę niezły efekt.

Czwartkowy wieczór zastaje mnie w moim salonie z matką, która pojawiła się poniekąd niespodziewanie po swojej afrykańskiej wyprawie. Ma ze sobą dwie walizki, które bez słowa zostawia w kuchni.

- No i jak było? - pytam. Oczekuję opowieści o pędzących przez wioski dzikich słoniach, które mama i Ronny ścigają z aparatem fotograficznym, robiąc zdjęcia powiewającym ogonom.

- Podróż była inspirująca - zaczyna mama. - Nachodziłam się za wszystkie czasy i sądzę, że wystarczy mi spacerów do końca życia.

- Wcale nie jesteś opalona - zauważam.

- Filtr przeciwsłoneczny - wyjaśnia.

Nikt by nie zgadł, że była pod palącym słońcem. Równie dobrze mogła mieszkać przez te dwa tygodnie w przejściu podziemnym. Z drugiej strony, żadna z nas nie lubi się opalać. Zwykle jestem najbledsza w towarzystwie, a na studiach ktoś przeważał mnie przynętą dla rekina. Nie było to chyba pomyślane jako komplement.

- Ronny wypstrykał osiem rolek filmu - mówi mama - na których głównie stoję tyłem do niego, podziwiając cuda natury. Nie najlepiej prezentuję się od tej strony.

- Jak się ma Ronny?

- Doskonale, jak na mężczyznę, który przez ostatnie dwa tygodnie spał na łóżku polowym.

Niechętnie zadaję następne pytanie.

- Czy wasza podróż nie miała trwać dłużej? Nie żebym chciała się ciebie pozbyć na cztery miesiące, ale co się stało?

Mama myśli przez chwilę.

- Nadchodzi taki moment w życiu kobiety, kiedy czuje, że następny lew, jakiego zobaczy, będzie ostatnim. Sądzę, że to dojrzała decyzja.

Patrzę na nią spod oka.

- To nie musi być lew, skarbie - mówi. - Każda z nas ma własne kryteria.

Słychać pukanie do drzwi.

- To Janie - oznajmia mama.

- Janie wiedziała, że przyjedziesz, a ja nie? - Wiem, że zachowuję się jak ośmiolatka.

- Znasz swoją siostrę - mówi mama.

Wpuszczam Janie. Przyjechała prosto z pracy w eleganckim beżowym kostiumie. Zdążyłam się już przebrać w poplamiony T-shirt i spodnie od dresu, więc czuję się jakby nieco gorsza, zaniedbana, poza tym metka od spodni drapie mnie w plecy. Sięgam do tyłu i odrywam ją na oczach Janie, która krzywi się nieznacznie, wkraczając do środka.

- Wyglądasz fantastycznie - mówi do naszej matki. - Dobrze się bawiłaś?

- Mniej lub więcej - odpowiada mama.

- Chcę zobaczyć zdjęcia - oświadcza Janie.

- Uważaj, czego pragniesz - ostrzega matka.

Nalewam soku pomarańczowego do dzbanka i przynoszę do salonu. Nie jest świeżo wyciśnięty z owoców, ale to rodzina, więc albo nie zauważą, albo nic nie powiedzą.

- Przywiozłam wam prezenty - oznajmia mama.

Znika w kuchni i grzebie w walizkach, po czym przynosi dwie torebki z nadrukiem słonia, w których znajdują się naszyjniki z koralików.

- To prawdziwe afrykańskie koraliki, nie takie z pchłego targu.

- Od razu widać - mówi Janie z uznaniem.

Sama nigdy bym nie dostrzegła różnicy, ale koraliki mi się podobają.

- Dlaczego przywiozłaś tu swój bagaż? - pyta Janie.

- Właśnie, dlaczego? - wtóruje jej. Cieszę się, że podniosła ten temat.

- Nie zgadniecie - mówi mama, opadając na kanapę. - Okazuje się, że postanowiono przeprowadzić dezynsekcję mojego budynku.

- Dziś w nocy? - dziwię się.

- Zawiadomienie musiało przyjść podczas mojej nieobecności.

- Chodzi może o takie śmieszne, zielone robaki? - pytam, mając w pamięci epizod w redakcyjnej toalecie.

- Fu! - wzdryga się Janie.

- Mam nadzieję nigdy się tego nie dowiedzieć - oświadcza z godnością mama.

- Oczywiście możesz tu zostać - mówię. - Oddam ci moją rozkładaną kanapę i przyniosę sobie materac z piwnicy.

- Możesz zatrzymać się u mnie - wtrąca Janie. - Nie mam dodatkowego łóżka, ale chętnie prześpię się na podłodze.

Mam wrażenie, że rozgrywa się tu jakiś wyścig, coś w rodzaju konkursu, lecz jeśli Janie zależy na wygranej, nie mam nic przeciwko temu, żeby spała na podłodze. W końcu moje mieszkanie naprawdę składa się tylko z jednego pokoju z małą kuchnią i łazienką. Jasne, mam dodatkowy materac, ale jednak.

- Myślę, że kanapa Holly mi wystarczy - mówi mama.

Wygrałam bez większego wysiłku i czuję się trochę winna, że nie starałam się bardziej.

- Pojechałabym do Ronny'ego - dodaje mama - ale sądzę, że chwila odpoczynku ode mnie dobrze mu zrobi. Poza tym, kupił nowe filmy i ciągle robi mi zniecierkiewane zdjęcia. Ma całą dokumentację mojego wymiotowania w samolocie. Działa mi to trochę na nerwy.

- Wobec tego może ja też tu zostanę! - ożywia się Janie. - Zrobimy sobie nocne pogaduchy!

- Nie gniewaj się, skarbie - mówi mama taktownie - ale jestem zbyt zmęczona na taką szampańską zabawę.

Czuję ulgę, choć Janie rzednie mina. Siedzi na krześle, popijając sok i bawiąc się swoimi koralikami.

Nie jestem sama. Mama śpi u mnie dopiero drugą noc, ale czuję się, jakby ankieter badający rynek chodził za mną krok w krok i notował moje odpowiedzi na różne pytania. Jak dotąd, matka spytała

mnie, co jest w moim korektorze i gdzie znalazłam zawekowane morele bez pestek. Nie wiem, co jest w moim korektorze. Nie wiedziałam nawet, że w ogóle mam korektor. To musi być darmowa próbka. Morele w słoiku dostałam w pracy na przyjęciu z okazji rocznicy zdobycia Bastylia, którą zawsze świętujemy, bo ktoś z góry jest Francuzem, choć nie mam pojęcia kto. Morele mogły dawno się zepsuć, ale wolę się do tego nie przyznawać. Nie chcę, żeby mama wiedziała, że należę do osób, które trzymają zepsute owoce w lodówce.

Jest piątkowy wieczór i mama oznajmia, że jutro wyprowadza się do Ronny'ego, niech się dzieje co chce z jego zapędami fotografa.

- Nie musisz się stąd wynosić - mówię.

- Znasz to powiedzenie, że „gość jak ryba, trzeciego dnia cuchnie”? - pyta.

- Znam, choć nigdy dokładnie nie pamiętam tych przysłów - mówię. - Co gorsza, paru z nich w ogóle nie rozumiem.

- Tak czy siak, większość gości zaczyna nas męczyć mniej więcej po godzinie. W każdym razie daję ci swobodę na sobotni wieczór.

- Doskonale się składa. Twoja obecność nie będzie mnie krępować podczas naszych cotygodniowych orgii.

- Jeśli chcesz, przyślę ci Ronny'ego, żeby zrobił dokumentację fotograficzną.

- Nie warto. Nosimy maski. Nie można zidentyfikować, kto jest kim.

- Nigdy nie wiem, czy w takim wypadku należy mówić „kto jest kto”, czy „kto jest kim” - mówi mama.

- Cały sekret polega na tym - oświadczam autorytatywnym tonem redaktorki - że jeśli się włoży wystarczającą ilość czarnej skóry, to nie ma znaczenia.

Rozlega się dzwonek. Moje powodzenie w tym tygodniu mnie zadziwia. Choć być może to kolejna wizyta Janie. To Josh.

- Siema, Holly - mówi od progu. Trzyma wielki bukiet pomarańczowo-żółtych kwiatów, z rodzaju tych, które przyciągają trzmiele.

- Cześć, Josh - witam go. - Kto ci dał kwiaty?

- Nie, to dla ciebie.

Zastanawiam się, czy go wpuścić, ale słyszę za sobą głos matki, która pyta niewinnie:

- Czy to nie Josh?

Uśmiech na jego twarzy pozostaje odrobinię za długo.

- Nie jesteś sama - mówi do mnie, gdy wprowadzam go do pokoju.

- Siema, Allison - wita moją mamę.

Trzeba bezstronnie przyznać, że mama lubiła Josha, kiedy byliśmy małżeństwem. Fakt, należy on do mężczyzn, którym się pragnie pomóc znaleźć drugą skarpetkę, a matki zapewne lepiej czują ta-

kie rzeczy. Od czasu naszego rozvodu jest nim jednak nieco mniej oczarowana. Mama nie cierpi rozpamiętywać przeszłości, zwłaszcza takiej, w której jej córkom mogła się dzieć krzywda, jak nam wyznała.

- Kogo ja widzę! Josh, co za niespodzianka - odpowiada. - I przyniosłeś kwiaty. Jak miło.

Josh wręcza mi kwiaty.

- Publikujemy w naszym wydawnictwie książkę Josha - mówię.

- A więc to wizyta zawodowa? Chociaż to oczywiście nie moja sprawa.

Kiepsko spałyśmy tej nocy i mama chce się pewno trochę rozerwać. Idę do kuchni po wazon, który schowałam gdzieś z tyłu szafki. Niewątpliwie będzie zakurzony. Nie jestem z tych dziewczyn, które trzymają czysty wazon w pogotowiu.

- Wydawnictwo Holly jest mi bardzo pomocne - mówi Josh.

- Ale nie masz co liczyć na specjalne względy z powodu znajomości z podrzędną redaktorką techniczną - krzyczę z kuchni.

- Tak czy owak, z pewnością cię tam cenią - oświadcza mama.

Nie mogę znaleźć wazonu, więc zostawiam kwiaty w zlewku. Nie chcę stracić niczego, co się dzieje w pokoju. Josh nie usiadł i wita moje nadejście z ulgą.

- Szkoda, że nie zostałeś wtedy dłużej i nie poszłaś z nami na lunch - zwraca się do mnie. - Byliśmy z Tomem w The Jelly Deli.

- Nie chciałabym przeszkadzać w męskiej rozmowie.

- Skądże! Rozmawialiśmy o fraktalach, czasoprzestrzeni, zasadach matematycznych i Knicksach.

- Otóż to.

Mama wzrusza tylko ramionami.

- Pójdę już - mówi Josh.

Obie wydajemy głośny jęk.

- Nie, zostań! - wykrzykujemy równocześnie.

Uznałam, że warto by się trochę zabawić jego kosztem. Czuję potrzebę, żeby się podroczyć.

- Nie mogę, mam dużo pracy. - Spuszcza głowę, zakłopotany.

Zapewne ma dużo pracy, całe stopy. Żegna się z mamą i odprowadzam go do drzwi.

- Chyba nie jestem dziś w nastroju - wyznaję cicho.

- Porozmawiamy kiedy indziej - mówi Josh.

Całuje mnie czule w policzek i idzie w kierunku schodów. Nie pamiętam, aby Josh kiedykolwiek pocałował mnie w policzek. Nawet wtedy, kiedy miałam katar czy gorączkę, czy to coś grypopodobnego, co dostaje się co roku wraz z uporczywym kaszlem, który trwa dwa tygodnie i wszyscy w pracy omijają cię szerokim łukiem. Nawet wtedy.

Zamykam drzwi i stoję tam przez chwilę, czując ciepło na policzku. Pocałunek w policzek, powtarzam sobie w myśli raz po raz, jakby parokrotne sformułowanie tego wydarzenia mogło objawić mi jakąś prawdę. Ale nie objawia.

Wracam do mamy, którą znajduję w kuchni, dziwnie posmutniałą, pogrążoną we własnych natrętnych myślach.

- Pomogę ci znaleźć ten wazon - mówi, pochyla się i zaczyna przeszukiwać czeluści dolnych szafek, powstrzymując się od komentarzy na temat kurzu i bałaganu.

Przechodząc obok lodówki, kładę rękę na moim wciąż ciepłym policzku. Kotek patrzy na mnie spod magnesu z biedronką, starając się z desperacją dobrać do smakowitego, domowego makaronu i narobić bałaganu.

TLR

Rozdział dziesiąty

Mówisz, że dziś są twoje urodziny?

Trzydzieste pierwsze urodziny to pestka - zapewnia mnie Maria, która jest o półtora roku starsza.

Muszę ze wstydem przyznać, że w zeszłym roku, na trzydzieste urodziny, przechodziłam poważny kryzys, jeden z tych, które zgodnie zapowiadają wszystkie kobiece magazyny. Myślałam, że coś takiego zdarza się tylko ludziom z obsesją na punkcie własnego życia, takim, którzy, na przykład, noszą przy sobie więcej niż jeden telefon komórkowy. Ale nie, nagle mnie też opadły różne pytania i wątpliwości. Czy już zawsze będę mieszkać w tym małym mieszkaniu? Sama? Czy nie powinnam więcej zarabiać? Mieć więcej przyjaciół? Mniej przyjaciół? Czy kupię kiedyś jeden z tych pasujących do siebie zestawów sypialnianych i czy w ogóle będę mieć kiedyś osobną sypialnię? Te i inne pytania nie dawały mi spokoju, męcząc mnie w pracy i nękając na ulicy, gdzie półprzytomna wpadałam na stoiska z gazetami i hydranty przeciwpożarowe. Na moich nogach pojawiły się sine plamy. Ale później stałam się kobietą trzydziestoletnią i wątpliwości przestały mnie dręczyć. Żeby to uczcić, kupiłam sobie puchową kołdrę. Siniaki zniknęły.

Moje urodziny przypadają na początek roku, stanowiąc jakby pierwszy szczebel do nowego życia. Te trzydzieste pierwsze już mną nie wstrząsnęły, a nadeszły wraz z pierwszym śniegiem, który zawsze wprawia wszystkich w pracy w dobry humor. Obserwujemy razem wirujące płatki śniegu za oknem. Stoimy bez ruchu, jakby to był pierwszy śnieg, jaki widzimy, jakby nigdy miała nam nie przeszkadzać czarna maź, która za parę dni zgromadzi się przy rynsztokach, jakby nigdy już nic miało nam nie przeszkadzać. Ten pierwszy śnieg jest jak nieoczekiwany prezent znaleziony pod poduszką.

Jedną z dodatkowych korzyści mojej pracy jest możliwość wzięcia wolnego dnia w dniu urodzin, płatnego urlopu, bez wymyślania sztucznych usprawiedliwień. To stosunkowo niedawna praktyka. Przedtem wszyscy zwalniali się tak czy owak pod pretekstem różnych nagłych chorób i dolegliwości. Parę lat temu kończyłam w dniu urodzin pracę nad jakąś książką i pamiętam, że Monique przyszła do mnie ze słowami: „Dziś są twoje urodziny... Nie czujesz, że łapie cię grypa?” Ale teraz to się zmieniło.

W przeddzień urodzin redaktorzy techniczni gromadzą się przy moim boksie, żeby mi odśpiewać najbardziej nieczyste *Sto lat!*, jakie im się uda zaprezentować. Po latach ćwiczeń doszli do zdumiewająco przeraźliwej interpretacji. Im bardziej fałszują, tym większą cię darzą sympatią, więc jestem wzruszona. Nina kładzie mi na biurku okrągły torcik - poznaję wyrób The Jelly Deli, galaretowato-czekoladowe ciasto, zwieńczone dziwnymi, niebieskimi wiórkami, które wygląda zarówno apetycz-

nie, jak i nieco podejrzanie. Koleżeński nacisk zmusza mnie do zdmuchnięcia świeczki na wierzchu, która może zaraz spłynąć na *Brzuch*. Carl, jeszcze jeden redaktor techniczny, przynosi nóż.

- Pokrójmy to na dwadzieścia cztery kawałki, po jednym dla każdego - proponuje, zbliżając się złowrogo do mojego tortu. Monique go odciąga.

- Dzieci nie powinny brać noża do ręki - mówi, wyjmując mu inkryminowane narzędzie. - Wracaj do swojego boksu.

Po chwili wszyscy się rozpraszają, większość od razu wkłada słuchawki na uszy. Patrę na laurkę urodzinową, którą zamówili dla mnie w dziale graficznym. To przemyślny kolaż, przedstawiający wszystkie książki, jakie ostatnio opracowywałam, z komiksowymi szkicami rekinów, brzuchów i guzów, z dodatkiem jakichś nieokreślonych plam. Niektóre z nich to zapewne pieprzyki.

Monique uważnie ogląda laurkę.

- Nie ma fotografii - mówi z lekkim zawodem.

Proponuję jej kawałek tortu.

- Nie przepadam za słodyczami - odmawia, potrząsając głową. - Mam coś dla ciebie...

Wychodzi i wraca z prezentem, którym jest jeszcze jeden stołek dojarki, pomalowany w białoczarne krowie łaty. Stoi na krowich nogach, czarnych na końcach. Pod spodem dostrzegam wymalowane duże, różowe wymię. Stołek jest kiczowaty i cudowny, w odpowiednich proporcjach.

- Dzięki, jest fantastyczny. Nie trzeba było.

- Tylko nie każ mi na nim siadać - mówi Monique, wychodząc.

Podziwiam moją laurkę i zaczynam czytać wszystkie wypisane na niej żarty i wyrazy sympatii. Słyszę pukanie w przepierzenie. Odpukuję. Znad ściany spływa ku mnie duży, żółty, papierowy słonecznik. Ma ten kolor wesołej żółci, który nasuwa na myśl szczęśliwe dzieciństwo, czy się je miało, czy nie. Można kupić takie kwiaty, ale coś mi mówi, że Tom zrobił go sam. Podpisał się na liściu.

Tom zagląda przez drzwi.

- Wszystkiego najlepszego!

- Przepiękny słonecznik, dzięki! - Podziwiam prezent i zastanawiam się, gdzie go umieścić na biurku. - Chcesz kawałek tortu?

- Nie, nie, jest twój.

Oboje wlepiamy wzrok w torcik. Zauważam, że nie ma żadnego zapachu.

- A więc znasz jednego z moich autorów, Josha - stwierdza raczej, niż pyta Tom.

- Tak - mówię. - Byliśmy kiedyś małżeństwem.

- Naprawdę? - Tom jest zdumiony. - Nie wiedziałem, to znaczy, nie miałem... - Urywa i kiwa przez chwilę głową. - Chyba nie będzie musiał już przychodzić - mówi w końcu.

- Nie ma problemu - zapewniam go. - Pozostajemy w dobrej komitywie. Jesteśmy teraz kimś w rodzaju starych przyjaciół. - Macham słonecznikiem w powietrzu, dotykając nim lampy, biurka, słuchawek. Jak magiczną różdżką.

Tom wydaje się nieco zbity z tropu.

- Wezmę jutro wolny dzień - oznajmiam. W razie wątpliwości, należy stwierdzić goły fakt.

Nadchodzi Monique i wrzuca mi do skrzynki szpalty z korektą. Patrzy na Toma.

- Czyżbyś coś mówił? - pokpiwa z niego. - Zwerbalizowałeś jakąś myśl? - W gruncie rzeczy Monique nie ma nic przeciwko małowówności Toma. Sama go zatrudniła. „To zaleta u mężczyzny - powiedziała mi kiedyś. - To zaleta u każdego”.

- Mówiliśmy o tym, że Holly chce wziąć jutro wolny dzień. - Tom wzrusza ramionami. Nigdy nie czuł się onieśmielony w obecności Monique. Zdaje się lubić jej sposób bycia.

- Tylko pod warunkiem, że sama zje całe to ciasto - mówi Monique.

- Dzięki czemu będzie mogła wziąć chorobowe - kwituje Tom i wysuwa się z mojego boks.

- Trzydzieści jeden - mówi Nina. Mając dwadzieścia trzy lata musi myśleć, że jestem zgrzybiałą staruszką. - Trzydzieści jeden.

- Trzydziestka była stresująca - wyznaję. - Nie będę cię okłamywać.

- Tak słyszałam. - Nina kiwa głową. Usiadła na nowym stołku i zgodziła się na moją prośbę spróbować niebieskich wiórków z tortu. Zdejmuję parę sztuk i podaję jej, a ona gryzie je w skupieniu.

- Bez smaku - zauważa.

- Chcesz powiedzieć, że to tylko rakotwórczy, kolorystyczny dodatek?

- Zapewne. Ale przynajmniej da się zjeść. Tak czy owak zdejmuję z wierzchu, co się da.

- Teraz możesz mieć dwoje gości - cieszy się Nina, ustawiając oba stołki obok siebie.

- Pod warunkiem, że będą się bardzo lubić. - Mój boks jest niewielki.

- Może dostaniesz większy boks po remoncie.

- Może.

- Powinnaś mieć jakieś przywileje.

- W moim wieku...

- Baw się jutro dobrze w dzień swoich urodzin - życzy mi Nina, wstając. - Nie mogę się doczekać, żeby mieć trzydzieści lat.

- Ja też tak kiedyś myślałam - mówię. - Ale fajnie jest być dwudziestolatką.

- Nikt nie bierze mnie poważnie - zasepia się Nina.

- Nonsens. Jesteś bardzo poważną osobą.

- Dzięki - rozjaśnia się i wychodzi pewnym krokiem. Widzi zbliżającą się Monique i gwałtownie skręca w lewo, żeby się na nią nie natknąć.

Monique wkłada następną korektę do mojej skrzynki. To doprawdy nie należy do jej obowiązków, więc obrzucam ją podejrzliwym wzrokiem.

Monique patrzy za oddalającą się Niną.

- Nie pomagasz jej chyba budować pewności siebie? - pyta ze zgrozą.

Chwytam korektę i odmawiam odpowiedzi. Wiem, że w gruncie rzeczy tylko sobie żartuje.

- Nikt tu już nie dba o moją rozrywkę - rzuca z pretensją.

Mam zamiar wypełnić sobie szczerze cały dzień urodzin, aby nie dać szansy depresyjnym myślom na temat zmarszczek. Powinnam być także na tyle zajęta, żeby nie mieć czasu martwić się o siwe włosy, nie mówiąc już o oglądaniu piegów w lustrze w celu upewnienia się, że w niczym nie przypominają pieprzyków z mojej książki. Bezczynność prowadzi do takich działań. Tymczasem jednak matka zaprasza mnie na lunch do restauracji z Ronnym i Janie. „Będzie śpiewanie” ostrzega. A później okazuje się, że Maria bierze wolne popołudnie, żebyśmy mogły się zabawić.

Spotykam się z rodziną w restauracji zwanej Wielki Połów. To nowy modny lokal w pobliskiej, zamożnej dzielnicy, gdzie ludzie stroją się, wychodząc po mleko czy masło. Najwyraźniej taka obowiązuje tu etykieta. Matka i siostra witają mnie okrzykiem: „Sto lat!”, a Ronny robi mi zdjęcie, kiedy siadam przy stole. Mama odwraca się do niego.

- Rozmawialiśmy o tym - mówi, wskazując na aparat fotograficzny.

- Tylko jedno zdjęcie solenizantki. Nazwę je: *Solenizantka za stołem* - tłumaczy się Ronny, chowając aparat.

Jak się dowiadujemy, Ronny często tu bywa; karta dań i wystrój wnętrza wszystko wyjaśniają.

- Widzicie te ryby? - pyta Ronny.

Wokół ścian pływają w zbiornikach wielkie ryby, co daje ten niesamowity efekt, jaki nas fascynuje w podświetlonych, kolorowych akwariach. Restauracja ma przyćmione światła i kiedy milkną rozmowy, można usłyszeć bulgotanie. Trudno o coś bardziej różnego od, powiedzmy, The Jelly Deli.

- Wybierzcie sobie, na którą macie ochotę - mówi Ronny, obserwując wielką rybę, objającą się o ściany akwarium.

- Musimy? - wzdryga się Janie.

- Mogą ci tu pomóc dokonać wyboru - wtrąca mama.

Patrząc na krążące ryby, zastanawiając się, czy będę miała serce skazać którąś z nich na to, by się stała moim urodzinowym daniem. Tak pięknie wyglądają, pluskając się w wodzie. Mam poważne wątpliwości co do restauracji, gdzie spożywa się dekorację. Zwłaszcza kiedy oddycha.

Zamawiamy z Janie sałatkę z krewetek, których nie musimy oglądać na żywo, a Ronny bierze sobie okonia. Mama prosi go, żeby wybrał jej coś dobrego; kelner idzie złapać lunch do siatki, Ronny podąża za nim z aparatem, żeby zrobić ostatnie zdjęcie pływającej ryby. Ten lunch był z góry skazany na niepowodzenie, jak sądzę.

Kiedy Ronny wraca, matka i Janie dają mi prezenty i upierają się, żebym je otworzyła w restauracji.

- I na stole, nie na kolanach - dodaje matka.

Raz w roku moja rodzina czerpie wielką przyjemność z wprawiania mnie w zakłopotanie w miejscu publicznym, choć podejrzewam, że szuka sposobności też przy innych okazjach.

Janie daje mi cudownie miękką, jedwabną bluzkę, niebezpiecznie białą, więc czym prędzej chowam ją przed groźbą zaplamienia. Janie robi nadzwyczajne prezenty, zawsze daje coś eleganckiego, na co samemu szkoda człowiekowi pieniędzy. Główny prezent od matki jest w kopercie - to czek.

- Żebyś mogła sobie sama kupić to, co chcesz, nie to, co ja uważam, że powinnaś mieć - mówi, co nie znaczy, że nie ma paru sugestii.

Wręcza mi także małe pudełeczko, żebym miała coś do rozpakowania, prezent od siebie i Ronny'ego. W środku znajduję srebrną, filigranową ramkę na zdjęcia, z rodzaju tych, które kupuje się komuś w prezencie ślubnym, a potem żałuje, że nie można tego zatrzymać dla siebie. Dziękuję wszystkim.

Ronny znów oślepia mnie fleszem i widzę przed oczami kolorowe plamki. Czuję się trochę jak ryba w tym szklanym zbiorniku, tylko mniej narażona na niebezpieczeństwo.

- No, dziewczęta, powiedzcie, co nowego? - pyta mama. Janie pierwsza zabiera głos.

- Wczoraj przyszła do galerii kobieta - zaczyna, co brzmi jak pierwsze zdanie dowcipu. - Powiedziała mi, że moje wysokie obcasy to obraza feminizmu i walki kobiet na całym świecie.

- Wow - mówię. Zawsze podziwiałam maestrię, z jaką moja siostra chodzi na wysokich obcasach, chociaż sama nigdy nie chciałam ich nosić.

- Potem kupiła najbrzydszy eksponat z całej wystawy - dodaje Janie. - Dostałam całkiem niezłą prowizję.

- Oto przykład feminizmu - mówię. Janie wzrusza ramionami.

- Tylko rodzina ma prawo krytykować twoje buty - oświadcza mama.

- Jeśli nie brać pod uwagę obywatelskiego poczucia obowiązku - zauważam, gdy tymczasem ktoś stawia przede mną sałatkę z krewetek.

- Chciałbym, żebyście kiedyś, dziewczęta, pojechały ze mną na ryby - oznajmia Ronny.

Przynoszą mu okonia. Patrzymy z Janie na siebie.

- No, nie wiem - bąkam.

- Ja z nim jeżdżę - mówi mama, o czym pierwsze słyszę.

- Łowisz ryby? - dziwi się Janie.

- To się nazywa kompromis, skarbie. Złapałam płastugę! Ale to Ronny musi walić rybę w głowę, póki nie przestanie się ruszać. Są pewne granice. - Mama bierze do ust kęs swojej ryby, jakby chciała udowodnić coś na temat spożywania łupu. Znow czuję się nieco otepiała.

- Jesteście nowoczesnymi kobietami - zwraca się do nas Ronny. - Powinnyście wiedzieć, jak sobie poradzić z okoniem.

Kelner wyławia obok nas długą, jasną rybę ku radości zgromadzonej wokół małej grupki.

- Co za cudo! - cieszy się Ronny.

Janie kiwa głową, odprowadzając wzrokiem kelnera, który niesie rzucającą się w podbieraku rybę. Patrzy na swoją sałatkę, grzebiąc w krewetkach, a potem odsuwa je na brzeg talerza.

- Mam nowinę - oznajmia mama.

Wlepiam w nią wzrok. Janie lekko odsuwa od siebie sałatkę.

- Ronny i ja postanowiliśmy zamieszkać razem. - Biorą się za ręce z niemal przeproszającym wyrazem twarzy.

Janie chwyta palcami krewetkę i zjada.

- To świetna wiadomość - mówię. Postanawiam pomyśleć o tym później.

- Ja też tak sądzę - przytakuje mama.

- No dobrze - odzywa się Janie. - Ale czy twoje mieszkanie nie jest trochę za małe?

- Będziemy mieszkać u Ronny'ego.

- Ach, tak... A to niespodzianka. - Widzę, jak zaczyna nad czymś główkować, ale wolę nie wiedzieć, o czym myśli. Odgryza teraz z nieobecny wyrazem twarzy główki krewetek, wkładając resztę z powrotem w sałatkę.

Podnoszę kieliszek wina.

- To rzeczywiście inne urodziny niż dotąd - przyznaję i stukamy się kieliszkami. Widzę, że Janie patrzy na mnie spod oka, mrugając wolno, jak młoda, ciekawa płaszczka, niepewna otaczających ją wód.

- Poczekajcie, aż zobaczycie, jaki dają tu płonący deser - mówi Ronny.

Po lunchu spotykam się z Marią w kinie, jednym z tych nowych multipleksów na East Side.

- Chodźmy najpierw obejrzyć jakiś ckliwy film - proponuje Maria - a potem wkradniemy się na jakąś głupawą komedię dla nastolatków.

- Nie wkradałam się bez biletu do kina od niepamiętnych czasów.

- To nielegalne - informuje mnie Maria. - Ale chcę, żeby twoje urodziny były czymś specjalnym. Możesz także wziąć prażoną kukurydzę i miętówki.

- Super - mówię, pamiętając o pastylkach na niestrawność, jakimi obdarza mnie moja szefowa, Monique. Mam jedno opakowanie w torebce.

Stoimy w snack-barze i patrzymy na nieapetyczne zdjęcia potraw. Kolory są za ciemne albo potrawy przegotowane, a może jedno i drugie. Nie możemy się zdecydować, żeby coś zamówić.

- Udawajmy przez cały dzień, że mamy po dziesięć lat - mówi Maria.

- Czy dziesięćlatki teraz w ten sposób obchodzą urodziny?

- Nie. Wkradają się na filmy erotyczne.

Po kinie idziemy na lodowisko obok Macy's. Maria wypożycza nam łyżwy i robimy parę okrążeń.

- Wydaje mi się, że po pięciu okrążeniach zasługujemy na gorącą czekoladę, nie sądzisz? - mówię.

- To twoje święto, wystarczyłoby, gdybyś przejechała w kółko trzy razy.

Obserwujemy młode dziewczęta, jeżdżące z gracją na środku lodowiska, o wiele szybciej niż my. Niektóre robią piruety, potem stają i kręcą się w drugą stronę.

Siadamy na poboczu i popijamy gorącą czekoladę z pianką.

- Jeśli zostaniemy jeszcze chwilę - mówi Maria - na lodowisko wejdą hokeiści.

Widzę paru wysokich uczniów, ślizgających się w niecierpliwym oczekiwaniu przy bandzie.

- Nie ma nic złego w tym, że sobie popatrzymy - dodaje Maria. - I tak nie możesz ich dotknąć, chociaż masz urodziny.

Grupka dziewczynek, dziesięcio- lub jedenastoletnich, pyta, czy może się dosiąść do naszego stolika i zajmuje wolne krzesła. Wszystkie obserwujemy, jak hokeiści wjeżdżają na środek i śmigają po lodzie, zostawiając za sobą głębokie ślady. Raz na jakiś czas jedna z nas wydaje głębokie westchnienie podziwu.

Po łyżwach Maria i ja idziemy do Placka na spotkanie z Henrym. Czeka na nas przy ostatnim stoliku.

- To nasz stół - obwieszcza Maria, a Henry bierze ją za rękę.

- Wszystkiego najlepszego - mówi Henry, podając mi luźno owinięty pakuneczek. W środku znajduję bordową chustkę z logo Transportu Miejskiego. Na swój sposób jest całkiem stylowa.

- Dzięki.

- Nie musisz jej nosić - dorzuca Henry. - Doskonale sprawdza się też jako ściereczka do wycierania naczyń.

Jesteśmy zadziwiająco głodne po naszej gorącej czekoladzie, którą wypiliśmy jakąś godzinę temu, więc zamawiamy naleśniki bananowe. Dorosłość, jak wiemy, daje nam przywilej jedzenia dań śniadaniowych na kolację. I nadal możemy wziąć potem placek wiśniowy.

- Moja mama ma przyjaciela - informuję ich.

- Coś takiego - podnosi brwi Maria. - Brawo, Allison!

- To trochę deprymujące, kiedy matka ci mówi, że z kimś żyje. Nawet, jeśli ten ktoś ma sześćdziesiąt pięć lat i sklerozę.

- Zwłaszcza jeśli ten ktoś ma sześćdziesiąt pięć lat i sklerozę.

- Wydaje mi się, że Janie miała ochotę dać jej szlaban na tydzień lub coś takiego.

- Matki. To zdumiewające, że zdają się posiadać własne życie.

Kiwam głową. Przynoszą nam naleśniki z czterema rodzajami syropu, więc próbujemy każdy po kolei, żeby dobrać sobie właściwy smak. Ponieważ to moje urodziny, kelnerka daje mi dużą, okrągłą plakietkę w kształcie placka bez jednego kawałka - logo firmy. Maria i Henry mówią, że jeśli ją od razu przypnę, nie powiedzą o urodzinach pracownikom kuchni. Jak się okazuje, trzymają tu na zapleczu akordeon albo nawet dwa na takie okazje, ale czasem sytuacja wymyka się spod kontroli. Zaczyna się rywalizacja w grze na akordeonie, co uniemożliwia spokojną rozmowę. Przypinam plakietkę i dumnie noszę mój placek.

Kiedy wracam do domu, znów kręci mi się w głowie, jestem jakby nieco oszołomiona, odurzona. Może to skutek przejedzenia różnymi dziwnymi rzeczami, ale czuję się, jakby wszystko wokół mnie się ruszało, jak te ryby krążące w zbiornikach albo hokeiści pomykający po lodzie. Zdejmuję plakietkę z plackiem i wieszam ją obok biedronki na lodówce - mam już dwie dekoracje. Kładę chustkę z Transportem Miejskim na stosiku ściereczek, podziwiając jej grubość. Może nada się także do mycia okien, co staram się robić mniej więcej raz na dwa lata, bez względu na stopień ich zanieczyszczenia. A może jednak będę ją nosić.

W poczcie znajduję małą paczuszkę od ojca. Przysłał tradycyjną kartkę z życzeniami, z kwiatkami na wierzchu i rymowanką w środku, z ręcznym dopiskiem: *I wszystkiego o czym marzysz, uściski, tato i Sophie*. Dołączyli do tego biało-granatowy pokrowiec na toster z kogutem wystającym z góry. Przynajmniej wydaje mi się, że to pokrowiec na toster. Jest kiczowaty i wskazuje na Sophie, niemniej sędzę, że mógłby nieźle wyglądać na sokowirówce. Mój toster podoba mi się taki, jaki jest.

Ktoś puka do drzwi, co mnie zaskakuje, ponieważ mam wrażenie, że widziałam już wszystkich znajomych.

- Siema, Holly.

To Josh, ukryty za ogromnym bukietem czerwonych irysów, który mi podaje.

- Dzięki, Josh - mówię. Ten bukiet jest jeszcze większy niż poprzedni. Zapraszam go do środka.

- Co się stało, że tak mnie obsypujesz kwiatami? - pytam, kładąc je na stoliku. Są strasznie ciężkie.

- Och, zasługujesz na nie. Wszystkiego najlepszego.

- Cóż, bardzo dziękuję.

- To już twoje dziesiąte urodziny odkąd się znamy, zdajesz sobie sprawę? - pyta Josh.

Rzeczywiście. Poznaliśmy się, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Nie da się ukryć, że Josh jest dobry z matematyki.

- To dla nas jak kamień milowy - oświadcza, siadając na jednym z moich drewnianych krzeseł. Słyszę trzask i zastanawiam się, czy go w którymś miejscu nie złamał, ale nic nie mówię.

- Mieliśmy parę kamieni milowych - przypominam.

- Mamy wspólną historię.

- Zawsze będziemy mieć wakacje w Montauk.

Josh zaczyna się drapać w kark. Zawsze to robi, pracując nad jakąś teorią matematyczną, wydrapuje sobie duże placki czerwonej skóry. Zdaje się, że to mu pomaga w liczeniu. Kiedy tak sobie siedzimy u mnie w mieszkaniu, czuję mrowienie w całym ciele po swoich dzisiejszych przygodach, jeśli nie po zbyt tępych łyżwach, które wypożyczyłyśmy. Jednak jest to przyjemne mrowienie, w rodzaju tych, jakie mogłoby trwać całą noc. Nie mam ochoty zastanawiać się dlaczego ani po co, ani na jak długo, ale cieszę się, że Josh tu jest.

- Już od jakiegoś czasu chciałem z tobą porozmawiać - odzywa się Josh.

- Zauważyłam, że ostatnio często wpadasz.

- Żenię się - mówi Josh.

Wybucham śmiechem. Ale zaraz spostrzegam, że mrowienie znikło, a za to pojawiło się buczenie w lewym uchu.

- Nie, naprawdę - mówi Josh. - Ma na imię Lauren. Jest moją asystentką. Ma ścisły umysł, ale potrafi też spojrzeć na zagadnienie z szerszej perspektywy. Polubisz ją.

Robi mi się niedobrze, wyrzucam sobie każdy kęs placka wiśniowego. Cofam się myślą do kolacji, starając się uzmysłwić sobie, ile kęsów zjadłam i przy którym powinnam się była powstrzymać. Zauważam, że Josh wciąż tu jest.

- Jestem zdumiona, Josh. Bardziej niż zdumiona - bąkam. - Myślałam... no, chodzi o to, że... po prostu, ostatnio dość często przychodziłeś... - To wszystko, co potrafię wykrztusić.

- Mam nadzieję, że ją poznasz - ciągnie Josh.

Nie wiem, czy widzi moje nagłe silne zakłopotanie, czy jest w tej chwili na innej planecie.

- Zastanawiałam się od jakiegoś czasu... choć właściwie nie rozmawialiśmy o tym, to znaczy, nie rozmawialiśmy o nas dwojgu... - zaczynam, ale nic więcej nie przychodzi mi na myśl.

- Powinniśmy wszyscy zostać przyjaciółmi - oznajmia Josh. Intensywność, z jaką się drapie, wskazuje, że naprawdę chce mnie do tego przekonać, choć z drugiej strony mógł zapaść na amnezję wraz z utratą znajomości podstawowych form towarzyskich.

- Nie wiem, co powiedzieć. Mam pustkę w głowie - mówię. - To trochę za wiele - dodaję. - Więc nie miej mi za złe, jeśli ci nie pogratuluję ani nie powiem nic, cóż, nic szczególnie miłego w tej chwili. Prawdę mówiąc, sądziłam, że powód twojej wizyty jest całkiem inny. - Opieram się o poduszki

kanapy. Kocham moją kanapę. Chciałabym zostać z nią sam na sam. Gładzę jedną z jej poręczy, pewna, że odwzajemnia moje uczucia.

- No więc, cóż... - zaczyna Josh i szybko zmienia temat, nie żeby jakiś podjął. - To twoje urodziny, musisz być wykończona po całym dniu.

Mimo wszystko, gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że tego nie zauważy. Oczyma wyobraźni widzę jego nową dziewczynę, Lauren, całkowicie wypoczętą o każdej porze dnia i nocy. Ubraną na czerwono. Pomalowaną tym kolorem czerwonej szminki, który matka zabroniła nam z Janie nosić.

- Wykończona - powtarzam, poklepując łagodnie poduszki kanapy.

- Wobec tego porozmawiamy o tym jakimś innym razem. Mamy sobie tyle do powiedzenia - mówi Josh. Ale wygląda na to, że nie bardzo wie, co powiedzieć. Podobnie jak ja.

- Mam nadzieję, że będziesz obchodzić urodziny jeszcze sto razy - dodaje.

- Nie jestem pewna, czy o tym marzę, zwłaszcza gdyby miały wyglądać jak te dzisiejsze - odpowiadam.

Wstaję i otwieram drzwi; zdaję sobie sprawę, że nie ma sensu krzyczeć w przestrzeń między jego oczami ani zwierzać mu się z nadziei, jakie miałam na przyszłość. Josh jest myślami gdzie indziej, z kim innym, z kimś, kto teraz pewno na niego czeka. I chociaż czuję, że ciśnienie niebezpiecznie mi rośnie, chcę się go przede wszystkim pozbyć. Nie wiem, czy nasz związek w ostatnich miesiącach nie powstał wyłącznie w mojej głowie. Tyle rzeczy zostawiliśmy niedopowiedzianych, że mogłam sobie dopisywać w wyobraźni, co dusza zapagnie. A może wczuwam się tylko w rolę bohaterki komedii romantycznej, którą oglądałyśmy dzisiaj z Marią, tej, co pojechała za ukochanym aż do Francji, żeby go odzyskać, choć z drugiej strony wylądowała w końcu z kim innym. Często identyfikuję się z głównymi postaciami z filmów - zwłaszcza tych romantycznych - i jestem pewna, że mam wygląd, maniery i głos dziewczyny z ekranu. Ale tamta zdobyła chłopaka, a Josh sobie idzie. Niemniej, odrzucam włosy do tyłu, jak zrobiłaby moja bohaterka, i prostuję ramiona. Taka identyfikacja jest warta ceny biletu, szczególnie w momentach kryzysu.

- Do widzenia, Josh - mówię.

Josh mnie ściska. Tym razem nie ma pocałunku w policzek, tylko przyjacielski, być może niezbędny uścisk, który akceptuję jak niespodziewany prezent urodzinowy, co prawda nie całkiem w moim rozmiarze, ale i tak nie do zwrotu.

Rozdział jedenasty

Nasze niespokojne czasy

W zeszłym tygodniu wyblągałam dwie nowe książki od mojej szefowej i teraz otaczają mnie cztery stosy papierów na biurku. Mogę się schronić przed światem pośród tych czterech stosów, gdzie czuję się bezpieczna i potrzebna. Moje książki mnie potrzebują, beze mnie będą tylko stosami nieuporządkowanych zdjęć guzów, zaginionych sprawozdań z sympozjów i antypatycznych rakotwórczych znamion. Tutaj mogę się skupić na metodologii i technice, ignorując takie rzeczy, jak moje prawdziwe życie. Przynajmniej wydaje mi się, że mogę.

Tom przeszedł raz obok, niosąc coś w torebce, i spojrzał na mnie między dwoma stosami, ale nic nie powiedział. Na szczęście, mam dość pracy, żeby brać ją wieczorem do domu, chociaż nikt nie płaci nam za nadgodziny i nikt od nas tego nie wymaga. Moje dwie nowe książki traktują o złożach wapnia (bez ilustracji) i okresie ciąży u krów - tę ostatnią Monique nazwała *Bessie*.

- Dostałaś książkę o krowach? - spytała z zazdrością Nina.

- Moja nowa książka jest o łuszczycy.

- Jeszcze jedna?

- Monique uważa, że to zabawne. Wszystko mnie swędzi od samego patrzenia, chociaż Monique zabiera mi zdjęcia na całe godziny.

Zaczęłam też robić listę na nowy konkurs radiowy w stacji rockowej. Trzeba zapisywać wszystkie piosenki, jakie puszczają między dziewiątą a piątą ze słowem „pocałuj” w refrenie - „całuj” się nie liczy. Po trzech tygodniach wysłała się swoją listę, która bierze udział w losowaniu. Szanse na wygraną są niewielkie i nic nie wskazuje, żeby dopisywało mi szczęście, ale przynajmniej jestem naprawdę zajęta.

Przed piątą dzwoni telefon - właśnie zaczyna się następna piosenka, co znaczy, że będę musiała skonsultować się z Niną, która sporządza własną listę. Podobnie jak paru chłopaków z działu graficznego. Prowadzą z nami handel wymienny: dają nam odpowiedzi w zamian za czekoladowe całuski, które ustawiają u siebie w chwiejne piramidy. Parę razy w roku zestrzeliwiają je z wiatrówki. To wielkie wydarzenie. Zdejmuję słuchawki, żeby odpowiedzieć na telefon.

- Halo, Holly, mówi kuzynka Sophie.

Następuje ten moment ciszy, który zapada, kiedy chce się powiedzieć: „Kto?” Chyba nigdy nie słyszałam głosu przyjaciółki mojego ojca, Sophie, przez telefon, więc dopiero po chwili orientuję się, kto to jest. Nie żebym kiedykolwiek zorientowała się w tym do końca.

- Cześć - mówię. - Mamy bardzo dobre połączenie. - W końcu ojciec i Sophie mieszkają w Houston, odległym o kilka tysięcy mil światłowodu.

- Nie, głuptasie, jestem tutaj - odpowiada Sophie.

Instynktownie rozglądam się wokół, niemal zrzucając jeden z moich stosów. Połączenie jest aż tak dobre.

- Tutaj, to znaczy gdzie?

- Przyjechałam do Nowego Jorku na zakupy. Kobieta musi się czasem wyrwać z domu.

- Cóż, chyba tak.

- Spotkajmy się - proponuje Sophie.

- Wiesz, jestem ostatnio strasznie zajęta. - Przynajmniej nie muszę kłamać.

- W ogóle nie chcę o tym słyszeć. Jestem pewna, że wy, dziewczęta, pracujecie o wiele za dużo.

Mała przerwa dobrze ci zrobi.

Sophie ma zapewne rację w tym wypadku. Przerazająca myśl.

- Weź ze sobą Janie. Nigdy jej nie widuję. Wasz tato byłby taki szczęśliwy, gdybym mogła mu powiedzieć, że zjadłyśmy razem lunch.

- Dobrze - zgadzam się ze względu na ojca. - Nie mogę obiecać za Janie, ale zaproszę ją w twoim imieniu.

Sophie daje mi na wszelki wypadek telefon do swojego hotelu i uzgadniamy miejsce jutrzejszego spotkania. Pakuję parę rozdziałów książki o krowach, żeby wziąć je do domu, i dostrzegam Toma, przemykającego cicho z plastikowym pancernikiem w ręku. Przyłapuję go na tym, że zerka w moją stronę, ale zaraz udaje, że patrzy na pancernika. Po chwili znów się pojawia.

- Dostałeś książkę o ssakach? - pytam, nawiązując do zabawki. - Szczerbaki?

- Nie - mówi Tom. - Wymieniłem się na niego z Nicolą z działu graficznego. Ona zbiera trociny.

- Naprawdę?

- Nie chce powiedzieć po co.

- A to niespodzianka - mówię.

Dział graficzny jest wypełniony różnymi zwierzątkami, z których wiele ryczy. Nie wiem, czy ten pancernik też. Tom stuka w jego pancerz.

- Zbroja ochronna.

Kiwam głową.

- Bardzo praktyczne.

Tom wzrusza ramionami, kierując wzrok na zgromadzone stosy pracy, jakimi się otoczyłam.

- Miłego wieczoru - mówię, pakując torbę.

- Nawzajem - odpowiada Tom i prowadzi pancernika wierzchem dzielącej nas ściany do swojego boksu. Patrzę, jak ten idzie, stukając po przepierzeniu.

Monique zatrzymuje się przy mnie w drodze do wyjścia i pokazuje na moje spakowane rozdziały.

- Nie wolałabyś jakiejś dobrej powieści?

Przyciskam paczkę do piersi.

- Zostaw nas w spokoju. *Bessie* i mnie łączy szczególna więź. Chyba nie ma w tym nic złego?

- Nie przerażaj mnie - mówi Monique i wymyka się z redakcji.

Janie w rozmowie telefonicznej jest stanowcza i nieubłagana.

- Jeśli o mnie chodzi, może iść do diabła - mówi o *Sophie*. Janie rzadko źle się wyraża o ludziach i potrafi chować urazę.

- Należy do rodziny - protestuję.

- Tylko jej się tak wydaje.

Ja też nie bardzo wierzę, że *Sophie* naprawdę jest naszą kuzynką, a o jej związku z ojcem wolę nie myśleć, co nie zostawia mi wielu argumentów wobec Janie.

- Jesteś naiwna - mówi do mnie młodsza siostra.

- To tylko jeden lunch.

- Jestem zajęta. Muszę pilnować galerii.

- Oraz poczucia swojej wyższości moralnej.

- Czasami, *Holly*, mamy po prostu różne priorytety.

- Doskonale - mówię.

- Doskonale - mówi Janie. - Tylko nie waż się płacić za jej lunch.

- Piękne kobiety, które noszą za dużo, to znak naszych niespokojnych czasów - wita mnie głos, kiedy nazajutrz rano wchodzę do budynku redakcji. Niosę torbę z moimi rozdziałami, a oprócz tego moją zwykłą dużą torbę z różnymi niezbędnymi rzeczami, co sprawia, że idę pochylona.

Głos należy do *Roya*, naszego dwudziestoletniego gońca, który przywozi korektę z przygotowalni. *Roy* jest ubrany w połatane dzinsy - połatał je sam albo kupił w tym stanie w sklepie z używaną odzieżą, trudno dociec. Ma długie, cienkie, brązowe włosy, które wiąże z tyłu skórzanym sznurowadłem, i bladą, delikatną cerę. *Roy* często wita mnie sentencją jakby prosto z chińskich ciasteczek z wróżbą, upieczonych przez kucharkę w depresji.

- Cześć, *Roy*. Co słychać na ulicach?

Roy jeździ na poważnym, czarnym motorowerze bez żadnych bajerów, który wygląda jak dawno nieużywany sprzęt wojskowy. Solidny, czarny koszyk z tyłu służy do przewozu korekt.

- Ulice nie są dla ludzi przytłoczonych ciężarem życia - mówi *Roy*.

Wskazuję na jego motorower.

- Nie mów mi, że to nie jest niebezpieczne.

- Skądże, to jazda taksówką jest niebezpieczna - odpowiada Roy, biorąc ode mnie torbę z rzeczami i dodając ją do sterty korekt, które niesie.

- Niewiele jeżdżę taksówkami. Zwykle chodzę do pracy pieszo.

- Powinnaś kupić kask. Wiem, co mówię.

Zostawia mnie przy windzie na moim piętrze.

- Nie rozpaczaj nad monotonią istnienia - mówi i macha do mnie ręką.

Roy jest wypalony po zbyt wielu kursach filozofii, na które uczęszczał w college'u, jak mi powiedział. Posadę gońca traktuje jako odskocznię, która daje mu czas na myślenie. „To dar z niebios, za który jestem głęboko wdzięczny”, oświadczył kiedyś.

- Jest na prochach - orzekła Monique.

- Nie - zaprotestowałam. - Jest tylko bardzo młody.

- Jeszcze gorzej - stwierdziła.

Cieszę się, że moja najlepsza przyjaciółka i aptekarka Maria, zgodziła się przyjść do modnej herbaciarni, w której mamy się spotkać z Sophie. Kiedy oznajmiłam Monique, że wychodzę na lunch, powiedziała tylko:

- Najwyższy czas.

- Mogę się trochę spóźnić - uprzedziłam.

- Mogę udawać, że mnie to obchodzi, jeśli poczujesz się z tym lepiej - skwitowała Monique.

Maria i ja znajdujemy się w sali z kobietami, które jedzą lunch. Nie widzę nikogo, kogo bym znała z The Jelly Deli, czego mi trochę brakuje.

- W The Jelly Deli nie mają płóciennych serwetek - mówi Maria.

- W ogóle nie mają serwetek. Dla stałych klientów odrywają parę kawałków z papierowego ręcznika. Okazują tym, że o nich dbają.

- Tu jest tak elegancko - wzdycha moja najlepsza przyjaciółka, która umiera z ciekawości, żeby poznać Sophie. Wytapirowała sobie włosy specjalnie na tę okazję i pasuje do innych wytapirowanych fryzur wokół. Gdybym jej nie znała, podejrzewałabym, że już tu była.

- Nie jestem szczęśliwa - mówię.

- Nie zjadłaś jeszcze tych malutkich, dekoracyjnych kanapeczek - zauważa Maria. - Dojdiesz do siebie.

- Chcę leżeć na trawie w dużym, gęstym lesie - mówię. - Chcę, żeby na świecie zapanowały miłość i pokój.

- Chcesz ciepłą babeczkę - mówi Maria.

- I owszem - przyznaję.

Wchodzi Sophie, cała w różowych jedwabiach koloru lodów truskawkowych. Na szyi ma wielki, złoty wisior. Może to jeden z tych symboli New Age, a może pomalowany żołądź.

- To ona - oznajmiam.

- Jest idealna - szepcze Maria.

Dokonuję prezentacji. Sophie wygląda na wzruszoną, że przyprowadziłam swoją najlepszą przyjaciółkę, żeby ją mogła poznać.

- Jesteście takie chude, dziewczęta. - Robi nam coś w rodzaju komplementu.

- Nie zjadłyśmy jeszcze babeczek z kremem - informuje ją Maria.

- Janie nie mogła przyjść - kłamię. - Jak się ma tato?

- Och, twój tato. - Sophie macha ręką.

Jak rozumiem, oznacza to, że jest cały i zdrowy.

- Twój tato jest taki zabawny - wtrąca Maria.

Przychodzi mi na myśl, że przyjaciele zawsze inaczej widzą naszych rodziców niż my, ale owszem, zapewne jest zabawny, czy też był w szerszym gronie.

- Jest słodki - mówi Sophie.

- Nigdy nie byłam w Teksasie - zagaja Maria. - Jakie tam macie apteki?

Sophie odpowiada bez wahania.

- Nie znajdziesz lepszych i ładniejszych aptek niż w Houston. Pytam, co ją sprowadza do Nowego Jorku.

- No więc - zaczyna - lubię wasze sklepy, chociaż nie jestem pewna co do sprzedawczyń. Brak im tego czegoś, co mają nasze ekspedientki.

- Manier? - sugeruję.

- Mają maniery - oświadcza Maria. - Tylko się nimi nie chwalać.

- Ale za to macie tu najnowszą modę i ostatnie nowinki w dziedzinie dekoracji wnętrz.

Sophie odgryza kęs kanapki, która jest taka mała, że można ją wziąć w całości do ust, co ja z pewnością bym zrobiła. Nie dała się skusić na babeczki, które Maria i ja, korzystając z okazji, pochłaniamy bez opamiętania.

Maria wciąga Sophie w rozmowę o rozmaitych stylach kanap. Moja przyjaciółka potrafi rozmawiać ze wszystkimi, z pięcioletnią dziewczynką na ulicy i z osiemdziesięciolatką, której bardziej potrzebne jest towarzystwo niż następna porcja lekarstw. Sophie nie stanowi dla niej żadnego problemu. Jestem jej tak wdzięczna, że oferuję Marii ostatnią babeczkę.

- Wiesz - mówi Sophie - twój ojciec strasznie tęskni za tobą i Janie. Twoja wizyta wiele dla niego znaczyła.

- Cieszę się - bąkam, niezbyt pewna co właściwie powinnam odpowiedzieć.

Maria bawi się swoją babeczką i czeka na rozwój wypadków, jak sędzę.

- Gdybyśmy tylko zdołały namówić Janie, żeby też przyjechała! - wykrzykuje Sophie, jakby to był świetny pomysł.

- Wydaje mi się, że to mało prawdopodobne.

- Przecież musisz mieć na nią duży wpływ. Na pewno ci ufa i słucha swojej starszej siostry - nalega Sophie. - Wasz tato byłby taki szczęśliwy!

- Janie jest dosyć uparta. I bardzo niezależna.

- No cóż, wobec tego musimy zobaczyć, co się da zrobić. Najważniejsze, żebyś wiedziała, co twój ojciec czuje - kończy Sophie, sięgając po kawałek babeczki Marii z cichutkim: - Tylko ociupinkę...

Nie wiem, co sądzić o jej słowach: czy tato naprawdę tęskni za Janie (i za mną), czy Sophie tylko chce, żebym tak myślała i właściwie, dlaczego tego chce? Wierzę, że tato za nami tęskni, ale wątpię, bym mogła coś z tym zrobić. Natomiast nie wątpię, że Sophie nie może zrobić nic.

Kończymy lunch i Sophie ściska nas na pożegnanie. Idzie na dalsze sprawunki. Maria zdradza jej parę miejsc, gdzie są wyprzedaże, a Sophie pyta, czy na pewno nie chcemy wybrać się z nią i jej dawną szkolną przyjaciółką na musical *Koty*. Nie miałam pojęcia, że to ciągle grają. Odmawiamy i ruszamy w drogę powrotną.

Gdy zostajemy same, pytam:

- O co jej chodziło? Maria potrząsa głową.

- Rodziny innych ludzi są zawsze takie interesujące.

- Mogłyśmy skorzystać z okazji i pójść obejrzeć *Koty* - dowcipkuje.

- Ten musical jest wiecznie żywy. Coś jak katar.

- Dzięki, że przyszedł - mówię. Czuję się jakaś ociężała, jakbym nosiła ciężarki na rękach i nogach, albo i na całym ciele. Może to wina babeczek, ale nie sądzę.

- Za nic w świecie nie straciłabym takiej okazji - oświadcza Maria. - Wiesz, ta Sophie może być w porządku. Ma trochę za bardzo rozjaśnione brwi, ale należy podziwiać kobietę, która nosi takie różowe skarpetki.

Patrzę na nią sceptycznie. Maria obejmuje mnie ramieniem.

- No dobra, nie musisz jej podziwiać.

Wracam do pracy i poklepuję stosy papierów na biurku, witając każdy stos osobno. Czuję się tu na swoim miejscu, pośród ludzi kręcących się po redakcji i ściszonych głosów dobiegających zza ściany. Wkładam słuchawki i przez jakąś godzinę pracuję nad moją książką o krowach.

W pewnej chwili dobiega do mnie jakieś poruszenie nawet mimo słuchawek na uszach, więc je zdejmuję, żeby sprawdzić, co się dzieje. Obok przechodzi Carl.

- Mamy kataklizm w pociągu podmiejskim - oznajmia głośno.

Ktoś się śmieje. Carl zawsze przynosi jakieś plotki i dowcipy. Ale zwykle nie ogłasza ich na całą salę. Tom podnosi się w sąsiednim boksie.

- Nie, naprawdę - mówi Carl. - Była strzelanina. Podobno około stu ludzi nie żyje.

Stoimy przez chwilę, patrząc po sobie. Potem ludzie zaczynają wychodzić na środek sali. Tom bierze radio ze swojej półki - mały, zwykły tranzystor bez słuchawek, z rodzaju tych, jakie chciałabym mieć w torbie z podstawowym wyposażeniem na przetrwanie, gdybym taką posiadała.

Gromadzimy się wokół tranzystora. Tom szuka stacji informacyjnej i ustawia radio na rogu naszej ścianki działowej. Widzę koło siebie Ninę, a nieco dalej Monique. Ma uniesioną jedną brew, jakby zastygła w wyrazie skupionej uwagi.

Spiker zdenerwowanym głosem potwierdza słowa Carla o strzelaninie w pociągu linii podmiejskiej, prowadzącej do jednego z tych bogatych przedmieść na północy miasta, gdzie zdają się mieszkać wszyscy lekarze specjaliści od diet - chociaż tego naturalnie nie mówi. Bliższe szczegóły są nieznane. Wygląda na to, że zostało postrzelonych trzydzieści lub czterdzieści osób, ale nie wiadomo, ilu nie żyje, a ilu jest rannych. Podczas wiadomości stoimy wszyscy bez ruchu. Spiker wie tak niewiele, że zaczyna się powtarzać, nieudolnie kryjąc oznaki hysterii.

- To straszne - szepcze do mnie Nina.

Siada na jednym z moich stołków i wbija wzrok w podłogę.

- Ktoś na górze ma telewizor - mówi Jan. - Jeden z wicedyrektorów.

Ale nikt z nas się nie rusza. Słuchamy tych samych powtarzanych na okrągło informacji. Podobno rewolwerowiec - używają słowa „rewolwerowiec”, które brzmi dla mnie jak z Dzikiego Zachodu - został zabity przez lokalną policję. Okazało się, że to kobieta, mniej więcej szesnastoletnia.

- Dziewczyna - szepcze Monique.

Dochodzą nowe informacje. Dowiadujemy się, że jakaś licealistka zabiła co najmniej trzydzieści pięć osób. Szczegóły z każdą chwilą stają się coraz bardziej makabryczne. Stoimy, słuchając przez jakieś dziesięć minut - słyszymy tę samą historię osiem lub dziewięć razy, za każdym razem liczba zabitych rośnie. Trzydzieści osiem osób zabitych i dziesięć rannych. Liczba zabitych może wzrosnąć do czterdziestu pięciu. Pistolet maszynowy. Krew. Ludzie uwięzieni w wagonie. Dzieci. Spiker zapowiada relację na żywo. Przychodzi mi do głowy, że „relacja na żywo” nigdy nie oznacza dobrych wiadomości. Potem słyszymy zawodzenie, płacz, odgłosy paniki, traumatyczne dźwięki zza głosu reportera recytującego liczbę ofiar. Kiedy zaczynają powtarzać jeszcze raz, Tom gasi radio, chowa antenę i stanowczym ruchem odstawia tranzystor na półkę. Zapada nagła cisza. Rozglądamy się po sobie, po ścianach, po podłodze. Monique wali ręką w przepierzenie i oddala się bez słowa. Powoli wszyscy się rozchodzą, ale nikt nie opuszcza sali.

Siadam za biurkiem, odsuwam od siebie słuchawki i listę z piosenkami konkursowymi. Nina nadal tkwi na stołku dojarki, stukając lekko palcami lewej ręki w prawe ramię. Patrzy na mnie, bierze głęboki oddech, wstaje i wraca do swojego boksu. Wbijam wzrok w mój duży, żółty słonecznik przyszpilony do ściany. W pierwszej chwili żałuję, że nie jest prawdziwy, ale zaraz zmieniam zdanie. Żałuję czegoś, ale nie tego. Dzwoni telefon, wprawiając mnie w popłoch. Szybko chwytam słuchawkę.

- Halo, kochanie. - Ledwo poznaję głos matki po wsłuchiowaniu się tak długo w rozedrgane dźwięki z radia.

- Cześć, mamó. Jak się masz?

- Dobrze. Sprawdzam tylko, co u ciebie.

- Jestem tutaj - mówię, poklepując moją książkę.

- Chwała Bogu. Wiedziałam, że nie mogłaś wybrać się niespodziewanie gdzieś za miasto.

- Słuchałam wiadomości - mówię. - Straszne.

- Tak. No, skoro wszystko u ciebie w porządku, to nie będę ci zawracać głowy. Upewnię się jeszcze, czy Janie jest w galerii, choć oczywiście musi tam być.

- Jasne, dzięki za telefon - żegnam się. Oczywiście duszy widzę, jak matki w całym mieście wykończają podobne telefony. Niektóre z nich nie doczekają się odpowiedzi.

Myślę o dniu, kiedy zadzwoni inny telefon, dotyczący matki lub ojca, z jakąś tragiczną wiadomością, tym razem godzącą we mnie bezpośrednio, taką, na jaką zupełnie nie czuję się przygotowana. W rodzaju wiadomości, jaką odebrali rodzice, gdy mój brat został ranny, po czym na drugi dzień umarł. Może to był cios, który ostatecznie pogrzebał ich małżeństwo, bo kłócili się od lat, a potem niemal przestali się do siebie odzywać. Naturalnie, nie sam telefon jest groźny, tylko to, co nastąpi po odłożeniu słuchawki.

Czuję się jak po obejrzeniu horroru - na każdy dźwięk podskakuję i oglądam się za siebie, jakbym spodziewała się zobaczyć złoczyńcę, naładowany pistolet, błyszczący nóż. Bandziora w kominiarce. Licealistkę z bronią automatyczną. Zrywam się na równe nogi, gdy drzwi szafy z segregatorami zamykają się z hukiem. Kilkoro z nas wlepia wzrok w chłopaka z działu fotografii, kiedy ten zatrzaśnie szufladę. Zauważa to i wymyka się chyłkiem. Wychylam się zza biurka i zaglądam do boksu Toma. Patrzy przed siebie, ale odwraca do mnie wzrok. Macham do niego. Odmachuje mi i siadam z powrotem.

Gdzieś za mną gromadzi się parę osób i słyszę ich szepty.

- W zeszłym miesiącu kogoś zasztyletowano przed tą nową piekarnią na Amsterdamie, ale to było późną nocą.

- Moja fryzjerka została niedawno napadnięta na Osiemnastej ulicy.

- Ktoś szedł za moją matką przez całą drogę do domu, ale udało jej się go zgubić przy posterunku policji.

Wkładam słuchawki i nastawiam najrzewniejszą, najśłodsza muzykę, jaką udaje mi się znaleźć. Na tle skrzypiec słyhać coś, co mi brzmi na oboje. Nie mam pojęcia, jak wygląda obój, ale zgłaszam radio i wracam do mojej *Bessie*.

Wychodząc z redakcji po pracy, natykam się na Roya. Siedzi na stopniach budynku z brodą opartą na kasku, trzymanym na kolanach. Siadam obok.

- Ciężki dzień - wzdycham.

- Świat jest beznadziejnym miejscem zamieszkania - mówi, gładząc pieszczotliwie swój kask, jak ciężarna kobieta brzuch.

- Bo ja wiem... Nie widzę lepszych opcji.

Roy prostuje się.

- Wyobraź sobie możliwości, jakie daje nadzieja i prawdziwa natura wszechrzeczy. - Roy rozchmurza się odrobinę.

Próbuję wyobrazić sobie te możliwości. Ale moje myśli bezwiednie zwracają się ku Sophie, która spędziła zapewne cały dzień w Bloomingdale's, grzebiąc w różowych jedwabkach z błogą nieświadomością zwyrodniałych poczynań ludzkości.

- Staram się - mówię do Roya.

- Masz hart ducha! - Poklepuje mnie po ramieniu i wstaje. Odprowadza mnie na ulicę.

- Jesteś pewna, że nie chciałabyś pożyczyć mojego kasku na drogę powrotną do domu? - pyta.

Wkłada mi go na głowę, żebym przymierzyła. Jest wyściełany od środka i miękki. Wszystkie dźwięki są przytłumione i bezpieczne, choć zapewne wyglądam dość głupio, stojąc w nim na środku ulicy. Śmieję się i słyszę pogłos w uszach. Zdejmuję kask i oddaję Royowi.

- Dzięki. Mieszkam niedaleko.

- Prawdziwy przyjaciel ma oczy otwarte - oświadcza Roy.

Ruszam w stronę domu, gdzie czeka na mnie bucząca lodówka i rozkładana kanapa. Widzę, że Roy podąża za mną na motorowerze. Zachowuje bezpieczną odległość, niemniej pilnuje mnie jak anioł stróż albo rodzic ukradkiem obserwujący dziecko, idące po raz pierwszy do szkoły. Odwracam się, ale Roy udaje, że mnie nie widzi, że po prostu jedzie w tę stronę. Kiedy dochodzę do drzwi swojego budynku, motorower zawraca i oddala się, podskakując na dziurach i wybojach nowojorskiej ulicy. Roy nie stara się ich omijać, tylko dziarsko jedzie przez sam środek.

Rozdział dwunasty

Gra w życie

To ten rodzaj dnia, który każe ci się zastanowić, co wyprawiamy z naszym środowiskiem naturalnym, jakich sprayów, pudrów, płynów i gazów używamy, żeby wywołać sztuczną, choć widowiskową wiosnę na długo, zanim miała prawo nadejść. Nasza przedwczesna wiosna topi góry zbrylonego śniegu na poboczach chodników i pozwala nam zrzucić kalosze i lekkim krokiem biec do pracy w tenisówkach. To ten rodzaj dnia, który każe ci puścić stary, popruty szalik z wiatrem, gdyby był jakiś wiatr. Przede wszystkim jednak, taki dzień jest zdradliwy. Maria dzwoni do mnie do pracy. - Znów jest w szpitalu - mówi.

Większość ludzi nie podejrzewa, że za wytapirowaną fryzurą Marii i jej zawodowym choć przyjacielskim tonem aptekarki kryje się kobieta, której matka od dziesięciu miesięcy umiera. To ciężkie doświadczenie dla każdego, ale dla Marii tym cięższe, że nigdy nie układało jej się z matką. Nieuchronnie nadciągająca śmierć ich nie zbliżyła.

- Nie możemy siedzieć sobie i wspominać dobrych chwil, bo nigdy nie było dobrych chwil - mówi Maria. - W ogóle niewiele było jakichkolwiek „chwil”.

Przyszłam do szpitala, żeby dotrzymać jej towarzystwa w poczekalni, która wygląda trochę jak galeria sztuki nowoczesnej. Obrazki na ścianach chronią osłony z pleksiglasu. Pokazuję to Marii.

- Są zaplombowane dla twojego bezpieczeństwa - odpowiada.

Pokój jest przesiąknięty wilgotnym chłodem i nikłym zapachem klimatyzacji. Na podłodze leży fioletowawy, maziasty dywan, w który można się gapić przez pięć dni, by nagle zdać sobie sprawę: o rany, jest fioletowy. Albo można się wpatrywać w te zawijasy, zagłębiając się we własną duszę. Nic tu nie zwraca uwagi, nie zaprzęta myśli, nie drażni. Jakby pokój zakładał, że mamy dość kłopotów na głowie.

Matka Marii dostała drugiego udaru.

- Ale nadal jest przytomna - mówi Maria. - Wciąż czuję, że mnie obserwuje, czeka. Czeka, że bym zrobiła coś, co wywoła jej dezaprobatę. Chociaż równie dobrze może po prostu chcieć papierosa.

W dobie powszechnego pędu do zdrowia matka Marii pozostała reliktem dawnych, niedopuszczalnych czasów: jest kobietą, która nie zamierza o siebie dbać. Nawet po pierwszym udarze i początkach cukrzycy, Angela (pani Bruno dla większości z nas) nadal paliła, piła kilka kieliszków wina do obiadu i podjadała słodycze. W końcu jej mąż (znany nam wszystkim jako Frank) dał za wygraną i zaprzestał prośb, aby przestała. Teraz czekają następny pobyt w szpitalu. Maria jest sfrustrowana, że tyle klientek apteki słucha jej rad, a własna matka uparcie je ignoruje. A nawet gorzej, wyśmiewa się z niej.

- Co ty możesz wiedzieć - słyszałam nieraz. - Kiedy będziesz miała dzieci, to może wtedy coś zrozumiesz.

Typowe dla pani Bruno - w jej pojęciu o roli kobiety nie mieści się większość rzeczy, które są dla nas codziennością. Maria i jej matka nigdy nie miały wspólnego języka.

Mimo że moja przyjaciółka i ja lubimy od czasu do czasu zamówić coś pysznego i kalorycznego w restauracji, obie - a zwłaszcza Maria - znamy swoje granice. Maria pływa dwa razy w tygodniu w basenie jednej ze swoich starszych klientek i co parę dni chodzi na siłownię. Pilnuje się i podejrzewam, że wyszukane desery je wyłącznie ze mną. Nie stosuje żadnej diety, tylko racjonalnie się odżywia. Jest także jedyną znaną mi osobą zadowoloną ze swojego ciała. „Co z tego, że mam biodra - twierdzi. - Przyzwyczaiałam się do nich”. Waga nie była też nigdy moim problemem, jako że pochodzę z rodziny szczupłych kobiet. Ponadto chudnę, kiedy jestem w stresie, stąd zainteresowanie Marii puszystymi smakołykami w moim towarzystwie. Stara się mnie skusić, co jej się często udaje.

- Tym razem to wygląda niewesoło - określa stan matki.

- Czy może mówić? - pytam.

- Z trudem. Wydaje mi się, że poprosiła o colę.

- Może chodziło jej o kokainę. - Trącam ją lekko w ramię.

- To mi się podoba. „Moja mama, ćpunka”. Brzmi weselej niż „Moja mama, grubaska z ciastkiem w rękę”. - Maria wygląda przez okno. - Przepraszam. To było okropne.

- To tylko nerwowa reakcja.

- To prawda, niestety.

- Jesteś wykończona - pocieszam ją.

- Fakt. Jestem taka zmęczona tym wszystkim, chorobą, jej gniewem. Moim gniewem.

Kiwam głową.

- Ale mimo wszystko mam nadzieję, że to jeszcze potrwa - mówi Maria. - A może i nie mam.

Do poczekalni wchodzi jej ojciec, niosąc żółtą, plastikową filiżankę. Jest człowiekiem przyjaźliwym, choć cichym i spokojnym. Ścisną nas, ale odrzuca naszą ofertę wspólnego pójścia do bufetu, machając z rezygnacją ręką, jakby niczego w życiu już nie oczekiwał. Maria patrzy za nim, kiedy opuszcza pokój.

- Oto ktoś, komu przydałoby się ciastko - szepcze do mnie.

Grzebię w szafie, szukając czegoś stosownego na pogrzeb.

- Pożyczyłabym ci którąś z moich wyjściowych, czarnych sukienek - mówi Maria. - Ale wszystkie są zbyt seksowne.

Leży na mojej kanapie, obserwując, jak wyciągam ubrania z szafy. Przykryłam ją kocem i dałam jej świeżo wyciśnięty sok z pomarańcz, który popija co jakieś dziesięć minut. Do tej pory była mocno przygnębiona.

- To mogłoby być interesujące - mówię. - Seksowny pogrzeb.

- Takiego bym chciała - oświadcza Maria. - Zostawię instrukcję w moim testamencie. Wszystkie kobiety muszą być w mini i mieć duże, błyszczące kolczyki. Szampan o czwartej. Męski striptiz o piątej.

Wyjmuję coś tajemniczego, zapakowanego w worek plastikowy. Jakimś cudem, granatowo-białe ubranko marynarskie matki, ostatnio widziane na Janie, wylądowało w mojej szafie. Ktoś zrobił sobie taki żart. Pokazuję ubranko Marii.

- Zawsze się martwię, że zobaczę na kimś taką samą sukienkę jak moja - mówi Maria. - Oto rozwiązanie.

- Prawdziwa kobieta włożyłaby je nawet na pogrzeb.

- Prawdziwie odważna kobieta.

Decyduję się na granatowy kostium, który matka kupiła mi kiedyś w prezencie. Siadam na kanapie, przy nogach Marii.

- Wiesz - odzywa się Maria - przypomina mi się gra w życie. Bawiłaś się w to, jako dziecko?

- Tak. Zawsze adoptowałam bliźniaki, a potem traciłam moją polisę ubezpieczeniową.

- A ja zawsze musiałam przeczekać trzy kolejki lub cofać się przez most. Zupełnie jak teraz. Znow muszę się cofnąć przez cholerny most.

- Albo stracić kolejkę.

- Albo stracić kolejkę - zgadza się Maria.

Pogrzeb wypada w jeszcze jeden z tych oszukanych wiosennych dni, w słoneczną niedzielę, która wygania ludzi z domów, każąc im radośnie tłoczyć się na ulicach. To jeden z tych nowojorskich dni, kiedy pary mówią do siebie: „Spójrz, jak pięknie... Jak mogliśmy myśleć o wyjeździe z miasta?“, chociaż jeszcze dwa tygodnie temu marzyli o Wyspach Karaibskich i ukąszeniach moskitów. Niebo przybrało kolor, na widok którego wzdychamy: oto prawdziwy błękit, czysty i silny, jak próbka farby. Nieustraszone, błękitne niebo Nowego Jorku.

- Myślałam, że podczas pogrzebów jest zawsze brzydka pogoda - szepcze do mnie Janie. Obie z matką przyjechały na pogrzeb na Staten Island, żeby okazać Marii wsparcie.

Wzruszam ramionami.

- Maria ma swoje wpływy - mówię, ale Janie tylko obrzuca mnie krzywym spojrzeniem.

Ma na sobie granatową płócienną sukienkę, która idealnie pasuje do mojego kostiumu - jeśli mam być szczerą, trochę zbyt idealnie. Nie jesteśmy jedynymi osobami w granacie, ale czuję się z tym niezbyt zręcznie. Matka patrzy na nas z aprobatą.

- Mogłybyście być siostrami - mówi.

- Dzięki - mruczy Janie.

Podchodzę do Marii i Henry'ego, który nigdy nie poznał jej matki. „Nie mam zamiaru narażać go na krzyżowy ogień pytań”, powiedziała, „nie mówiąc o dymie papierosowym”. Henry jest elegancki jak nigdy, w wyprasowanym szarym garniturze.

- Ładny garnitur - mówię, pociągając go lekko za rękaw.

- Mój tato takie lubi - odpowiada Henry ze wzruszeniem ramion.

Wydaje mi się to zabawne, że nasi rodzice ciągle wybierają dla nas ubrania.

- Henry umie się doszorować - wtrąca Maria. - Ale nadal twierdzą, że nie docenia się brudu. - Maria lubi, jak jest umorusany smarami po swojej pracy w metrze. „To żaden sekret”, przyznaje.

- Jak się czujesz? - pytam.

- Nie najgorzej. Jak dotąd, nie jest tak źle jak na balu maturalnym, ale wszystko przed nami.

Maria siedzi z przodu z Henrym i swoim ojcem oraz z pięcioma braćmi, ich żonami i dziećmi. Każde z dzieci ma innego pluszowego misia, a jedna mała dziewczynka, w sukience z gwiazdą nad sercem, próbuje urwać swojemu ucho. Skrócona forma nabożeństwa może wynikać właśnie z obecności tych dzieci, które doprawdy powinny być gdzie indziej w taki dzień. Siedzę z matką i Janie za Marią. Mama wzdycha raz po raz, Janie siedzi wyprostowana jak struna. Miś traci ucho.

Kiedy jest już po wszystkim, Maria mówi cicho do dzieci:

- W domu jest mnóstwo ciasta.

Dzieci krzyczą z radości i rozbiegają się. Podchodzę do Marii, którą ściska grupka starszych kobiet o różowo-siwych włosach.

- Klientki z apteki - wyjaśnia, kiedy odchodzą. - Lubią pływać promem, więc to dla nich swego rodzaju okazja.

- Ty też lubisz pływać promem - mówi Henry do Marii, obejmując ją ramieniem.

- To prawda. Weźmy trochę ciasta z domu i nakarmmy ptaki w drodze powrotnej.

- Uczymy tym na własny sposób pamięć twojej matki - mówię.

- Niech będzie - zgadza się Maria. - Choć sądzę, że mama powiedziałaby, że marnujemy dobre ciasto.

Resztę popołudnia Maria spędza jak w transie. W domu jej rodziców różni ludzie, których nigdy nie poznałam, podchodzą, żeby ją uściskać, w niemal tanecznym korowodzie.

- Coraz bardziej przypomina mi to bal maturalny - oświadcza Maria, padając nieco ogłuszona na krzesło.

Moja mama przysiada się do nas na chwilę.

- Zawsze jeszcze ja mogę cię trochę porozstawiać po kątach - mówi do Marii, która zdaje się przyjmować to z wdzięcznością.

Spędzamy całe godziny w otoczeniu ciast i słodczy o ciężkim, aromatycznym zapachu.

- Za dużo jedzenia - jęczy Maria, patrząc na szeroki wybór wypieków pod jedną ze ścian. Wygląda to jak wystawa w cukierni, tylko więcej tu galaretek.

- To są zapachy, jakie uspiły Jasia i Małgosię - szepcze Henry.

W końcu, opędziwszy się od szeregu ciotek, które upierają się pozmywać, ojciec Marii mówi jej, żeby już wracała do domu.

- Może inni pójdą twoim śladem - dodaje.

Jeden z jej braci z żoną wprowadzili się tu na jakiś czas, żeby zaopiekować się ojcem, mimo jego zapewnień, że sobie poradzi. „Boją się, że będzie jeść jedzenie na wynos prosto z pudełka - powiedziała mi Maria. - Jakby sami tego nie robili”.

- Wielkie miasto cię potrzebuje - mówi ojciec Marii, ściskając ją jeszcze raz na pożegnanie.

Wyobrażam sobie te wszystkie starsze kobiety, klientki apteki, które naprawdę jej potrzebują, i zastanawiam się, jak on widzi jej życie i ile z tego jest prawdą.

Maria i Henry jadą ze mną do mojego mieszkania, gdzie przeglądamy zawartość lodówki w poszukiwaniu płynów, które nie są zbyt słodkie. Zadowolamy się butelką wody mineralnej i rozkładamy się w salonie, pozbywając się wszystkich zbędnych części garderoby. Rzucamy buty w kąt pokoju, słuchając z ulgą, jak upadają z głośnym plaskiem.

Siedzimy w ciszy, wpatrując się w nasze buty. Maria pierwsza zabiera głos.

- Mogło być gorzej - mówi.

- Mogli kazać nam zjeść galaretkę - wtóruję jej.

- Mogli kazać nam zrobić galaretkę - dodaje Maria.

- Śmiesznie było, kiedy trzmiel zaatakował pastora podczas nabożeństwa - wtrąca Henry.

- Tak - zgadza się Maria. - Takich rzeczy nie da się zaplanować.

Popijamy wodę, słuchając ptaków za oknem. Ćwierkają głośno, zmylone przedwczesnym wiosennym słońcem. Nigdy ich nie widzę, ale je słyszę. Ich świergot przypomina mi trochę sprzeczkę pary, która odnawia mieszkanie i kłóci się, co zostawić, a co wyrzucić.

- Musicie przyznać - odzywa się Maria - że męski striptiz wiele by zmienił.

Kiwamy głowami.

Zasnąłam na fotelu, co zauważam dopiero, kiedy budzi mnie dzwonek do drzwi. Maria i Henry śpią na rozkładanej kanapie. Przez chwilę mam wrażenie, że to sen, a brzęczący dźwięk to głos mojej matki, która poucza małego ptaszka, jak należy robić gniazdo. „Teraz połóż te gałązki jedne na drugich, o w ten sposób”, mówi do ubranego w mundurek marynarski drozda, który patrzy na nią z wyrazem zniecierpliwienia. Dzwonek rozlega się ponownie.

- Słyszę dzwonek - mówi Maria. - Czy to jakiś znak?

W drzwiach widzę znajomą postać, ale jestem zaspana i nie bardzo mogę sobie przypomnieć, kto to jest. Wlepiam wzrok w niespodziewanego przybysza.

- Cześć, Holly. To ja, Jackson?

Były narzeczony mojej siostry, ten ostatni, stoi na progu i sam zdaje się kwestionować powód swojej wizyty.

- Oczywiście - mówię. - Jackson. - Stoję bez ruchu, czując, że mam całą twarz wygniecioną po śnie. Spoglądam po sobie i widzę, że moje ubranie też jest pogniecione.

- Przepraszam, że jestem pognieciona - mówię.

- Nie szkodzi. Przyszedłem bez uprzedzenia.

Jackson jest w szortach khaki i zielonej koszuli, co stanowi zdecydowanie swobodniejszy, niedzielny strój, aczkolwiek nie wydaje mi się, aby już była pora na szorty. Są stosunkowo mało pogniecione, w każdym razie takie odnoszę wrażenie, lecz z drugiej strony mogą być z materiału, który się nie gniecie. Zapraszam go do środka.

Maria i Henry witają go z kanapy.

- Cześć! - wykrzykuje Jackson radośnie. - Miło was widzieć.

- Pamiętacie Jacksona - mówię.

- Ledwo się obudziliśmy - mruczy Henry.

- Ledwo wróciliśmy z pogrzebu - dodaje Maria.

- To przykre. Zrobiłem sobie mały spacer po parku.

- Nie jesteś spocony - zauważa Maria.

- Ale byłem. - Odwraca się do mnie. - Zmieniłem się w ciągu ostatnich tygodni. Wyrosłem.

- Naprawdę? - Henry podnosi się, zaintrygowany.

- Nie fizycznie. - Jackson opada na najtwardsze z moich krzeseł. - Emocjonalnie. Psychicznie.

Wicie, przedtem wstawałem w niedzielę wcześniej rano, gimnastykowałem się, biegałem, a potem grałem w tenisa albo w futbol z kolegami z pracy, uprawiałem jakąś formę aktywności fizycznej, z góry zaplanowanej.

- Squash - mówię, dumna z siebie. - Prawda?

- Prawda - przyznaje Jackson.

- Co to jest squash? - pyta Maria, patrząc na Henry'ego. Ten potrząsa głową, że nie wie.

- W każdym razie to się już skończyło - ciągnie Jackson.

Sadowię się w moim miękkim fotelu, wszyscy, oprócz Jacksona, rozkładamy się wygodnie, jak do wysłuchania bajki na dobranoc. Z obowiązkowym szczęśliwym zakończeniem.

- Dzisiaj spałem do oporu, później przeszedłem się bez celu po parku. Niech się dzieje co chce, nie mam żadnych planów. A, i postanowiłem zmienić pracę.

- Nie jesteś już prawnikiem? - pyta Maria.

- Owszem, jestem, ale szukam czegoś z głębszym sensem niż doradztwo korporacyjne.

- Głębszy sens jest trudny do znalezienia - wtrącam.

- Zwłaszcza w ogłoszeniach drobnych - dorzuca Maria.
- Ale jest gdzieś tam i czeka - rozmarza się Jackson. - Wiem, że potrafię być pomocny.
- No cóż, w metrze zawsze szukają nowych ludzi. Zwłaszcza na linię F - podsuwa Henry.
- To byłoby coś całkiem nowego - mówi Maria zachęcająco.
- Może i tak - zamyśla się Jackson.

Maria i Henry patrzą na siebie i wzruszają ramionami.

- Skąd taka drastyczna zmiana? - pytam. - Chodzi o Janie?

- Nie, nie - zaprzecza Jackson. - Wiem, że z nami koniec. Ale chciałem z tobą porozmawiać, może innym razem, na osobności.

- Możesz porozmawiać przy nas - oświadcza Maria. Henry kiwa głową. - I tak zamierzam wymazać ten dzień z pamięci.

- Twoje sekrety są z nami bezpieczne - zapewniam Jacksona.

- Ale musisz najpierw zdjąć buty. - Henry wskazuje na stosik pod ścianą. - Taką mamy umowę.

Jackson zaczyna rozsznurowywać adidasy, potem odważnie ściąga nierozsznurowane buty przez piętę.

- To trochę krępujące - mówi do mnie.

- Dlaczego? - pyta Henry. - Nie masz dziur w skarpetkach ani nic.

- Skrępowanie jest rzeczą pożądaną - oznajmia Maria. - Oczyszcza pory.

- Maria jest aptekarką, zna się na tym - dorzuca z przekonaniem Henry.

- Chodzi o to - zaczyna Jackson - że, no cóż, myślałem trochę o nas.

- O nas? - dziwię się. Rozglądam się po pokoju, patrząc na moich przyjaciół. Maria wskazuje na mnie palcem.

- O tobie i o mnie - uzupełnia Jackson. - Pomyślałem sobie, że może zjedlibyśmy razem kolację, tylko we dwoje, pogadali trochę, poznali się bliżej.

- Przecież byłeś narzeczonym Janie.

- A kto nie był? - wtrąca Maria. - Bez obrazy - zwraca się do Jacksona. Ten odsuwa jej słowa machnięciem ręki.

- No, nie wiem - waham się. - Nadal wydaje mi się, że jest tu jakiś konflikt interesów.

- Ale ty jesteś kimś, kto mnie rozumie - mówi Jackson i dodaje: - Boże, to zabrzmiało jak kwestia z lat osiemdziesiątych, przepraszam.

- Nic nie szkodzi - zapewniam.

- Mnie samej też się czasem wymyka coś z lat osiemdziesiątych - pociesza go Maria.

- Właściwie to nie mam ochoty z nikim się obecnie spotykać - mówię i zaraz myślę o Joshu, z którym nie spotykam się z wiadomych przyczyn, i o Tomie, co do którego nawet nie wiem, czy się z nim spotykam, czy nie. Dodawanie do tej dwójki Jacksona nie wydaje mi się dobrym pomysłem.

- Były mąż Holly ponownie się żeni - wyjaśnia Maria.
- To bardzo w stylu lat osiemdziesiątych - oświadcza Henry.
- Myślałam, że raczej dziewięćdziesiątych - sprzeciwia się Maria. - Ale może masz rację.
- Przykro mi to słyszeć - odzywa się Jackson. - To pewno niezbyt miła wiadomość.
- Postanowiłam o tym nie myśleć - mówię. - Uważam, że w obecnej chwili to najbardziej dojrzała decyzja.

- Holly jest profesjonalistką w samooszukiwaniu się - dorzuca Maria z zazdrością.
- Przyjemnie jest być w czymś dobrym - mówię skromnie.
- Ale musisz iść dalej, rozwijać się, eksperymentować, korzystać z życia - przekonuje mnie Jackson.

- Chyba wolę to przespać.
- Och - mówi Jackson. - W każdym razie pamiętaj, że masz we mnie fana, cokolwiek to dla ciebie warte.

- Fanów zdecydowanie się nie docenia - oznajmia Maria. - Podobnie jak tych małych lampek nocnych, które można przypiąć do książki. Też są niedoceniane.

- Mieliśmy ciężki dzień - wyjaśnia Henry Jacksonowi, który kiwa głową, patrząc na naszą trójkę w ciemnych, pogniecionych ubraniach.

- Dzięki, Jackson - mówię - ale na razie wolę być sama.

Jackson szykuje się do wyjścia. Bierze z kąta swoje buty i usiłuje je włożyć bez rozsznurowywania, co zapewne nigdy dotąd mu się nie zdarzyło, sądząc po rezultatach.

- Może któregoś dnia spróbuję jeszcze raz - uprzedza mnie. - Nie wolno nam rezygnować z życia. Odezwę się do ciebie.

- Dobrze - mówię. - Ale nie liczyłabym na żadne drastyczne zmiany.

- Nigdy nie wiadomo.

- Właśnie, nigdy nie wiadomo - wtóruje mu Maria.

- No cóż, nigdy nie wiadomo - zgadzam się.

Kiwamy wszyscy głowami. Jackson żegna się i wyprowadzam go do przedpokoju. W drzwiach ściska mi mocno rękę. Kiedy wracam do salonu, widzę, że Maria i Henry rozciągnęli się już na kanapie, więc opadam z powrotem na fotel i układam wygodniej poduszki. Zamykam oczy.

- Miałam przedziwny sen - mówię.

Rozdział trzynasty

Huragan Holly

W zeszłym roku mieliśmy huragan Gabrielle, który spustoszył obie Karoliny, bez wysiłku zmiotając dachy domów na przestrzeni wielu mil. Dwa lata temu mieliśmy huragan Felicia, który na szczęście ominął nas łukiem w drodze na północ. Tym razem od wybrzeża Atlantyku nadciąga huragan Hollis. Oczywiście wszyscy wokół mnie nazywają go huraganem Holly. Pędzi prosto na nas.

Idę dziś rano do pracy pchana podmuchami chłodnego wiatru, w których czuję się lekka jak piórko. W powietrzu jest jakaś energetyczna rzeźkość, która sprawia, że mam ochotę skakać po chodniku jak w grze w klasy. Ktoś inny mógłby dać się ponieść takim szaleńczym powiewom, ale ja staram się iść statecznie, krok po kroku, w miarę normalnym tempem. Niemniej, coś kuszącego majaczy w oddali - jakieś nieznanne możliwości kryją się za budynkami, gdzieś na lewo, gdzie nie można ich dokładnie dostrzec.

- Co za nudziarstwo - mówi moja szefowa Monique, kiedy wyciągamy taśmy maskujące i przygotowujemy nasze biuro na Hollis.

Mamy piękne, duże okna z widokiem na Nowy Jork i na każdy płatek śniegu oraz kroplę deszczu padające z góry. Bardzo sobie cenimy nasze okna i zaklejamy je teraz na krzyż taśmą maskującą, co ma je wzmocnić, jak twierdzą spikerzy radiowi.

- Bzdura - mówi Monique, odmawiając przyłożenia ręki do naszych działań. - Poza tym, zawsze się mylą z tymi huraganami.

- Często się mylą - poprawiam ją. - Nie powiedziałabym, że zawsze.

- Proszę cię - prycha Monique. - Ci od prognozy pogody o niczym nie mają pojęcia. Widziałam jednego takiego prezentera, jak złapał go na ulicy ulewny deszcz. Był bez parasola. Wszyscy się śmiali.

Oklejamy nasze okna, mimo gderania Monique, głównie dlatego, że to świetna zabawa stać w skarpetkach na biurkach w środku dnia i rozciągać taśmę przez cały pokój, słuchając przyjemnego odgłosu darcia, jaki wydaje, kiedy się ją odwija z rolki. W całym mieście ludzie biegają po biurach z taśmą maskującą w garści i owijają nią swoich kolegów, kiedy nikt z kierownictwa nie patrzy.

- Oklejmy Monique - proponuje Carl nie po raz pierwszy. Ignorujemy go.

- Sklejmy Carla z Monique - szepcze do mnie Nina.

- Może na jej urodziny - mówię. Kontynuujemy zabezpieczanie okien.

Kiedy wracam do siebie, okazuję się, że ktoś - z pewnością dział graficzny - ozdobił nową witryną moją ściankę działową, przemianowując mnie na Huragan Holly. Mam oficjalną plaketkę.

Wracam do pracy wczesnym przedpołudniem, przygotowując się do spotkania z kierowniczką działu korekty. Sondra, wysoka, szykowna kobieta, która spowija się zwojami fioletu - wiem, że gdzieś w środku musi być sukienka - sterroryzowała już niejednego redaktora technicznego. Ale mnie w jakiś sposób fascynuje. Ma rzadką umiejętność tworzenia i przetwarzania nowego spisu reguł co każde sześć lub siedem miesięcy, czy jest to potrzebne, czy nie - jak podejrzewam. Zwykle trudno dociec, po co w ogóle wprowadziła jakieś zmiany. Niemniej nalega, aby z każdym z nas regularnie się spotykać, jak sądzę dla podkreślenia wagi swoich zmieniających się jak w kalejdoskopie zasad oznakowania.

Nie waham się przyznać, że jestem dumna z moich dobrych stosunków z resztą współpracowników. Umiejętność współzycia z ludźmi jest nieodzowna w pracy, poza tym nienawidzę napięć.

Wiem, że jako dziecko dostawałam uwagi w dzienniczku, że miesiam konflikty z innymi, co chyba mocno wzięłam sobie do serca. Teraz unikam konfliktów nawet z korektorkami, które bywają drażliwe, bo muszą całe dni odcyfrowywać cudze bazgroły. Staram się pisać czytelnie. A także dziękuję im za pracę, czego - jak mi się zwierzyła jedna z nich - nikt inny nie robi, nawet Sondra.

Mimo wszystko muszę przyznać, że jest coś z luksusu w tych wędrówkach do fioletowego majestatu Sondry. W jej biurze mieszają się odcienie lawendy, winogron i śliwek, czyli wszystkich krewnych z rodziny fioletu, jacy mi przychodzą na myśl. Idę na górę i pukam do drzwi, po czym patrzę, jak Sondra obraca się ku mnie z szelestem szat. Wchodzę do jej królestwa i wciągam jej zapach (lawendy, naturalnie), jako że Sondra zaspokaja fioletem wszystkie zmysły. Silny powiew wiatru z otwartego okna zatrzaskuje z hukiem drzwi.

Przeglądamy jej skorygowane zasady oddawania szpalt do korekty. Wyglądają podejrzanie tak samo, jak te, które widziałam przedtem.

- Zwracasz uwagę na to, żeby oznaczać szpalty prawidłowo w lewym górnym rogu na odwrocie? - pyta.

- Tak - przytakuję. - Staram się.

- Niebieskim znikopisem?

- Jak tylko to możliwe.

- Nie, Holly - mówi Sondra ostro. - Zawsze.

- Zawsze - powtarzam.

Sondra zapisuje coś i szeleszcząc zwraca się ku mnie z powrotem. Mam wrażenie, że materiał, jaki ją spowija, jest syntetyczny. Ciekawa jestem, czy drapie.

- Weź, proszę, nowe instrukcje i zniszcz stare - nakazuje mi po przejrzaniu przez nas punkt po punkcie nowych reguł.

Zbieram się do wyjścia, lecz coś w powietrzu, bez wątpienia wichura, powstrzymuje mnie w pół kroku.

- Wyglądają trochę jak te sprzed poprzednich instrukcji - mówię. - Jestem pewna, że już je gdzieś widziałam.

- Nigdy, ale to nigdy - głos Sondry niebezpiecznie się wznosi - nie trzymaj u siebie nieaktualnych instrukcji. Osobiście zarządziłam, aby je niszczone. Inne postępowanie oznacza złamanie zasad, nad którymi tak ciężko pracowałam. W końcu po coś poświęcam tyle uwagi tym czasochłonnym spotkaniom.

Zależy mi na tym, żebyście znali prawidłowy system pracy i stosowali się do niego.

- No cóż, dziękuję - mówię, starając się wygładzić zmarszczki, jakie mogłam spowodować w fioletowej tkaninie. - Chciałam tylko powiedzieć, że te reguły wydają mi się znajome i jestem pewna, że potrafię się do nich zastosować.

Wbijają we mnie wściekły wzrok. Chyba już pora wyjść, więc dziękuję jej ponownie i w ukłonach wymykam się z królestwa. Udaje mi się dojść do schodów, potem muszę stanąć i parę razy odkichać. Zawsze tak jest - to z pewnością wina jej zapachu, który początkowo wydaje się niewinny, ale te rzeczy potrafią być mylące.

Wracam do mojego boksu, gdzie ktoś zakleił mi wejście taśmą na krzyż.

Późnym popołudniem odczuwam nagłą potrzebę wypicia filiżanki cytrynowej herbaty. Trzymam w szufladzie torebki z herbatą na taką okazję - wydaje mi się, że mam też parę sztuk w mojej torbie, chociaż nie przeglądałam jej od wieków. Biorę torebkę z herbatą i kubek do pokoju-zamrażarki, czyli naszej małej kuchni, gdzie mamy czajnik elektryczny, który czasami działa. Mam także nadzieję znaleźć cukier, który - jak podejrzewam - stanowi prawdziwy powód nagłej tęsknoty za herbatą.

Jako dodatkową atrakcję zastaję tam Monique, która stoi przed otwartą lodówką w żółtych, gumowych rękawiczkach.

- Nikt nigdy nie robi tu porządku - mówi, wyjmując ze środka coś brązowego.

- Może powinnaś to sfotografować - sugeruję. Takie zdjęcie doskonale pasowałoby do jej kolekcji obrzydliwości.

Teraz z kolei bierze w dwa palce omszały, zielony batonik.

- To nie jest eksperyment naukowy - mówi. - To jest przykład degrengolady ludzkości.

- Sądzę, że to tylko pozostałość lunchu Carla.

- Na to samo wychodzi - oświadcza Monique, trzaskając drzwiami lodówki i wychodząc z pokoju, nadal w gumowych rękawiczkach. Jestem pewna, że może przemaszerować tak przez całe biuro i nikt nie ośmieli się wyrazić zdziwienia.

Robię herbatę, a tymczasem zjawia się Tom.

- Cześć - mówię. - Nie mamy cukru.

- A mieliśmy?

- Pamiętam, że kiedyś znalazłam jedną kostkę. Ale nie pamiętam, w którym roku.

- Mam miód - mówi, jak mi się wydaje, z pewnym znaczącym naciskiem.

- Nie wiedziałam. - Zauważam, że od naszej ostatniej i jedynej randki, parę miesięcy temu, urosły mu włosy, nadając mu bardziej atrakcyjny, luzacki wygląd. Pytam o ten miód. - Czy jest w jednej z tych butelek w kształcie misia?

Tom sięga za mnie po mieszadełko do kawy. Mamy ich mnóstwo, ale nie widzę, żeby trzymał w ręku kawę.

- I owszem - uśmiecha się, po czym zaprasza mnie gestem do wyjścia i przepuszcza przez drzwi.

Postanawiam skorzystać z jego oferty, choćby dlatego, że wydaje mi się to intrygujące, aby mężczyzna trzymał w biurku misia z miodem. Kiedy wyciskam trochę miodu do herbaty, czuję się, jakbym wkroczyła w niebezpieczną, ale ekscytującą bajkę, pełną niedźwiedzi i pokus. Tom podaje mi mieszadełko, trzymając je tuż poza moim zasięgiem.

Po powrocie z pracy zaklejam okna własnego mieszkania, przygotowując się do huraganu. Resztę wieczoru spędzam, oglądając nieprzyjemny film dokumentalny o tym, jak się parzą koty, co trąci mi podglądactwem, nawet jeśli chodzi o przyrodę. Wiatr napiera na okna, które trzeszczą, każąc mi się co chwilę odrywać od kotów. Wyjmuję pocztę, którą przyniosłam do domu i znajduję w jednym z listów brakującą fotografię z mojej książki o pieprzykach. Kształt pieprzyka przypomina staroświecki telefon wiszący na ścianie, z rodzaju tych, przez które się jeszcze łączyło z operatorem w czasach przed skomputeryzowanymi głosami. Biorę zdjęcie pieprzyka i porównuję z pieprzykami na moim ciele, dwoma na nogach i jednym na brzuchu. Moje pieprzyki nie mają żadnych szczególnych kształtów, co mnie trochę rozczarowuje, chociaż zdaję sobie sprawę, że to zapewne dobra wiadomość.

Wyłączam telewizor i zasypiam, słuchając świszczących podmuchów rosnącego w siłę wiatru i podszytego pogróżką, choć wciąż powściągliwego pukania w szyby huraganu Holly.

Nazajutrz rano przed budynkiem redakcji znów spotykam naszego gońca Roya; tym razem siedzi na schodach i rozmawia ze spokojnym zwykle Tomem, który teraz dyskutuje z ożywieniem, machając rękami. Wiatr rozwiewa im włosy i szaliki. Uderza mnie, że tworzą dziwną parę. Nadchodzi Monique i pokazuje ich palcem.

- Chłopcy - mruczy, nie zatrzymując się. Podchodzę do nich.

- Nie chciałabym przeszkadzać - mówię, przeszkadzając.

Roy podsuwa mi duże pudełko pączków. Musi ich tam być ze trzydzieści.

- Dostałem je w jednym z biur, które obsługuję. Powiedzieli, że wszyscy są na diecie.

- Co za absurd - dziwię się.

- To firma ze śródmieścia - wyjaśnia Roy.

Tom i ja kiwamy głowami.

- Tutaj nikt nigdy nie jest na diecie - mówię. - Wystarcza nam gimnastyka z chodzeniem po schodach, zwłaszcza że winda przeważnie nie działa.

- To klucz leżący u podstaw nadwątłych więzi międzyludzkich - oznajmia Roy. - Liczenie kalorii.

- Nie mówiąc o zepsutych windach - dodaję.

- Któregoś dnia przyjdzie nam za to zapłacić.

- Więc o czym rozmawialiście? O zatruciu środowiska? Problemie głodu na świecie? Zepsuciu młodzieży?

- O koszykówce - odpowiadają zgodnie.

- A, o koszykówce. Jak sądzę, to leży u podstaw nadwątłych więzi między mężczyznami i kobietami.

- Udajesz tylko, że nie lubisz koszykówki, bo jesteś kobietą. To wynik społecznej presji na kobiecość - mówi Roy.

- Dobrze wiemy, że wracasz do domu i w sekrecie oddajesz się męskiej stronie swojej natury - dodaje Tom. - Pijesz piwo, wrzeszczysz na telewizor i głośno bekasz.

- Myślałam, że to moja kobieca strona.

- Tego właśnie mężczyźni naprawdę chcą od kobiet - oświadcza Tom.

- Dobrze wiedzieć - mówię, kierując się ku wejściu. Odwracam się przez ramię i widzę, że podjęli ożywioną rozmowę, gestykulując pączkami.

W środku niemal zderzam się z Carlem, który robi przestraszoną minę, szepcze: „Przepraszam”, i umyka mi z drogi. Wszyscy powariowali, myślę, podminowani huraganem.

Zabieram się do pracy, a wiatr napiera na nasze zaklejone na krzyż okna, które postukują miarowo, jak wolno bijące serce. Oświetlenie mruga parę razy, nadając wnętrzu widmową poświatę. Powietrze jest naładowane elektrycznością i wokół panuje większa krzątanina i gwar niż zwykle.

Do mojego boksu wchodzi Nina i siada na stolku.

- Słyszałam plotki - mówi.

- To prawda. Rzeczywiście lubię koszykówkę.

- Co?

- Nic ważnego. Co słyszałaś tym razem? Zdementuję to dla twojego spokoju. - Nasza poczta pantoflowa jest taka niewiarygodna.

- Podobno miałaś wczoraj jakieś kłopoty z Sondrą. Wiem od Carla.

Całkiem zapomniałam o Sondrze w chwili, gdy włożyłam do segregatora jej nowy zestaw reguł. Nigdy nie zniszczyłam tych starych. Po prostu nie lubię niczego wyrzucać.

- Wszystko poszło dobrze - mówię. - Wiesz, jak wyglądają te spotkania. Może faktycznie powiedziałam o słówko za dużo.

- Nigdy nie mówię do Sondry nic innego oprócz „tak” i „dziękuję”, naturalnie.

- Co jeszcze słyszałaś?

- Reszta nie jest jasna.

- Jest coś jeszcze?

- Tak mi się wydaje, lepiej to sprawdź - radzi Nina i zabiera się do wyjścia. - Przykro mi - dodaje jeszcze.

Nie przepadam za plotkami, a jeszcze mniej lubię być ich obiektem, toteż jestem zarazem zmartwiona i zła. Wpadam do boks Monique.

- Chcesz zobaczyć coś wyjątkowo obrzydliwego? - pyta, patrząc pod światło na slajd.

- Wszyscy o mnie mówią. Chodzi o coś z Sondrą.

- Och, o tę notatkę - mówi Monique, obracając slajd o sto osiemdziesiąt stopni.

- Jaką notatkę?

Monique odkłada slajd.

- Napisała notatkę służbową na temat waszego spotkania. Wyrzuciłam ją. - Monique przegląda śmieci i znajduje kawałek papieru pod stertą podartych, zalanych czymś korekt.

Notatka, od Sondry do wszystkich wiceprezesów i kierowników działów, stwierdza czarno na białym, że lekceważę *normy współpracy między redakcją techniczną a korektą*, nie przestrzegam *podstawowych zasad opracowanych przez kierownictwo działu korekty i podważam jej autorytet, minimalizując wagę obowiązujących standardów*.

- Podważam jej autorytet, minimalizując wagę obowiązujących standardów?

- Tak, mnie też się to najbardziej podobało - mówi Monique.

Nagle mam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, chociaż jestem ukryta za ścianką działową. Czuję; że dławi mnie wściekłość i ogarnia nedorzeczna panika, jakby jakaś niekontrolowana siła rozsadyła mnie od środka.

- Nie przejmuj się - mówi Monique.

- Ale to poszło do wszystkich.

- I wszyscy zrobili z tym dokładnie to, co ja. - Monique zwija notkę w kulkę i rzuca, kulka odbija się od mojego ramienia i ląduje w koszu. - Idź na spacer - dodaje Monique. - Naciesz się huraganem.

Wychodzę przed budynek, nadal dusząc się ze złości i przystaję na frontowych schodach w podmuchach wichury. Wiatr zwiewa mi włosy na twarz, łaskocząc mnie w policzki. Może na tym poprzestanie, może tylko potarga nam włosy, podobija się do okien i pohasa wokół kolan. Ale to jednak potężny wiatr i może jeszcze zyskać na sile.

Nadchodzi Roy z następną porcją korekty. Zatrzymuje się, mierząc mnie wzrokiem, a potem staje obok i czeka. Odgarniam włosy z twarzy i patrzę na pchaną podmuchem dużą, skórzaną obrożę, nabijaną ćwiekami, z rodzaju tych, jakie noszą punkrockowcy, jeśli mamy jeszcze punkrockowców.

- Wiele się można nauczyć od huraganu z poczuciem humoru - mówi Roy.

Wchodzi do budynku, a ja za nim. Odbieram dzwoniący u mnie telefon.

- Halo, kochanie - mówi mama. - Chcesz moją serwantkę?

- Cześć - witam ją. - Nie potrafię w tej chwili powiedzieć.

- Chodzi o to, że coś muszę zrobić z moimi meblami. Nie potrzebujemy ich wszystkich u Ronny'ego, a nie chcę, żeby się marnowała w jakimś magazynie w New Jersey.

- Mam tu drobne kłopoty w pracy. Możemy porozmawiać później?

- Kłopoty? Wiesz, że matce zawsze możesz wszystko powiedzieć.

- To coś, z czym muszę się sama uporać.

- Jestem pewna, że wszystko się dobrze skończy - zapewnia mnie mama.

Kiedy odkładam słuchawkę, nadciąga sekretarka z góry, Lily.

- Jesteś proszona do Cheryl - mówi.

Cheryl, wiceprezes do spraw produkcji, zawsze wita się z nami uprzejmie, kiedy mijamy się w holu. Nie wszystkie VIP-y to robią. Jest trochę starsza od Monique i czasami bierze ze sobą do pracy szczeniaka collie. Słysząc drapanie jego pazurków, jak chodzi po podłodze. Chociaż lubię Cheryl, nie lubię być wzywana na górę. Przyglądam szybko włosy i idę za Lily, z rozpędu wpadając na ścianę w korytarzu.

Okazuje się, że Monique też jest w gabinecie Cheryl. Zamyka za mną drzwi.

- Witaj, Holly, miło cię widzieć - mówi Cheryl. - Usiądź, proszę.

Siadam obok Monique, która założyła nogę na nogę i wymachuje tą górną nieco zbyt energicznie.

- Słyszałam, że widziałas notatkę Sondry - zagaja Cheryl.

- Tak - zaczynam bełkotać - przykro mi, że nasze spotkanie tym razem nie do końca się udało. Nie chciałam okazać jej braku szacunku.

- Jednak wygląda na to, że ją uraziłaś.

- Była dość nieprzyjemna - mówię. - I rzeczywiście zadałam jej parę pytań. Ale z pewnością nie miałam zamiaru jej urazić.

- Tym się różnisz od Monique, jak rozumiem - stwierdza Cheryl. Monique tylko macha nogą.

- Słucham? - pytam.

- Różnica polega na tym - wyjaśnia Monique - że ja zawsze idę tam z zamiarem, żeby ją urazić.

Taki mam cel.

- No właśnie - wtrąca Cheryl. - Chociaż mówiąc między nami, Sondra jest nieco nieźródnoważona.

- Nieco - prycha Monique.

- Naprawdę? - pytam zdumiona. - Wiecie o tym? Wybuchają śmiechem.

- Jest całkiem stukniętą - mówi Cheryl. - Popatrz. - Przeszukuje biurko i wyjmuję plik kartek. - Tutaj są jej notatki służbowe na temat Monique. A tutaj te, które napisała o mnie, kiedy byłam redaktorem technicznym. - Obie z Monique łapią za kartki i czytają, zaśmiewając się do łez.

- „Lekceważąca i arogancka postawa nielicząca z obowiązkami redaktora technicznego” - czyta Monique. - „Arogancka” to cała ty - mówi do Cheryl.

Cheryl bierze następną kartkę.

- A tu mamy coś o Monique: „Jawna odmowa uznania rangi przestrzegania prawidłowych zasad korekty w pracy redakcyjnej. Jej tendencja do trywializowania problemów i szydercze podejście idą w parze z niekompetencją”. Cheryl potrząsa głową. - Możesz sobie wyobrazić, aby ktoś chciał dotknąć Monique, zarzucając jej szydercze podejście? - Obie się śmieją.

- To moja najlepsza cecha - oświadcza dumnie Monique. Rozkładają notatki na całym biurku, pokazując je sobie z chichotem.

- W każdym razie - mówi Cheryl - witaj w klubie, by tak rzec. Nie masz się co przejmować tą notatką. Martwiłabym się bardziej, gdyby nigdy nie złożyła na ciebie żadnego donosu.

- To pierwszy - dodaje Monique. - Wiesz, za pierwszym razem zawsze trochę boli. Potem będzie lepiej.

- Dlaczego trzymacie ją w pracy? - pytam.

- Zna się poniekąd na swojej robocie, a na jej stanowisko trudno znaleźć dobrego fachowca. Pracuje tu od lat. Myślę, że dyrekcji jest jej trochę żal - mówi Cheryl.

- Jak już się z tym oswoisz - dorzuca Monique - to sama przyznasz, że w gruncie rzeczy dostarcza nam rozrywki. - Znów zaczynają się śmiać. - Zrób sobie dłuższą przerwę na lunch czy coś. Idź zminimalizować wagę czyichś obowiązujących standardów i strzel sobie drinka.

Zostawiam je rozchichotane nad stertą notatek i wychodząc słyszę jeszcze, jak Cheryl mówi:

- Gdzie jest ta, w której nazwała mnie szkodnikiem?

Wracam piętro niżej do redakcji technicznej, gdzie Jan i Nina uchylają okna. Wiatr ustał. Kiedy dochodzę do mojego boksu, widzę, że ktoś zrobił mały kosz do koszykówki i przyczepił mi do ścianki przed biurkiem. Wrzucam do niego gumkę. Zgnieciony kawałek papieru nadlatuje od strony Toma i wpada gładko w sam środek kosza. Gramy chwilę w ten sposób, niewidoczni dla siebie, a kulki papieru i gumki fruują w powietrzu. Powiew z otwartych okien daje mi poczucie wolności, mam wrażenie, jakbym przed czymś uciekła, coś pokonała, odzyskała kontrolę. Ludzie zaczynają zdzierać taśmę maskującą z szyb, tańcząc na swoich biurkach i obrzucając się lepkimi kulkami zużytej taśmy, upojeni następstwami huraganu Holly.

Rozdział czternasty

Szczęśliwa siódemka

Kończę pracę nad dziełem o wielorybach, które dziś idzie do drukarni. Sprawdzam każdą stronę po kolei, życząc jej dobrej podróży, żegnając wzrokiem wieloryby pluskające w falach. Następnym razem zobaczę tę pracę już zszytą i oprawioną, będę mogła potrzymać ją w rękach, jak wszystkie moje skończone książki, ważąc w dłoniach, wciągając w nozdrza zapach świeżo obciętych kartek. Kiedy przeglądam ją po raz ostatni, nad moim biurkiem kręcą się koledzy z redakcji, co chwilę ktoś wchodzi i wychodzi, wydając te śpiewne wielorybie dźwięki, ich pieśń miłosną. Jeden z nich - myślę, że to Carl - zaczyna nucić *New York, New York*, naśladując Sinatrę, a inni wtórują mu, naśladując zakochane wieloryby.

Kiedy robi się nieco ciszej, nad ścianą przelatuje piłeczka origami, wpada do kosza i ląduje na moim biurku. Na pomarańczowym papierze widnieje napis: *Zaproszenie*, nie precyzując na co. Przez chwilę rozkoszuję się poczuciem, że zostałam w coś włączona i podrzucam lekką papierową piłeczkę w powietrzu. Potem wstaję, żeby się przekonać, czym może być to „coś”. Wchodzę do boksu Toma. - Jak słyszę, wypuszczasz dziś wieloryby na wolność - mówi Tom.

- Tak, zrobiłam dla nich już wszystko, co mogłam. A to co znaczy? - Podnoszę papierową piłeczkę.

- Ktoś dał Royowi trzy bilety na mecz koszykówki. Zaprosił nas, żebyśmy z nim poszli.

- Trzy bilety? Czy to nie trochę dziwne?

- To Roy - przypomina mi Tom.

Faktycznie, nasz goniec Roy dostaje najrozmaitsze prezenty: pączki, krawaty, bilety na mecze. Ktoś kiedyś dał mu spinki do mankietów z napisem RAY, CO na pierwszy rzut oka wyglądało jak ROY. Biedny Roy do dziś nie wie, co z nimi zrobić.

- Ludzie lubią uszczęśliwiać Roya - mówi Tom. Wpatruję się w piłeczkę origami.

- To nie próba udowodnienia mi czegoś na temat kobiet, mężczyzn i koszykówki?

- Jak rozumiem, zaproszenie nie precyzuje płci - odpowiada Tom z godnością. - To bardzo dobre miejsca. - Podnosi brwi, jakby oferował mi coś, na co jestem jeszcze o wiele za młoda.

- Mam to traktować jako randkę? Tom myśli przez chwilę.

- Możesz zdecydować później. W zależności od tego, jak spisze się nasza drużyna.

Spotykam się z matką na lunchu w restauracji, którą lubi, a która ma trociny zarówno na podłodze, jak i na stolikach, co uważam za przesadę. Zawsze wracam do domu z trocinami w butach i na rękawach.

- To jak jedzenie w stajni - mówię.

- To pasterska sielanka - odpowiada, rozciągając się z błogim wyrazem twarzy na krześle.

- To może być szkodliwe dla zdrowia - protestuję.

Matka machnięciem ręki odsuwa moje zastrzeżenia. Czekamy na Janie, która niespodziewanie się spóźnia.

- Janie się spóźnia - mówię, potrząsając głową.

- Tak, Holly, twoja młodsza siostra wreszcie wyrosła.

Przyznaję, że czuję ulgę, choć raz nie wchodząc do restauracji w chwili, gdy zawsze czekająca Janie zapisuje coś w notesie, spoglądając na zegarek. Niemniej możliwość, że Janie się zmieniła, wprawia mnie w lekki popłoch, czuję się bezbronna wobec świata, w którym może zdarzyć się wszystko.

- Janie się spóźnia - powtarzam bezradnie.

- Dwie córki - mówi mama. - To trudniejsze niż można sobie wyobrazić. Nie, żebym komukolwiek odradzała.

- Chyba teraz trochę ci łatwiej, kiedy większość czasu żyjemy się same - zauważam.

- Bo ja wiem... Dwie samotne dziewczyny. Jest się o co martwić.

- Jesteśmy bardzo ostrożne - zapewniam ją.

- Nie chodzi tylko o te rzeczy - macha ręką. - Mieszkałam sama przez jakiś czas. Wiem coś o tym. Zamartwiasz się nie tylko tym, czy ktoś nie czai się za drzwiami, czy nie spotka cię jakieś nieszczęście, ale i tym, że jesteś sama, że nie wiadomo, jak długo będziesz sama i jak sobie poradzisz.

- Jak dotąd radzę sobie całkiem nieźle.

- Ale czy masz zamiar tak żyć na dłuższą metę?

- Kto to może wiedzieć? - mówię.

Ciekawe, że wszyscy wciąż uważają za swój obowiązek przypominać mi, że żyję samotnie. Ja też dużo o tym myślę, ale mimo wszystko nie rozpatruję tego w kategorii klęski. Po prostu nie cierpię rozmyślać na temat przyszłości i zastanawiać się, czy nie powinnam czegoś z tym zrobić. Popijamy większą lemoniadę z kamiennych kubków i zamyślamy się, ja nad swoim życiem w małym mieszkanku, a matka nad swoim nowym życiem z Ronnym.

- Josh się żeni - oznajmiam jej nowinę.

- Och... - mówi i popija łyk lemoniady.

- „Och” to wszystko, co masz do powiedzenia?

- Czy to dobra nowina? - pyta.

- Nie mam pojęcia. Być może, w jakimś masochistycznym sensie.

Kopię leżące wokół trociny, a matka nawet nie zwraca mi uwagi, żebym przestała.

- Jak ci się mieszka z Ronnym? - pytam odważnie.

Nie rozmawiam z matką na temat seksu jako takiego i w tej chwili też nie do tego zmierzam. Ale mimo wszystko wkroczyliśmy na grząski teren, gdzie to słowo - nie mówiąc o konotacjach - może paść. Zbyt dużo trocin może mieć zgubny skutek.

- Ten układ mi odpowiada - oświadcza stanowczo. Wbiega Janie i pada na krzesło, z grymasem strzepując trociny ze swojej podstawki pod talerz. Potem podnosi na nas wzrok.

- Zgadnijcie, co? - pyta.

Patrzemy na siebie z mamą z wyrazem oczekiwania, przestachu, ciekawości i poczucia, że już to słyszałyśmy. Może to przeblysłk jasnowidzenia, a może tylko doświadczenie, ale wiemy, co zaraz nastąpi.

- Jestem zaręczona! - oznajmia Janie, chwytając lemoniadę, którą dla niej zamówiłyśmy, i podnosząc ją w geście toastu.

Mama podnosi swój kubek, więc idę jej śladem. Kubki są bardzo ciężkie i przy stuknięciu wydają głęboki, poważny dźwięk, jak dzwonki krów.

- Gratulacje. Mam nadzieję, że zamieszkacie razem przed ślubem - mówi moja nowoczesna matka.

- Polubisz go - zapewnia Janie, ignorując jej słowa.

To jej siódme zaręczyny, jeśli nie pogubiłam się w rachunkach. Szczęśliwa siódemka.

- Gratulacje. Gdzie pierścionek?

- Nie mam jeszcze pierścionka - mówi Janie z dumą. - Wybierzemy go razem.

- Coś nowego - stwierdza mama. - Czy to ktoś, kogo znamy?

- Czy to Jackson? - pytam.

- Nie, nie - zaprzecza Janie. - To było wieki temu. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sama nie wiem - mówię defensywnie. - Jakim cudem spotykasz tylu mężczyzn?

Matka i ja nachylamy się, żeby poznać metodę Janie. Powinna ją opatentować.

- Spotykam ich wszędzie. Głównie w galerii, ale też na koncertach, u przyjaciół, na wernisazach. - Jej życie towarzyskie budzi moją zazdrość, choć zapewne nie pozostawia wiele czasu na wylegiwanie się na kanapie. - Musisz być otwarta, ale zarazem krytyczna - dodaje.

- Notujesz to sobie? - pyta mnie matka żartobliwie.

- Tak, w pamięci - mówię. Otwarta, ale krytyczna.

- Och, Holly też spotyka mężczyzn - wtrąca Janie. - Tylko oni tego nie rejestrują.

Próbuję zrozumieć, co to ma znaczyć. Czy Tom rejestruje? Fakt, pracował w redakcji prawie rok, zanim powiedział głośno „Cześć”, lecz to nie jest takie niezwykle w naszej firmie.

- No dobrze - ciągnę - ale dlaczego tak szybko się zaręczasz?

Ta kwestia nie została dotąd wyjaśniona, być może stanowi jakąś granicę, której nie powinniśmy przekraczać. Ale Janie nie okazuje śladu zakłopotania.

- A po co marnować czas? - mówi krótko.

Matka i ja wzruszamy ramionami, ponieważ nie mamy dobrej odpowiedzi, chociaż musi ich być co najmniej kilka, zważywszy na to, ile zaręczyn dotąd zerwała.

- Wobec tego - odzywa się mama - podaj nam jakieś podstawowe dane swojego narzeczonego.
- No więc - zaczyna Janie - poznałam go w galerii. Nazywa się Bucky Newbury. Gra w hokeja.
- Dla zabawy? - pytam.
- Oczywiście, że dla zabawy. I dla niemałych pieniędzy, których wysokość niestosownie byłoby

omawiać.

- Hokej - powtarza matka. - To ta gra, w której walą się kijami, tak?
- Nie - mówi Janie. - Nie walą się kijami, chociaż ten sport wymaga waleczności.
- Interesujące. Typ osiłka, z tężyzną fizyczną.
- Hokej ma też swoją stronę intelektualną - podkreśla Janie.
- Czy to tak jak z tenisem? - pyta mama. - Gdzie gracze są już za starzy po trzydziestce i siedzą

w domu, narzekając na bolące stawy?

- Kiedy skończy grać, Bucky ma zamiar wrócić na studia, a potem otworzyć centrum sportowe dla dzieci. Jest bardzo praktyczny.

- Praktyczny hokeista - mówię. - Wow. - To wszystko jest takie fascynujące.
- Z niezłym dochodem - dodaje mama.
- Oczywiście - potwierdza Janie, otwierając menu. - A coście myśleli?

Myślę, że Bucky Newbury jest jednym z najfajniejszych facetów, jakich znam - tak właśnie myślę.

Jesteśmy w mieszkaniu Ronny'ego, nowym domu mojej matki. Widzę tu parę jej mebli, które dobrze się dopasowały do wnętrza, znajdując swoje miejsce pośród mebli Ronny'ego. Salon jest urządzony z niedbałą swobodą, jego wystrój nie jest ani zbyt kawalerski, ani zbyt kobiecy. Kwiaty i pledy w szkocką kratę. Paprocie i kaktusy. Nasze stare pianino w jednym kącie i chropowate naczynia ceramiczne w drugim mówią, że mieszka tu dwoje ludzi i każde wnosi swój wkład. Chociaż moim zdaniem obeszłoby się bez ogromnej ryby nad kominkiem. Dziś wieczorem mama i Ronny wydają rodzinną kolację, jeszcze jedną w długim ciągu przyjęć zaręczynowych. Janie zaprosiła też Marię i Henry'ego na wielką fetę przygotowaną własnoręcznie przez Ronny'ego.

- Doskonale, będzie więcej gości przy stole. Po co robić kartofle dla dwóch osób, kiedy można zrobić dla dziesięciu? - pyta Ronny.

Mama przyznaje, że nie widzi w tym żadnej logiki, bo sama nie lubi gotować dla całego zbiegowiska. To specjalność Ronny'ego. Podaje nam smażone małże z domową surówką z białej kapusty i frytkami, które sam pociął. Widzę, że nie są z mrożonki, jak zawsze u mnie. Ronny serwuje ten rodzaj potraw, które zasługują na odrobinę trocin na podłodze, co oczywiście nie wchodzi w rachubę w domu mojej matki.

- Złowiłem te małże własnoręcznie - chwali się wędkarz Ronny.
- W Hudsonie? - pytamy obie z Marią jednocześnie, wystraszone,

- Tylko żartowałem, dziewczęta - mówi Ronny, poklepując nas uspokajająco po plecach.

Gość honorowy, Bucky Newbury, jest w wieku Janie, ma dwadzieścia sześć lat, lekko kręcone, brązowe włosy oraz piegi i dołeczki w policzkach. Maria i ja siedzimy naprzeciwko siebie po drugiej stronie stołu i kopiemy się po łydkach.

- Piegi i dołeczki - szepczę do niej z podziwem.

- Zwykle jest jedno albo drugie - odszeptuje Maria. - To pikantna kombinacja, na widok której pocałuję się ręce.

Kiwam głową.

- A jeszcze mamy sos z małż.

- Pycha - mówi, nabijając na widelec frytkę.

Bucky wznosi toast.

- Chciałem powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy i mam nadzieję, że Janie też jest szczęśliwa. Zmieniła moje życie. Jestem naprawdę szczęśliwy, że mogę tu być z wami. Przepraszam, zaczynam pleść trzy po trzy. - Bucky robi się czerwony, co tylko uwypukla jego piegi.

Moja matka nie przestała się uśmiechać cały wieczór, nawet wtedy gdy Ronny upuścił jej na kolana usmażonego małża.

- On wygląda zupełnie jak postać z „fistaszków” - szepnęła do mnie wcześniej. Miał to być komplement.

Bucky i Ronny umawiają się na ryby za parę tygodni i Ronny daje Bucky'emu instrukcje, jak piec miecznika.

- Tylko się nie spiesz. Daj rybie należyły jej czas. - Brzmi to, jakby uczył go łowić, a może spuszczać rybę z haczyka.

- Będę przyrządzać wszystkie nasze ryby - ogłasza Bucky, zwracając się do Janie.

- A ja sałatki - dodaje Janie.

- Nigdy nie zrobisz błędu, podając sałatę rzymską - doradza jej Ronny, a Janie wyciąga notes i coś zapisuje. Pokazuje to Bucky'emu, który spogląda jej przez ramię i szepcze coś do ucha. Nigdy nie widziałam, żeby Janie pozwoliła komuś zajrzeć do tego notesu. To musi być miłość.

Nawet Henry, chłopak Marii, wdaje się w dłuższą pogawędkę z Buckym, naturalnie na temat hokeja.

- Henry zdobył przyjaciela - śmieje się Maria.

- Kiedy ślub? - pyta Ronny.

- Jak najszybciej - odpowiada Bucky. Przegląda notes Janie i oboje wskazują na różne daty, kiwając głowami.

- Letni ślub - mówi matka.

- Sezon łososia! - podchwytuje Ronny. - Nie ma jak łosoś.

- Wszyscy lubią łososia - zwracam się do Janie, która mówi „Och” i zapisuje to.

- Uważaj - ostrzega mnie Maria - bo skończysz w łososiowej sukience.

- O ton ciemniejszej od koloru cielistego.

- Albo o pół tonu - szepcze Maria.

- Zdrowie szczęśliwych narzeczonych - mówi Ronny, wstając. - Oby znaleźli wiele radości w oceanie życia.

- By tak rzec - kończy mama.

Shczęśliwi narzeczeni obejmują się czule, spełniając toast. Janie pokazuje nam staroświecki pierścionek zaręczynowy z urzekającym klejnotem i wszyscy rzucamy się na deser. Ronny upiekł nam placek rabarbarowy.

- Naprawdę on sam to upiekł? - pyta Maria, kiedy Ronny jest w kuchni.

Matka potakuje.

- Trzymaj się go, Allison - instruuje Maria moją mamę, która puszcza do niej oko.

Janie i Bucky rozprawiają o torcie ślubnym. Bucky chce, żeby figurka pana młodego na wierzchu tortu była w stroju hokejowym. Mojej siostrze, która dotychczas była wielką tradycjonalistką, ten pomysł najwyraźniej się podoba.

- Najlepiej, żeby wszyscy goście byli w strojach hokejowych - szepcze do mnie Maria. - Dobrze ci w bluzie.

- Poduszki na ramionach zawsze mnie drapią.

- Ale mogłabyś mieć własny numer.

- Co prawda, to prawda.

- Wiesz - mówi Maria - myślę, że twoja mała siostrzyczka tym razem naprawdę wychodzi za mąż.

Spuszczam oczy, bo czuję łzy pod powiekami, co mnie lekko deprymuje. Zawsze czułam się trochę odpowiedzialna za Janie i uważałam, że jako starsza siostra powinnam dopilnować, aby była szczęśliwa. I teraz, kiedy jest szczęśliwa, chwytą mnie to za serce.

Maria bierze bitą śmietaną w sprayu i wyciska mi trochę na placek. Podajemy pojemnik dalej.

- To stara włoska tradycja - mówi Maria. - Puszczenie wokół przedślubnego pojemnika z bitą śmietaną oznacza, że wszystkie kobiety przy stole znajdą wielkie szczęście, zanim freon osiągnie warstwę ozonowej.

- Zauważyłaś - pytam - że ciągle jemy jakieś placki?

- Taka już nasza uroda - oświadcza Maria i zagłębia widelczyk w cieście.

Tej nocy grzebię w mojej przepastnej torbie, szukając wśród papierów służbowych jakiejś pracy naukowej, która mnie uśpi. Czegoś z długimi, hipnotyzującymi słowami. Chyba zjadłam za dużo plac-ka. Znajduję niespodziewany pakunek, z tajemniczym napisem: *Dla Holly. To nie jest bomba.*

Monique, obwiązany tą pomarszczoną wstążką, którą skręcamy nożyczkami. Zaciśnęła ją tak mocno, że nie mogę jej ściągnąć bez rozrywania ani rozwiązać, więc muszę przeciąć wstążkę. Ten rodzaj decyzji czasem sprawia mi kłopot.

Jak się okazuje, *Monique* zamówiła w dziale graficznym odbitki zdjęć wielorybów z mojej książki. Patrzą na mnie z błyszczących wód w formacie osiemnaście na dwadzieścia cztery. Dołączyła do tego taśmę *Odgłosy wielorybów z Cieśniny Księcia Williama*, więc biegnę do odtwarzacza i puszczam pierwszy kawałek, zatytułowany po prostu *Wieczór*. Jeden z wielorybów zaczyna śpiewać w ten czysty, rozbrzmiewający echem sposób, a potem przyłącza się drugi. Śpiewają w wolnym, niespiesznym duecie, a ja opadam na rozkładaną kanapę i patrzę na ich zdjęcia. Wiem, że to zapewne nie te same wieloryby, ale to mi nie przeszkadza. Słucham, jak pluskają się w falach w zapadającym zmierzchu, a potem ten drugi odpływa, a ten pierwszy (jak sędzę) śpiewa sam. To nie jest smutna piosenka, chociaż ich zew zawsze wydawał mi się nieco ponury. Samotny wieloryb śpiewa równo, odpływając w dal, w ciemne wody Pacyfiku. Ocean na zdjęciach wygląda przygnębiająco i lodowato, ale zaraz przypominam sobie, że to ich dom, znajomy i wygodny, a nawet na swój sposób ciepły. Kładę zdjęcia na stoliku obok, a jedno z nich, na którym wieloryb wyskakuje z wody, ustawiam pionowo, żeby zobaczyć je zaraz po przebudzeniu. Mam nadzieję, że mnie zainspiruje. Później kładę się spać do muzyki wielorybów.

Rozdział piętnasty

Rozgrywki

Ty szczęściaro - mówi Maria. - To mecz barażowy.

- Myślę, że Tom uważa to za randkę, chociaż będzie nas troje.

Maria leży na mojej drewnianej podłodze z nogami na poduszce, odpoczywając po całym dniu stania za ladą w aptece. Czasem narzeka, że jest jej u mnie „za miękko”, co zawsze nasuwa mi na myśl bajkę o Złotowłosej.

- W czyim niedźwiedzim łóżku byś wylądowała? - żartuję.

- Zdecydowanie wybrałabym łóżko taty. Bez żadnych wątpliwości.

Ale teraz dyskutujemy o mnie, o moim współpracowniku Tomie i o tym, w co mam się ubrać na mecz koszykówki, który może lub nie może być randką.

- Na rozgrywki barażowe możesz się ubrać nieco bardziej elegancko - mówi Maria. - Ale i tak musisz mieć buty na gumie, bo inaczej będziesz wyglądać pretensjonalnie. A poza tym, wszyscy będą słyszeć, kiedy udasz się do toalety.

- Słuchaj, czy w ogóle warto poświęcać temu tyle uwagi?

- Bo ja wiem? To nas odrywa od naszych prawdziwych problemów, więc chyba warto.

- Fakt. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś obarczyła mnie twoimi prawdziwymi problemami.

- Martwię się o moje stopy - mówi Maria. - Wiesz, że w ciągu ostatniego roku urosły o pół numeru? Można by sądzić, że po trzydziestce przynajmniej stopy przestaną ci rosnąć.

- To jedna z tych rzeczy, których nam nie mówią. Jak to, że będziesz mieć siwe włosy i wypryski jednocześnie.

Maria zamyka oczy.

- Opowiedz mi coś więcej o Tomie - prosi, krzyżując stopy na poduszce.

- Chyba stał się bardziej atrakcyjny w ciągu ostatnich miesięcy. Zrobił coś z włosami.

- Może trwałą - sugeruje Maria.

- Nie, to naturalna zmiana.

- Więc zaczął ci się podobać?

- Tego nie powiedziałam. Po prostu wydaje mi się bardziej atrakcyjny jako osobnik.

- Rozwojowa atrakcyjność jest niedoceniana - oświadcza Maria.

- Ale czy to wystarczy?

- To zależy. Czy uważasz go za dość atrakcyjnego, rozwojowo biorąc, aby z czasem się z nim związać? - Maria kołysze się pary razy na plecach na podłodze, która wydaje skrzypiące dźwięki. Czuję się obolała na samą myśl, że można leżeć na czymś tak twardym. Mam kościsty kręgosłup.

- Sama nie wiem - mówię. Czy Tom podoba mi się teraz bardziej niż na początku? Bardziej mnie pociąga? Może jeszcze zyskać w moich oczach z upływem czasu? Czy taki scenariusz jest możliwy? - Czy przy spotkaniu z facetem nie powinno nastąpić coś w rodzaju wielkiego wybuchu uczuć? - pytam. - Czyż nie stąd pochodzi teoria Wielkiego Wybuchu?

- Nie istnieją teorie naukowe, jeśli chodzi o miłość - odpowiada uczenie Maria. - Lepiej spójrz na to w ten sposób: siedzisz tu i myślisz o nim.

- Martwię się, nie myślę. To różnica.

- Niepokoisz się, nie martwisz.

- Niech ci będzie, ale nie wiem, czy to taki dobry znak dla Toma - mówię.

- Obsesja byłaby lepsza niż niepokój - przyznaje Maria. - Przynajmniej dla tego, kto jest jej obiektem.

- Z drugiej strony nie jestem pewna, czy któreś z tych uczuć stanowi odpowiednią podstawę dla dobrego związku.

- Może - podsuwa Maria - Tom jest typem, który zadowolony jest niepokojem.

- Może.

- Ale ty nie jesteś.

- Niepokój to dla mnie uczucie normalne - mówię. - Chcę czegoś, co jeszcze bardziej skręca żołądek, jak miłość.

To najnudniejszy mecz barażowy w historii koszykówki. Żadna z drużyn nie gra zbyt dobrze i czasem można odnieść wrażenie, że mało który z graczy potrafi trafić do kosza. Obaj trenerzy do czasu siedzą spokojnie po bokach, aż w końcu nie mogą tego dłużej znieść i zrywają się z miejsc, wykrzykując i miotając się bez sensu w swoich drogich garniturach. Tłum wygwizduje nawet ulubionych graczy. Nikt nie może czuć się bezpiecznie.

- Koszykówka stanowi odbicie dzisiejszej rzeczywistości - mówi Roy w swoim stylu. - Pokazuje jak w zwierciadle nasze rozterki i wątpliwości.

- Ruszają się jak muchy w smole - narzeka Tom.

- Może powinniśmy ich głośniejszym dopingować albo chwalić za coś innego, na przykład za porządnie zawiązane sznurowadła czy coś - proponuję. Czuję się w jakiś sposób odpowiedzialna za naszą drużynę. Ale nie mogę wziąć na siebie problemów drugiej strony.

- Nawet piwo jest jakieś słabsze, jakby straciło entuzjazm dla sportu - zauważa Roy. Dwóch graczy właśnie z impetem wpada na siebie.

- Duża liczba nieczystych zagrań - komentuje Roy - wskazuje na niemożność gry na zadowalającym poziomie.

- Wydaje mi się, że ten gość stracił przytomność - mówię.

Cała publiczność podnosi się i czeka, aż gracz wstanie na nogi.

Potem znów zaczyna się buczenie. Facet w garniturze za nami czyta gazetę. Pokazuję to Tomowi.

- I to nawet nie dział sportowy - oburza się Tom, kręcąc głową.

- Przynajmniej mamy dobre miejsca - pocieszam go.

Przytakują, ale widać, że nie mają serca do tego meczu. Zwłaszcza męska część widowni jest przybita, zasepiona, jakby czuli się osobiście urażeni. Mnóstwo kobiet poklepuje swoich towarzyszy po plecach w geście współczucia. Najwyraźniej w meczach barażowych chodzi o większą stawkę, niż myślałam.

Nasza drużyna haniebnie przegrywa i wymyka się chyłkiem z sali. Zwycięzcy też nie zostają długo. Tłum, zmęczony brakiem akcji, wychodzi z głuchym, niechętnym pomrukiem.

- W metrze będą rozróby - mówi Tom.

- To szmer wrogości - dodaje Roy, zgadzając się z nim, jak sędzę.

Co ciekawe, sama całkiem nieźle się bawiłam, ale byłam w wyraźnej mniejszości. Na wszelki wypadek na razie omijamy metro. Proponuję, że postawię im pizzę i wskakujemy do autobusu, dość słabo oświetlonego w środku. Pasażerowie są jacyś ospali, a może po prostu zmęczeni. Ale w każdym razie nie wyglądają, jakby spędzili frustrujący wieczór na jakimś widowisku, przynajmniej nie takim, transmitowanym przez telewizję.

Żujemy kawałki pizzy nad małym, okrągłym stolikiem. Ser przywraca nas do życia, choć może to tłuszczyk.

- Chcieliśmy, żeby twój pierwszy mecz koszykówki był czymś specjalnym - odzywa się Tom przepraszająco.

- Jak możesz mówić, że nie był specjalny? Nigdy dotąd nie widziałam, żeby kibic chwycił trenera za krawat i bawił się z nim w coś w rodzaju przeciągania liny.

- To się zdarza - przyznaje Tom.

- I oczywiście to nie był mój pierwszy mecz.

Patrzą na mnie zdumieni.

- Chodziłam do college'u. Byłam wiernym kibicem naszej drużyny.

- Jakie jeszcze sekrety przed nami ukrywasz? - chce wiedzieć Tom.

- Holly prowadzi życie nowoczesnej kobiety - mówi Roy. - Jej świat jest pełen pogmatwanych ścieżek i mrocznych tajemnic, które ukrywa przed szerokim spectrum towarzyskim. Zna się na skomplikowanych zawłościach koszykówki.

- Opowiedz nam coś o tym - prosi Tom.

- Nigdy nie oblałam się piwem, jeśli to chciałbyś usłyszeć - mówię.

- Tak właśnie myślałem - wzdycha Tom.

Zostawiamy Roya na rogu, lecz Tom odprowadza nowoczesną kobietę pod drzwi. Sięga po moją rękę, jakby chciał ją uściskać, a ja łapię się na tym, że go obserwuję, czekam na sygnał. Boję się, że coś przegapię, przeoczę moment, kiedy nachyli się, żeby mnie pocałować. Ale nie przegapiam i - miałam rację - oto jest: nasz pierwszy pocałunek. Nadal trzyma mnie za rękę, kiedy pocałunek się kończy. Mam wrażenie, że należałoby coś powiedzieć, niestety nic nie przychodzi mi do głowy. Chciałabym powiedzieć coś lekkiego, zabawnego, ale nie nazbyt żartobliwego. Myśli kłębią mi się w głowie i nie mogę nic wydusić.

Tom podnosi moją rękę i patrzy na nią.

- Czasem jesteś taka cicha - mówi.

- Naprawdę? - Zawsze uważałam, że to Tom jest cichy.

- Siedzę tuż obok. Potrafisz przez całe godziny nie wydać żadnego dźwięku, nie chrząknąć, nie westchnąć, nic. Słyszać tylko ciszę.

Uśmiecham się, trochę zakłopotana, że ktoś słucha moich westchnień, ale jednocześnie mi to pochlebia.

- Tak naprawdę nigdy nie wiem, co powiedzieć - wyznaję. - Nie szkodzi, to miłe - zapewnia mnie Tom. - To znaczy,

twoja cisza. I tak wiem, że tam jesteś. O rany, zaczynam przemawiać jak Roy.

- Nie, nie - mówię - Wcale nie.

Tom nie puszcza mojej ręki, ale bawi się nią, obracając ją na wszystkie strony w swoim łagodnym uścisku. Zastanawiam się, czy nie tego właśnie pragnę, aby ktoś uznał moje ręce za fascynujące. Może dla odwrócenia mojej uwagi od naszych rąk, a może dla innych, znanych sobie powodów, Tom całuje mnie jeszcze raz.

- Dobranoc - mówi w końcu, po pocałunku. Odchodzi wolno, trzymając moją dłoń aż do chwili, gdy ramię wyciąga mu się na całą długość. Dopiero wtedy mnie puszcza.

Wchodzę do mieszkania i myślę o tym pocałunku. W innych okolicznościach, powiedzmy, gdyby tu była Maria, mogłybyśmy próbować ocenić go w kategoriach od jednego do dziesięciu, jednak teraz jakoś nie wydaje mi się to właściwe. Staram się przypomnieć sobie inne pocałunki, lecz mam w głowie pustkę. Później kilka do mnie wraca. Ten w porównaniu nie wypada najgorzej, zwłaszcza jeśli chodzi o technikę, no i pewien element zaskoczenia (myślałam, że będziemy obserwować nasze ręce chwilę dłużej). Zaskoczenie naturalnie może być minusem, jeśli chodzi o pocałunek, lub też plusem, jak w tym wypadku. Wyrzucam sobie, że za bardzo analizuję całą sytuację, ale mam do wyboru albo to, albo wiadomości w telewizji.

Ogólnie rzecz biorąc, uznaję wieczór za udany i aby to uczcić, przebieram się w najstarszy dres, cienki i znoszony, w którym czasem śpię. Rozkładam kanapę i wkładam moje najbardziej sprane i miękkie skarpetki - jedną różową i jedną czerwoną. Położyłabym też maseczkę ściągającą pory na twarz, gdybym ją miała, choć obawiam się, że coś takiego może szczypać. Zamiast tego, zadowolam się spulchnieniem poduszki i wsuwam się pod kołdrę.

Słyszę pukanie do drzwi, pukanie, które rozpoznam i mam ochotę przez chwilę po prostu je zignorować, wyciągnąć się wygodnie w swoich miękkich skarpetkach. Dlaczego mam nie zostać w łóżku i nie dać się zmorzyć snem, a rano pomyśleć, że mi się to śniło? Ale nie, poczucie obowiązku zwycięża i zwlekam się z kanapy, choć wiem, że głupio robię.

- Siema, Holly - mówi mój były mąż Josh.

Uświadamiam sobie, że wcale nie chcę go widzieć, że powinnam była zostać w łóżku. Muszę wyglądać nieco smętnie, jakby moja drużyna przegrała dziś ważny mecz albo coś. Josh wygląda doskonale, podobnie jak stojąca obok niego kobieta.

- Holly, to moja narzeczona Lauren - przedstawia ją Josh.

Lauren podaje mi uprzejmie rękę z tym wyrazem twarzy, który mówi: „To nie był mój pomysł”. Jest trochę młodszą ode mnie, a jej włosy są idealnie proste, bez tych niesfornych skrętów, i sięgają do pasa. Ma na sobie jeden z tych długich, uniwersalnych, czarnych swetrów, które są na tyle luźne, by pokazać, że jest się beztroską kobietą, i na tyle dopasowane, by pokazać, że jest się szczupłą i wygimnastykowaną beztroską kobietą. No i jej skarpetki są do pary. Przez chwilę mam ochotę zatrzaskać drzwi i zamknąć się w łazience, dopóki sobie nie pójda, lecz zamiast tego mruczę: „Miło mi”, wymieniając uścisk dłoni z Lauren i oboje jakimś cudem łączą w moim mieszkaniu.

Zalega moment ciszy, który zdaje się przeciągać do pięciu minut, a trwa zaledwie piętnaście bolesnych sekund. No dobrze, może dwadzieścia.

- Jest dość późno - zauważam.

- Chciałem, żebyście się poznały - wyjaśnia Josh. - Wpadliśmy z wizytą wcześniej, ale cię nie było.

Gdyby to był ktoś inny, mogłabym go podejrzewać o złośliwość albo mściwość. Ale ponieważ to Josh, wiem, że po prostu nie zawraca sobie głowy tym, czy nie postawi mnie w kłopotliwej sytuacji. Nie, żeby uważała tę jego cechę charakteru za szczególnie pociągającą.

- Rzeczywiście nie było mnie, ale teraz jestem. - Może gdybym zjadła drugi kawałek pizzy albo szła wolniej, daliby sobie spokój i mogłabym błogo zasnąć. I to sama, co ma swoje zalety, zwłaszcza gdybym zaczęła chrapać.

- Josh tyle mi o tobie opowiadał - mówi Lauren, najwyraźniej wyczuwając moje skrepowanie. - To miło, że pozostaliście przyjaciółmi.

- Owszem - przytakuję. Zastanawiam się, czy nie oferować im czegoś do picia, po czym rezygnuję z tego pomysłu. Widzę, że Lauren patrzy na moje skarpetki.

- Lauren pisze właśnie pracę magisterską - informuje mnie Josh.

Lauren z uśmiechem potakuje, starając się, abym nie zauważyła, że obgryza kciuk, co jednakowoż zauważam. Muszę przyznać, że to mnie trochę pociesza.

- I, oczywiście, służyła mi wielką pomocą w zbieraniu materiałów - nie zapomina dodać Josh.

- Jak twoja książka? - pytam, chcąc dorzucić coś zdawkowego do rozmowy, zanim ich wyproszę.

- Powinna się ukazać lada chwila. Twój przyjaciel Tom bardzo mi pomógł. Wyłapał mnóstwo błędów w samą porę.

Kiwam głową. Nie chcę rozmawiać z nim o Tomie. Już ta wzmianka sprawia, że czuję się, jakby wkroczył z butami w moje życie, choć zdaję sobie sprawę, że Josh nie ma o tym pojęcia.

- A co u ciebie? Wszystko dobrze?

- W porządku. Mam mnóstwo pracy, ale nie narzekam.

- Późno już - zwraca się Lauren do Josha. Sama zdążyłam to zauważyć.

- Tak, rzeczywiście - mruczy Josh.

- Dzięki, że wpadliście - bąkam, starając się ich pozbyć.

- Tak się cieszę, że nareszcie mogliście się poznać - mówi Josh szczerze.

Znów ściskam dłoń Lauren i wymieniamy słowa pożegnania. Zastanawiam się, gdzie teraz pójdą, może Josh zaciągnie ją jeszcze do kogoś, na przykład uprze się, żeby poznać jej byłego chłopaka. Ale pewno udadzą się prosto do domu. Uświadamiam sobie, że nie chcę o tym myśleć. Josh ściska mnie z roztargnieniem, jak kogoś, kogo się odprowadza na lotnisko, kogoś, kogo się nie zobaczy w najbliższym czasie i kto nie zaprzęta zbytnio naszej uwagi.

Zapadam w sen, starając się nie myśleć o żadnym z mężczyzn z dzisiejszego wieczoru, jednak oni wszyscy cisną mi się do głowy. Nie jestem w stanie nad tym zapanować. Widzę, jak siedzą wokół Madison Square Garden, dopingując każdy swoją drużynę. Widzę trenerów w pogniecionych garniturach, którzy podskakują wraz z tłumem, zamiast jak zwykle wrzeszczeć na graczy. Nagle ich spodnie zmieniają się w krótkie spódniczki z pomponami, jakie noszą cheerleaderki. Gdybym nie spała, wiedziałabym pewno, że śnię. Uświadamiam to sobie dopiero, kiedy tłum zaczyna głośno tupać i budzę się, zdając sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi. Znowu.

- Siema, Holly.

- Josh, nie, naprawdę już późno.

- Wiem.

Stoi, nic więcej nie mówiąc, a ja próbuję wyobrazić go sobie jako trenera koszykówki. To, jaki byłby sfrustrowany. Wchodzi, chociaż go nie zapraszam. Siada na tym samym krześle, co wcześniej, nie, żeby miał duży wybór.

- Jest miła, nie sądzisz? - pyta. - Lauren - dodaje, na wypadek, gdybym zapomniała, że wybiera się poślubić kogoś imieniem Lauren.

- Tak, jest miła - przyznaję. - Zbyt miła, żeby nie dać się tu zaciągnąć.

- Nie, nie - sprzeciwia się Josh. - Naprawdę chciała cię poznać. Wie, jak bardzo cię cenię.

- Josh, życzę ci wszystkiego najlepszego, chociaż dzisiaj mniej niż zwykle - mówię, czując się nieco skołowana po moim śnie. - I wydaje mi się, że to bardzo ładnie z mojej strony, biorąc pod uwagę to, co między nami zaszło w ciągu ostatnich miesięcy, a o co nawet nie chcę cię pytać ani w tej chwili, ani zapewne nigdy.

- Och - mówi Josh i milknie.

Całe szczęście, że nie zadałam mu konkretnego pytania, jako że trudno by to nazwać konkretną odpowiedzią.

- Więc zważywszy na nasz związek i dokąd to mogło prowadzić, a jak się okazuje, nie prowadziło, myślę, że zachowuję się całkiem poprawnie, a nawet sympatycznie, nie uważasz?

- Oczywiście - przyznaje Josh, wahając się, czy kontynuować, na co postanawiam mu nie pozwolić.

- To dobrze. Wobec tego pozwól sobie powiedzieć, że wolałabym, żebyś przestał do mnie wpadać, bo te niespodzianki przestały mnie bawić. Ożeń się. Przeprowadź się do innego miasta. Daj mi się wreszcie wyspać.

- Chodzi o to, że... - zaczyna Josh.

- Wiesz - ciągnę, machając rękami i chodząc po moim pokoju, po pokoju, który teraz po prostu kocham - nie jestem może nad wyraz szczęśliwa w ostatnim czasie, ale nie jestem też nieszczęśliwa. Jestem względnie szczęśliwa. Niczego mi nie brakuje. Mam swoje małe mieszkanie i wygodne, miękkie ciuchy. Mam pocztówkę z kotkiem na lodówce. - Pokazuję na kuchnię, na kuchnię, którą teraz też po prostu kocham. - I jestem z tego zadowolona. Cieszę się tym. Ale jeśli mam wysłuchiwać tego, jaka wspaniała jest twoja przysła żona albo jaki ty jesteś szczęśliwy...

Nie kończę. Widzę, że Josh patrzy prosto nie tyle na mnie, ile na przestrzeń nad moją głową.

- Co? - pytam wreszcie.

- Na ścianie jest wielka ćma - mówi.

Odwracam się. Na ścianie jest wielka ćma. Josh podchodzi i delikatnie bierze ją w dwa palce. Idzie do okna, otwiera je i wypuszcza ją niemal czule, a potem wraca na krzesło - wszystko jednym płynnym, nierzeczywistym ruchem. W ciągu tej minuty mój gniew wyparowuje, ulatuje przez okno wraz ze ćmą. Czuję się, jakbym została zaczarowana.

- A więc uważasz, że powinienem się z nią ożenić? - pyta Josh.

Czar pryska.

- Niech cię diabli, Josh - mówię, bardziej zmęczona niż zła. - Nie pytaj mnie. Skończyliśmy z tym. Skończyliśmy ze wszystkim.

- Ale ty masz lepszą ocenę sytuacji niż ja.

Gdyby nie było tak późno, mogłabym znaleźć w sobie chęć, żeby rozważyć, co to znaczy. Pobraliśmy się. A potem rozwiedliśmy, na moje życzenie, bo nie mogłam znieść jego niemożności czy też niechęci do zaplanowania czegokolwiek lub myślenia w mniej abstrakcyjny sposób. A może po prostu chciałam, żeby poświęcał mi więcej uwagi. Czy Josh z jakimś dziwnym masochizmem wyraża mi teraz uznanie za moją decyzję o rozwodzie? Czy chodzi o coś mniej istotnego, jak lepsza ocena serwisu do kawy, na przykład? Zapewne nigdy się nie dowiem, co ma na myśli.

- Prosiłeś kogoś o radę, zanim ożeniłeś się ze mną? - pytam.

- Nie.

- I widzisz, czym się to skończyło.

- Nie, wcale nie żałuję, że się pobraliśmy. Nie chciałem się z tobą rozwodzić, ale teraz patrzę na to jak na kolejny stopień w naszym rozwoju.

- Brzmi naukowo - mówię.

Josh wzrusza ramionami. Biorę głęboki oddech i siadam na rozłożonej kanapie. Josh wygląda trochę jak zbity pies, co pamiętam z czasów, kiedy się kłóciliśmy, i co mnie rozbija. I nie chodzi tu o jego wygląd, tylko o to, że w gruncie rzeczy nie czuję do niego nienawiści. Ani trochę, mniejsza o powód czy wiele powodów w ciągu wielu lat. Jest, jaki jest. I teraz to już nie moje zmartwienie.

- Ożeń się z nią, jeśli chcesz, a ona się zgodzi - mówię. - Ale niech ci nie przyjdzie do głowy mnie zapraszać.

Josh wbija wzrok w swoje znoszone buty. Jedna ze sznurówek wygląda, jakby ktoś ją zuł.

- Bez ciebie ślub się nie uda - uśmiecha się.

- Uda się, uda. I nie chcę więcej o nim słyszeć. Jesteś wolny i niezależny. Ja też. Mówię poważnie, Josh.

Kiwa głową.

- No dobrze. - Wstaje z ociąganiem. - Ale nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

- Lepiej się do tego przyzwyczaj - mówię. - Poza tym, mnie to nie przeszkadza, co się szczęśliwie składa, ponieważ jestem wolna całkiem oficjalnie i urzędowo. - Wyciągam ręce nad głowę, a potem na boki, jakbym mówiła: „Ta-da!” Jakbym właśnie wykonała bardzo trudne ćwiczenie gimnastyczne, za które należy mi się wysoka, jeśli nie najwyższa nota.

Josh znów kiwa głową. Macham do niego na pożegnanie z kanapy - tym razem obejdzie się bez pocałunków i uścisków. Dość się już nacałowałam jak na jeden wieczór. Kiedy wychodzi, zamykam

drzwi na oba zamki, słysząc, jak zbiega po schodach. Idę do kuchni i prostuję magnesy z biedronką na cicho buczącej lodówce. Wyjmuję z torebki przedarty bilet na mecz i przyklejam na lodówce pod osobnym magnesem, a potem wracam do łóżka i jeszcze raz staram się zasnąć.

Rozdział szesnasty

Miłość w czasach recesji

W redakcji panuje ten rodzaj martwej ciszy, który napawa lękiem i każe zatęsknić za placem zabaw pełnym wrzeszczących dzieci albo przynajmniej za szczekaniem psa. To ten rodzaj ciszy, który dzwoni w uszach, kiedy człowiek się budzi ze złego snu i zastanawia, gdzie jest, chociaż to znajoma ciemna sypialnia, jeszcze niedawno całkiem bezpieczna. Ten rodzaj ciszy, jaki zapada, kiedy znajdujesz na biurku notatkę służbową, jaką dziś rano otrzymali wszyscy pracownicy.

Nasze wydawnictwo, Science Press, Inc., zostało zakupione przez jeden z większych domów wydawniczych w mieście, MacWhitton Publishing, który wcześniej prowadził tylko małą oficynę książek naukowych pod nazwą Whatsit Press. Parę naszych działów zostanie zreorganizowanych, jak mówi notatka, a pewna liczba pracowników zostanie zwolniona, by poszukać nowych obszarów zainteresowań. O dalszych ustaleniach zostaniemy poinformowani kolejnymi notatkami. Notatka służbowa, która zapowiada następne notatki, nigdy nie wróży nic dobrego.

- „Szczерze ubolewamy, że może to spowodować pewną niedogodność naszym pracownikom” - odczytuje mi Tom ze swojej kartki, chociaż identyczna leży przede mną na biurku. Ale te słowa wypowiedziane na głos brzmią jeszcze groźniej, jakby za notatką kryło się coś nieznanego i nieuchwytnego.

Wszyscy w naszej redakcji zaczynają zbijać się w grupki, gromadzić nad różnymi biurkami. Widzę w drugim końcu sali Carla, który z wielkim zaangażowaniem pociesza kilka młodych kobiet.

- „Pracownicy nie objęci reorganizacją zostaną przesunięci zgodnie z zaistniałą potrzebą” - czyta dalej Tom.

- To znaczy? - pyta Nina.

- To znaczy, że nas wyleją na zbity pysk i wykopią do prawdziwego świata - mówi Monique. - W wolnym tłumaczeniu.

- To brzmi jakoś lepiej w twoich ustach - stwierdza Tom.

Czuję ucisk w żołądku i zawroty głowy, zupełnie jakbym zażyła zbyt dużą dawkę lekarstwa na alergię. W takim stanie nie powinno się obsługiwać maszyn, jak rozumiem.

Monique przysłała do mojego boks, w którym na jednym ze stołków siedzi też Nina, wpatrując się w notatkę.

- Proponuję, żebyśmy się zabrały za pisanie swoich CV - mówi Monique sucho.

- Wiedziałaś o tym? - pytam.

Wzrusza ramionami.

- Słyszałam to i owo. Ignorowałam to, z powodu arogancji albo głupoty, co wolisz.

- Przesunięci - mówi Tom.

- Zostaniemy na ulicy - jęczy Nina żałośnie, z pewną przesadą.

- Idź, kup sobie pączka - radzi jej Monique.

Notatka mówi, że sprzedaż i przeprowadzka do pomieszczeń Whatsit nastąpi w ciągu dwóch miesięcy. Każdy, kogo nie obejmie „reorganizacja”, dostanie dwutygodniowe wypowiedzenie i „hojną odprawę”. Niemniej, moim zdaniem, to nie załatwia sprawy. Pracuję tu od lat, od czasu ukończenia studiów. Od czasu mojego małżeństwa z Joshem, a nawet od czasu pierwszych zaręczyn Janie. Mam to samo krzesło od przeszło ośmiu lat. Czy ono też zostanie „zreorganizowane”? Moi rodzice byli ciągle parą, kiedy tu nastąpiłam. Lubię to miejsce, tę codzienną rutynę, tę pracę, której mogę nie mieć za dwa miesiące. Będę musiała wziąć do domu moje stołki do dojenia mleka, które wylądają w kącie albo schowane pod małym stołem kuchennym. Niepotrzebne. Opuszczone. Będę musiała znaleźć nową pracę.

- Nie mam żadnego CV - mówię. - Pracowałam tylko tutaj. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi żałośnie, ale mam to w nosie.

- Och, jej też kup pączka - zwraca się Monique do Niny, która kiwa się na czarno-białym stołku.

Nagle przypominam sobie notatkę, którą Sondra, szefowa działu korekty, wysmażyła o mnie z oskarżeniem, że nie biorę swoich obowiązków poważnie. Może nasi nowi zwierzchnicy dostaną ją do rąk, wcale nie zdając sobie sprawy, że wszyscy tutaj uważają Sondrę za godny ubolewania przypadek korektorki, której pomieszało się w głowie. Gdyby zobaczyli wszystkie jej notatki, na temat wszystkich innych, coś by ich tknęło. Ale w swoim lekko paranoicznym stanie jestem pewna, że zobaczą tylko tę o mnie. I mnie przesuną.

Tom zaczął składać swoją notatkę w jakiś skomplikowany obiekt, którego nie rozpoznaję. Wbijam wzrok w mój własny kawałek papieru i widzę przed oczami tylko mgłę, najpewniej dlatego, że łzy zaczynają mi ciec po policzkach. Nie jestem w stanie nad tym zapanować.

- Och, tylko nie to - odzywa się Monique gdzieś za moimi plecami.

- Proszę cię, nie płacz - mówi Tom.

Słyszę jakieś poruszenie, ale kładę głowę na rękach, jak zmęczone dziecko w przedszkolu. Chciałabym się zdrzemnąć. A potem dostać ciasteczka i kakao. Nie szlocham głośno ani nic, tylko leją mi się strumienie z oczu. Wszyscy wokół gdzieś się rozplęnęli. Nie wiem, czy wyszli, czy tylko ich nie widzę, ale wszystko mi jedno. Chciałabym, żeby jakiś łagodny, dorosły głos przeczytał mi kojącą bajkę z ładnymi ilustracjami, która ukołysze mnie do snu.

Kiedy otwieram oczy, widzę na biurku pudełko chusteczek papierowych, jak sądzę od Monique. Nina kładzie przede mną paczka pokrytego wiórkami czekoladowymi, który być może nie ma odpowiednich walorów odżywczych, ale za to jest kupiony specjalnie dla mnie. Tom przynosi mi plastikową butelkę soku wraz z czymś, co wygląda jak krab origami i ma ruchome, małe szczypce - to zapewne notatka w swojej nowej, ożywionej formie. Przestaję płakać, czy też zalewać się łzami, czy jakkolwiek to nazwać. Popijam sok i bawię się krabem, zdejmując szczypcami czekoladowe wiórki z paczka. Po jakiejś godzinie przekładania wiórków na mały stosik obok orientuję się, że już pora na lunch.

- Chodź - zagłada do mnie Monique - kupię ci hamburgera.

- Nie lubię mięsa.

- Nie wiesz co dobre - mówi Monique.

Chwytam torebkę i ruszam za nią. Idziemy do małej, sztywnej, japońskiej restauracyjki w sąsiedztwie, gdzie Monique zamawia nam sake.

- Whatsit Press? - pytam. - Czy to odpowiednia nazwa dla poważnego wydawnictwa?

- Dopóki nie każą nam nosić T-shirtów ze swoim logo, co ci to szkodzi? - pociesza mnie Monique.

- Nie masz jakiegoś dojścia do tych z góry? Nie wiesz, kogo zwolnią? Nie możesz dowiedzieć się czegoś więcej?

- Nie - mówi Monique.

- Och... - Wbijam wzrok w sake. Nie jestem pewna, czy picie teraz to dobry pomysł. Monique podsuwa mi szklaneczkę.

- Wyobraź sobie, że to bulion - zachęca, więc pociągam łyk.

- Bardzo słodki bulion - mówię.

- Chcesz wiedzieć, czego się dowiedziałam? - pyta po zamówieniu nam sushi. Podnosi brwi. - Hm...?

Ja też podnoszę brwi w odpowiedzi.

- Troje pracowników naszego działu zrezygnowało dziś rano z pracy.

- Bez odprawy?

- Sądzę, że zawarto jakąś ugodę - mówi Monique.

- Szczegóły.

- Rachel jedzie na tournée ze swoim zespołem.

- Wow - mówię. - Nareszcie się na to zdobyła.

Rachel, jedna z naszych długoletnich redaktorek technicznych - tuż po trzydziestce, podobnie jak ja - jest perkusistką w zespole rockowym zwanym The Translators. Grają na wszystkich naszych

przyjęciach bożonarodzeniowych. Każdy członek zespołu zna przynajmniej cztery języki i robią koncerty życzeń.

- Reggie przenosi się do jednego z tych męskich magazynów mody - ciągnie Monique.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Reggie, zawsze ubrany jak spod igły, jest jedyną osobą, która używa wody kolońskiej do pracy.

- Zawsze pachnie jak napój gazowany - krzywię się.

- Musi go to kosztować fortunę - mówi Monique. - Carl też odchodzi, do Discoveries United.

Discoveries, jeden z naszych największych konkurentów, wydaje głównie książki naukowe z zakresu wiedzy ogólnej, jak *Twój przyjazny wszechświat* i *Zaprzyjaźnij się z mrówkami*.

- Skąd im przyszło do głowy, żeby poszukać sobie nowej pracy? Czy to tylko przypadek? - pytam.

- Nie wierzę w przypadki. To pojęcie nie jest dostatecznie złowrogie.

- Więc Carl wiedział?

- Więc raz na pięć lat zdobył prawdziwą plotkę.

Kelnerka przynosi nam sushi w pełnym poszanowania milczeniu, jakby wiedziała, że należy zachować się delikatnie wobec osób, którym grozi zwolnienie z pracy.

- I co teraz zrobimy? - pytam Monique.

Monique bierze pałeczki i macza California Roll w sosie.

- Będziemy dobrymi harcerkami. Będziemy przygotowane.

- Yhm...

- Zamówimy więcej sake. I policzymy zaległe dni urlopu.

Kiedy wychodzę po pracy z redakcji, na schodach budynku siedzi nasz goniec, Roy.

- Rzeczywistość mnie przytłacza - mówi. Siadam obok. Roy jest jakiś osowiały.

- Już nigdy nie będziecie wszyscy w tym samym miejscu. Rozproszycie się po wydawniczym świecie, niektórzy zahaczą się gdzieś w agencjach albo w reklamie. Takie szerokie spektrum mnie przeraża.

- Cóż, faktycznie, czekają nas zmiany, ale może nie będzie tak źle - pocieszam go. Jego spanikowanie w dziwny sposób mnie uspokaja, ustawia wszystko w należytej perspektywie, przynajmniej na małą chwilę.

- Mam kłopoty z przystosowaniem się do nowych okoliczności - wyznaje Roy. - Uwielbiam monotonię. Tyle zmian to za wiele.

Poklepuję go po ramieniu.

- Monotonia może być wrogiem - mówię, próbując naśladować jego własny styl. - Zobaczysz, wszystko jeszcze dobrze się skończy. - Staram się, żeby to zabrzmiało przekonująco. Mam nadzieję, że nie słyszał o moim potoku łez dziś rano.

- I gdzie ja cię znajdę? Co, jeśli moje wydawnictwo nie będzie nic przysyłać do twojego wydawnictwa? Jestem zagubiony w gęstej mgłę przyszłości, dławi mnie w gardle, duszę się.

- Biedny Roy - mówię. - Ale ta mgła się kiedyś rozwieje.

- Holly, czuję głębokie porozumienie między nami. Łączy nas silna więź międzyludzka, a może coś więcej.

- Ja też cię lubię, Roy.

- Mam wrażenie, że wyznaczono mi jakiś cel, że moja rola tutaj została z góry określona.

- Naprawdę?

- Ale naturalnie nie mam zamiaru wtrącać się między ciebie i Toma.

- Nie jestem pewna, czy jest się w co wtrącać.

- Widzę was oboje jako moich duchowych przewodników.

- Nie wiem, jako co powinieneś nas widzieć, Roy.

- Jako duchowych przewodników - powtarza. - Moją rolą jest ułatwić wam drogę.

- Cóż, dzięki. Roy, nie myślisz o tym, żeby wrócić na studia? Nie, żebyśmy nie doceniali twojej pracy tutaj.

- Myślę o tym. Ale chyba tam nie pasuję. Życie uniwersyteckie jest takie stresujące. A przez drzewa na moim kampusie wszyscy na jesieni kichamy.

- Ach...

- Stres - mówi Roy - jest przyczyną wszystkich nieszczęść pod koniec XX wieku.

- Chyba masz rację, Roy.

- Wiem. Rozumiemy się bez słów. Obejmuję jego chude ramiona.

- Mam nadzieję, że cię nie zawiodłem - mówi.

- W żadnym wypadku. Zawsze dajesz mi tyle do myślenia - zapewniam go.

Roy uśmiecha się.

- Masz takie zdrowe podejście do życia, Holly - mówi, idzie do swojego motoroweru, wkłada kask i odjeżdża.

Tom przysiada się do mnie na schodach.

- Roy odjechał w siną dal - zauważa.

- Człowiek w masce.

- Lepiej się już czujesz? - pyta Tom.

Nie przypominam sobie, czy podziękowałam mu za sok, który mi rano przyniósł.

- Tak, dzięki. Postanowiłam uznać to za zły sen, udawać, że jest bez znaczenia, że wszystko to sobie wymyśliłam.

- Rzeczywistość wirtualna.

- Mniej więcej.

- A co będzie, jak prawdziwa rzeczywistość zapuka do drzwi?

- Może wślizgnie się przez okno - mówię. - Albo może będę mieć wtedy o wiele większy problem, przy którym to stanie się nieważne.

- To jakiś plan - przyznaje Tom. - Możemy gdzieś iść i porozmawiać?

Właściwie najchętniej zostałabym sama z butelką wina, ale wiem, że to niewskazane, więc daję się namówić na spacer z Tomem. Siadamy na ławce w parku, z dala od ludzi śpieszących po pracy do domu.

- To pewno nie najlepsza pora - zaczyna Tom i początkowo myślę, że chodzi mu o siedzenie w parku, dopiero po chwili rozumiem, że mówi o czym innym.

- Nie, wszystko w porządku - mówię.

- W porządku - powtarza Tom. - No dobrze, więc czasem się zastanawiam, czy to się układa tak, jak sobie wymarzyłem. Między nami.

- Och... - Nie wiem, co powiedzieć.

- Może jest dobrze, tak jak jest. Może posuwamy się do przodu, wolno, ale jednak. Kiwam głową.

- Myślisz, że się posuwamy? - pyta Tom.

Przyglądam mu się - jest taki szczerzy, tak pełen dobrej woli, że uświadamiam sobie, jak bardzo go lubię. Ale wiem, że się nie posuwamy. Że nawet gdybyśmy się starali dokonać postępu, zawsze pozostanie wrażenie, że coś jest nie tak.

- Przykro mi - mówię - ale nie jestem pewna, jak to jest.

Tom wchodzi mi w słowo.

- Chyba nie zrobiłem tego, co należało. Chciałem zaprosić cię znów, po kolacji u mnie, ale jakoś nie wyszło. Myślałem, że trochę poczekam, a potem chyba czekałem zbyt długo. Później już nie wiedziałem, co powiedzieć. Ale bardzo cię lubię.

- Miło mi to słyszeć. Ja też o tym myślałam, to znaczy o nas. Może to nie kwestia przemyśleń, tylko czegoś, co się dzieje albo nie.

- Nie - sprzeciwia się Tom. - To zbyt idealistyczne. A poza tym, lubiłem o tym myśleć.

- Tak, przyjemnie było o tym myśleć, zastanawiać się.

- Cóż, nie ma nic złego w zastanawianiu się.

- A więc oboje się zastanawialiśmy.

- Choćby z czystej ciekawości.

- No właśnie - mówię. - Ale nie wydaje mi się, żebyśmy do siebie pasowali. Co nie znaczy, że nie jesteś, no, fascynujący, na swój sposób.

- Dzięki - mówi Tom. - Chyba się gdzieś rozminęliśmy. Tak myślę. Z przykrością, ale tak myślę.

- Wiesz - zaczynam - zawsze mi się wydawało, że nic się nie dzieje w moim życiu, ale to nieprawda. Moja praca stała pod znakiem zapytania. Moja siostra i były mąż szykują się do ślubu, choć nie ze sobą. No i byłeś ty, i cała gama możliwości. Teraz to się kończy, jak rozumiem. - Czuję, że ramiona mi opadają i ogarnia mnie smutek, taki sam jak dzisiejszego ranka. Jednak jestem zdecydowana powstrzymać łzy, choćbym miała szczypać się w policzki. Nie chcę być aż tak żalosna.

- Są nowe możliwości - mówi Tom. - Pomyśl o tym w ten sposób. Chociaż nie potrafię w tej chwili powiedzieć jakie.

- Może należałoby ich poszukać w ciasteczkach z wróżbą.

- Niezbyt podoba mi się pomysł, że istnieje gdzieś jakieś ciasteczko, które wie lepiej ode mnie - oświadcza Tom.

- Zabawna uwaga, to mnie trochę pociesza - mówię.

Tom obejmuje mnie ramieniem, gestem nie tyle romantycznym, ile przyjacielskim, opiekuńczym. Były takie okresy w moim życiu, kiedy straciłabym jego ramię, może nawet poczułabym się urażona i spytała, co sobie wyobraża, kazałabym mu się wytłumaczyć. Ale teraz traktuję to jako wyraz akceptacji. Co też jest pewnym rozwiązaniem. Przynajmniej o to nie muszę się martwić.

Siedzimy na ławce i słuchamy odgłosów ruchu ulicznego, ludzi śpieszących do metra, chłopaka sprzedającego kadzidelka na rogu. Z prawej strony w oddali wyje syrena. Gdzieś za całym tym hałasem wyławiam niski warkot małego motoroweru. Słucham, jak skręca to w lewo, to w prawo, omijając przechodniów, którzy wiedzą, że te ulice należą do nich i są zdecydowani to udowodnić. Szum motoroweru okrąży park i widzę oczami wyobraźni Roya, jak jeździ w kółko wokół nas, jakby chciał rzucić jakiś urok. Zastanawiam się, czy zwątpił w swoich duchowych przewodników, czy uznał, że zawiedliśmy go do miejsca, gdzie powinniśmy być wszyscy razem. Motorower przyspiesza i mimo woli znajduję w jego wibrującym bzyczeniu odrobinę nadziei.

Rozdział siedemnasty

Gdy cię nie było

Urządziłyśmy sobie Jarzynowy Wieczór w moim salonie. Czasem, kiedy umawiamy się z Marią na kolację, a nie chce się nam gotować ani szukać taniej knajpki, bierzemy po prostu różne warzywa i nóż. Dziś mamy brokuły, kalafior i marchewkę, która zwyciężyła w jakimś konkursie hodowców, oraz miskę z sosem winegret, wszystko rozstawione na desce do krojenia położonej na stoliku do kawy. Każda z nas sieka sobie do jedzenia, co chce. Na razie przeglądamy leżące wokół magazyny, nie poświęcając im zbyt wiele uwagi, jako że to nie są magazyny mody. Nic tak się nie nadaje do wspólnego oglądania, jak kobiece magazyny mody. Śmiechów i chichów jest przy tym co niemiara. Czasem myślę, jak smutno jest siedzieć w domu samej z pismem „Vogue” i nie mieć pod ręką nikogo, z kim można by się pośmiać z niektórych fasonów.

- W „Harper's” jest coś o plackach - mówi Maria. Na wzmiankę o naszym ulubionym smakołyku nastawiam uszu. - Piszą, że zapach placka z dynią podnieca mężczyzn najbardziej, czterdzieści procent.

- Czterdzieści procent więcej niż zwykle, czy czterdzieści procent więcej niż placek z jagodami, czy czterdzieści procent więcej niż „Playboy”? - Mam kłopot ze statystyką.

- To nie jest jasno powiedziane. Ale bije zapach pieczeni o pięć procent, jeśli połączysz placek z lawendą.

- Po co ktoś miałby to robić?

- Nie mówiąc już jak - dodaje Maria. - W każdym razie to jedyny placek na liście.

- „New York” twierdzi, że pięćdziesiąt procent kobiet pomiędzy dwudziestym piątym a czterdziestym dziewiątym rokiem życia kładzie się po północy.

- Muszę być błędem statystycznym - oświadcza Maria.

- Ja często się tak czuję - wyznaję. - Piszą też, że martwimy się o znalezienie większego mieszkania i o AIDS, ale nie wiem, w jakiej kolejności.

Obie rzucamy nasze magazyny na stos i przystępujemy do głównej rozrywki wieczoru, czyli do dyskusji o naszych problemach, co, jak zauważyłam, w ogóle nie zostało uwzględnione w spisie najczęstszych wieczornych zajęć wymienionych przez „New York”. Wyraźne niedopatrzenie.

- Moje problemy najpierw - mówię, chwytając nóż. Proces siekania jest częścią autoterapii.

- Niech będzie - zgadza się Maria. - Zbudujemy odpowiedni nastrój dla moich.

- No więc - zaczynam - za chwilę stracę pracę.

- Może - dodaje Maria.

- Zapewne.

- Potraktuj to jako nowe doświadczenie życiowe.

- Nie mam w tej chwili żadnej ochoty na nowe doświadczenia życiowe. Wolałabym kurczaka po chińsku.

- Twój organizm domaga się po prostu więcej brokułów - mówi Maria, podsuwając mi kawałek brokołu.

- Umniejszasz moje problemy.

- Nonsens. Uzupełniam twoje zapasy witaminy C, żebyś miała siłę sobie z nimi poradzić.

- Aha. Dzięki.

- Weź jeszcze marchewkę.

- Będę musiała znaleźć nową pracę, a czasy są ciężkie. Jest recesja, czy tuż po recesji, a może jesteśmy na krawędzi recesji. Nie potrafię się w tym połapać, kiedy oglądam wiadomości.

- To dlatego, że ABC mówi, że mamy recesję, ale CBS twierdzi, że już minęła. A obie stacje zdają się nie zauważać, że i tak rządzi CNN. Przeglądałaś ogłoszenia?

- Tak.

- I?

- Było parę ofert z wydawnictw, ale tam są sami nowi ludzie.

- Fakt. Czy to znaczy, że miałaś nadzieję umrzeć w tej pracy?

- Mniej więcej, chociaż nie od razu. Chyba wyobrażałam sobie, że wszyscy redaktorzy techniczni zestarzeją się razem, będą słuchać przez słuchawki radia ze starymi przebojami i ślęczeć nad swoimi książkami, siwowłosi, z protezami stawów biodrowych i artretyzmem. Coś w tym stylu.

- Przyjemnie jest pomarzyć - mówi Maria. Kroję marchewkę i żuję ją przez chwilę.

- Wiesz, marchewka wydaje się stosowniejsza na lunch. Nie powinnyśmy być zmuszone jeść jej także na kolację. Jest nam dostatecznie ciężko.

- Nie wiedziałam, że masz do niej taki stosunek. - Maria bierze resztę ogromnej marchwi i kładzie ją po swojej stronie stołu. - Pomówmy teraz o moich problemach.

- Ale jeszcze nie doszłam do skurczów dużego palca u nogi.

- Nosisz za małe buty.

- Ale to nadal problem.

- Tak, to prawda.

- No dobrze - mówię. - Twoja kolej.

- Chodzi o Henry'ego - wyznaje Maria.

- Nie! Nic nie może się popsuć między tobą a Henrym. Prawo tego zabrania.

- Proszę cię - mówi Maria. - Nie jestem wielką legalistką.

- Dobra, wal.

Marią bierze głęboki oddech i zaczyna odrywać różyczki kalafiora i układać je na swoim talerzu. Zauważam, że każda z nich jest trochę inna, jednak to wcale nie sprawia, że stają się bardziej apetyczne.

- Pokłóciliśmy się. Nawet nie pamiętam o co.

- Brudne albo pogubione skarpetki?

- Coś o tym stopniu ważności. To zawsze jakiś drobiazg, bałagan albo pranie, albo coś, co obiecałaś przez telefon i całkiem o tym zapomniałaś, bo ci wyleciało z głowy. Ale to jednocześnie oznaka czegoś poważniejszego, jakichś zaburzeń w związku. Czegoś potencjalnie nierozwiązywalnego. Nawet jeśli to tylko jedna skarpetka.

Kiwam głową. Maria wpatruje się w różyczkę kalafiora, po czym ją odgryza.

- Potem Henry musiał wyjść do pracy - ciągnie. - I zostałam sama. Dobrze. W porządku. Zaczęłam myśleć o życiu bez niego. Ostatecznie nie szukałam nikogo, zanim się pojawił. Nie dawałam ogłoszeń do rubryki matrymonialnej, kiedy się poznaliśmy.

Chrząkam cichutko, bez zbytniej ostentacji.

- Nie powiedziałam, że nigdy nie dawałam ogłoszeń, tylko że nie akurat wtedy.

- Okej.

- Więc zaczęłam rozmyślać, co będę robić wieczorami, co będę jeść na kolację. Jak się zorganizuję. I poczułam, że dam sobie radę bez Henry'ego, zaczęłam się przyzwyczajać do myśli, że to już koniec.

- Że to już koniec? - powtarzam jak małe, nieszczęśliwe dziecko.

- Tak. Uznałam, że nic wielkiego się nie stanie, jak się rozstaniemy. To tylko kwestia zamknięcia jednego etapu życia i przejścia do następnego.

Patrzemy na siebie. Maria zaczyna rozdzielać brokuły i podaje mi jedną łydę do rozczłonkowania. Zauważam, że te jarzyny w ogóle nie pachną. Równie dobrze mogłybyśmy jeść gąbki. Maria koncentruje się na przyrządzaniu sałatki. Chcę ją zapytać o dalszy rozwój wypadków między nią a Henrym, ale widzę po tym, jak intensywnie rozdrabnia warzywa, że zatoneła we własnych myślach. Wiem, jak to jest. Czekam, układając łydki brokułów od najmniejszego kawałka do największego.

- Rzecz w tym - odzywa się Maria - że kiedy Henry wrócił po swojej zmianie, zrozumiałam, że te moje przemyślenia są diabła warte. Kiedy popatrzyłam na jego ręce, wiedziałam, że nie chcę, żeby odszedł. Że nie chcę niczego kończyć ani od nowa zaczynać. Ręce mają na mnie taki dziwny wpływ. Nie mogę uwierzyć, że mi się to przytrafiło.

- Komu jak komu - mówię.

- To zatrważające uczucie mieć słabość do czyichś rąk.

- Nie mówiąc o reszcie - dodaję.

Maria zgarnia wszystkie swoje rozdrobnione warzywa i zrzuca je z powrotem na deskę. Mam przecucie, że będziemy musiały wyjść na deser.

- Zawsze byłam taka niezależna - mówi Maria. - To był mój priorytet. Powiedziałam to Henry'emu. Stwierdził, że damy sobie z tym radę.

- Poczekaj no, to ma być ta twoja zła nowina? Twój problem? Odkrycie, że zakochałaś się w Henrym?

- Taa... Nie mów nikomu.

- Moje problemy są o wiele większe.

- Rozmiar to nie wszystko.

- Wiesz, zgodnie z tym co mówią magazyny, powinniśmy martwić się o znalezienie większego mieszkania i o AIDS.

- Martwimy się o to podczas weekendów - mówi Maria.

- Poza tym, powinniśmy martwić się, gdzie kupić placek z dynią o tej porze roku.

- Trzeba go upiec i wziąć dynię z puszki - proponuje Maria.

- Aaa... - Nie przyszłoby mi to do głowy. - Miłość jest tak skomplikowana w naszych czasach.

- Może być gorzej, niż myślę - mówi Maria. - To może być prawdziwa miłość. Czy to pojęcie jeszcze istnieje? Czy nic nie znaczy i jest staroświeckie?

- Sądzę, że nic nie znaczy i jest staroświeckie. Ale i tak mi się podoba.

- Prawdziwa miłość... - rozmarza się Maria. - Nikt mi nie powie że istnieje większy problem.

Zamyślamy się. Rozumiem jej punkt widzenia, ale go nie dzielam.

Nazajutrz w porze lunchu idę z Niną na spacer po Greenwich Village. Uznałyśmy, że powinnyśmy się więcej ruszać, żeby nie dostać, tak zwanego w naszej profesji tyłka redaktora. Określenie „tyłek redaktora” brzmi śmiesznie, kiedy Nina je wymawia. Jest typem kobiety, która się śmieje, mówiąc „tyłek” i rozśmiesza tym słowem innych. Oglądamy wystawy sklepów, w których sąsiedztwie pracowałyśmy niemal od wieków, ze świadomością, że jeśli się przeprowadzimy w nowe miejsce albo - co gorsza - zostaniemy „przesunięte zgodnie z zaistniałą potrzebą”, nie zobaczymy więcej tych znajomych okolic. Z każdą przecznicą przywiązujemy się bardziej do firanek w oknach, wyblakłych markiz, zapachu tłustych falafeli. Inne dzielnice mogą mieć podobne widoki i zapachy, ale to już nie będzie to samo.

Wracam do pracy i znajduję na biurku jedną z tych różowych kartek z nadrukiem GDY CIĘ NIE BYŁO. Ktoś napisał na niej: *Zadzwoń do ojca* i podał miejscowy numer telefonu. Obracam kartkę ze wszystkich stron, jakby z nadzieją, że znajdę na odwrocie dopisek: „To tylko żart”. Nie znajduję.

Rozmowa z ojcem przez telefon ogranicza się zawsze do paru słów. Cieszy się, że mnie słyszy, ale zamieniamy tylko najkonieczniejsze informacje, gdzie i kiedy się spotkamy, jakby to była potajem-

na schadzka albo jakbym go wyciągnęła spod prysznic i stał teraz, ociekając wodą. Wygląda to mniej więcej tak:

- Cześć, tato. Jak się masz?

- Dobrze. A ty?

- Też dobrze. Dzięki. Jesteś w Nowym Jorku?

- Jasne.

Znajduję mieszkanie, w którym zatrzymał się ojciec, w apartamentowcu z czerwonej cegły na słonecznej ulicy na Upper East Side - to jedyna ulica, gdzie słońce naprawdę zagląda do okien, oświetlając je gasnącym blaskiem przed zmierzchem. Inne ulice toną w szarej mgle. Ojciec ściska mnie krótko w drzwiach.

- Holly, Holly - wita mnie na swój sposób.

Niewiele się zmienił od czasu mojej wizyty w Houston, w domu Sophie. Jest ubrany w niebieskozieloną koszulę, która wygląda, jakby pierwotnie była niebieska albo zielona, ale została przypadkiem uprana razem z tym drugim kolorem. Oraz w parę dżinsów Levi's Dockers - widziałam je dotąd tylko w reklamie, nigdy na żywo. Są podobne do spodni, w jakich zawsze chodził, ale jak wiele ubrań firmowych mają z tyłu małą metkę identyfikacyjną. Nie pamiętam, żeby tato przedtem nosił metki.

Zaprasza mnie do przytulnego wnętrza w odcieniach czerwieni i beżu. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że jest więcej niż jeden odcień beżu. Mieszkanie ma ciepły klimat, częściowo dzięki słońcu wpadającemu przez frontowe okna i mimo ściany pełnej masek o różnej wielkości i różnych wyrazach twarzy, czasem zbyt krytycznych, jak na mój gust. Ciemna brązowa maska wykrzywia się, jakby właśnie zjadła coś kwaśnego albo wyrażała dezaprobatę dla mojej fryzury. Szara maska pokazuje język i robi zeza. Zauważam też, że w każdym kącie pokoju stoi jeden z tych nowomodnych przyrządów do ćwiczeń, co sprawia, że salon wygląda jak połączenie sklepu sportowego z muzeum etnograficznym. Rzecz dziwna, ta kombinacja nie razi.

- Czy te maski cię nie drażnią? - pytam ojca.

- Z początku może trochę - odpowiada, przynosząc mi szklanekę czegoś gazowanego. - Teraz to już starzy znajomi.

- Jesteś tu tak długo?

- Od paru dni. Przyjaciele podnajęli mi to mieszkanie. Podróżują po świecie. Zapewne w poszukiwaniu nowych masek.

Siadamy w czerwonych fotelach, patrząc na plamę słońca na dywanie.

- Czy to znaczy, że opuściłeś Houston? - I Sophie, chcę dodać, ale boję się, że to przekracza jakąś granicę między ojcem i córką, którą nie do końca ustaliłam.

Ojciec popija swój napój gazowany, więc próbuję mojego. To nie woda mineralna i nie zwykła woda sodowa o posmaku cytrynowym. Zapytałabym, co to takiego, ale mam teraz ważniejsze pytania na głowie.

- Myślę o tym, żeby tu wrócić, Holly. Co ty na to?

- Jestem zdumiona. A gdzie Sophie? - Zadając to pytanie, czuję się trochę, jakbym wsadzała stopę do rzeki, w miejscu gdzie jest bardzo zimna woda.

- Lubię Houston - mówi ojciec. - I Sophie... - Urywa, jakby się zastanawiał, w które miejsce rzeki sam chce wskoczyć. Jak ojciec rozmawia z córką o swojej przyjaciółce? Te sprawy są dla mnie nowe. - Sophie bardzo dbała o nasze wygodę. Jest naprawdę miła. Choć nie wiem, czy zdążyłyście się zaprzyjaźnić i czy w ogóle miałyście na to szansę, zważywszy na okoliczności.

- Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwy - mówię i zmieniam na: - zadowolony.

- Rozmawiałem z nią o przeprowadzce tutaj. Chyba przyjechała wy badać to na miejscu, ale doszła do wniosku, że to nie jest dobry pomysł. Dołożyłbym starań, gdyby chciała, to nie jest tak, że po prostu ją opuściłem - mówi tato i zastanawiam się, czy nawiązuje tylko do Sophie, czy także do historii z moją matką.

Ojciec śmieje się na jakąś myśl.

- Udomowiony kowboj - mówi. - To byłem ja w Houston. Przeczytałem to w jakiejś książce: udomowiony kowboj. Nie wiem, czy podobała mi się ta rola. Chociaż, oczywiście, mogę za tym zateknąć.

- A więc wróciłeś na stałe?

- Tak sądzę. Skontaktowałem się ze starymi przyjaciółmi w sprawie konsultacji, których mógłbym udzielać. Są zaangażowani w jakieś projekty robione przez młodych ludzi i potrzebują pomocy od strony inżynieryjno-technicznej. Warto spróbować. No i oczywiście, najważniejsze, że wy, dziewczęta, tu jesteście. - Tato urywa na chwilę i dodaje: - Nie, żebym oczekiwał jakichś specjalnych względów. Ale będziecie wiedzieć, że w razie czego jestem w pobliżu.

Czuję wilgoć pod powiekami, ale powstrzymuję się od łez, bo chcę rozmawiać. Albo przynajmniej słuchać.

- Cieszę się, że wróciłeś - mówię. Uśmiechamy się do siebie i popijamy nieznaną bliżej wodę sodową. - I to nie tylko dlatego, że zawsze chciałam wypróbować jedną z tych maszyn do treningu narciarskiego - mówię, wskazując na błyszczący sprzęt do ćwiczeń za kanapą.

- To ustrojstwo nie jest dla osób bojaźliwych - mówi tato. Uświadamiam sobie, że najswobodniej czujemy się ze sobą, kiedy żartujemy. Kiedyś uważałam to za problem, ale teraz za błogosławieństwo, za dar opakowany w gruby, złoty papier.

- Będzie ci brakować kaczek - mówię, myśląc o wystroju jego gabinetu.

- Kaczki, maski, każdy coś zbiera. - Pokazuje mi na ścianie twarz z ustami jak dziób kaczki. Nie mam pojęcia, skąd jest ta maska i czy to egzemplifikacja wyjątkowej urody, czy brzydoty.

- Mam napomknąć mamie, że wróciłeś? - pytam.

- Och, Allison wie.

- Rozmawiałaś z nią?

- Jesteśmy w kontakcie. Początkowo rzadko rozmawialiśmy, ale ostatnio coraz częściej.

To także dla mnie nowość.

- Mówimy o was, dziewczęta, o tym, co u was słyhać.

- Wow... - To wszystko, co mi przychodzi do głowy.

- No właśnie, co u ciebie? - pyta tato. - Będę mieć wiadomości z pierwszej ręki.

- Wszystko w porządku. Chociaż szykują się różne zmiany.

- Ruch, niepokój. - Tato kiwa głową. - To nie zawsze taka zła rzecz.

- Jestem skłonna się z tym zgodzić. Zwłaszcza że nie mam wyboru.

- Pozostaje jeszcze Janie - mówi tato. - Jest taka nieustępliwa, szczególnie wobec mnie. Nie, żeby nie miała powodu.

- Na pewno też się ucieszy, że wróciłeś.

- Na swój sposób. Mam nadzieję.

Patrzę na ścianę z maskami i słucham, jak gaz musuje w szklance. Po lewej stronie ściany pucowata twarz cherubinka śmieje się histerycznie, okrągłe policzki są czerwone, jakby ktoś je właśnie wyszczypał. Śmieję się na sam ten widok i pokazuję ją ojcu, który też się śmieje. Dobrze by było nosić tego cherubinka wszędzie ze sobą.

Tej nocy śni mi się, że wiem z Marią główki brokułów i kalafiorów w charakterze dekoracji na ścianie mojego salonu. Są lśniące, jakby polakierowane i tworzą abstrakcyjny wzór nad kanapą. Warzywa podczas snu zmieniają się w twarze ludzi, których znam. Moja szefowa, Monique, uśmiecha się sarkastycznie twarzą z brokułu. Pewny siebie kalafior przybiera postać nieśmiałej Niny. Tom spogląda na mnie z dorodnej marchewki. Nie rozpoznaję innych twarzy, ale jestem pewna, że je znam - może to moi współpracownicy, może przechodnie, których spotykam codziennie na ulicy. Kobieta, która biegnie od stoiska z gazetami z rękawiczką w zębach, mężczyzna w barze sałatkowym, który nakłada sobie groszek, nie spuszczając żadnego na podłogę. Jedno z warzyw się śmieje, ale nie wiem, które. Maria i ja umieszczamy je w miejscu honorowym na samym środku i kiwamy głowami z aprobatą.

- Wiedziałaś - mówi Maria; chcę ją spytać, co wiedziała, ale obraz rozwiewa się i jest to już inny sen.

Rozdział osiemnasty

Wymarzony ślub Janie

Chciałam wystąpić w czarnej, jedwabnej sukni, takiej, która ułoży się odpowiednio i zaokrągli mnie lub spłaszczy tu i tam, a poza tym będzie mi służyć na inne okazje. Choć naturalnie nie mam żadnych innych okazji nie tylko na taką suknię, ale i na eksponowanie swoich okrągłości. Ale nie, Janie uważa, że czarny kolor na ślubie zwiastuje nieszczęście. Twierdzi, że te modne czarno-białe śluby, o których się teraz tyle mówi, są przyczyną powiększającej się liczby rozwodów. Mam ochotę przypomnieć jej, że nikt na moim ślubie nie był ubrany na czarno, a i tak się rozwiodłam, lecz boję się, że to ją sprowokuje do wygłoszenia następnej teorii, której nie mam ochoty w tej chwili wysłuchiwać.

Wobec tego sprawiam sobie sukienkę w kolorze ciemnogniatowym, w najciemniejszym możliwym odcieniu, graniczącym w paletcie barw z czernią. W tym głębokim, nasyconym kolorze czuję się, jakbym się objadła najlepszym na świecie sernikiem z jagodami. Mój apetyt jest zaspokojony.

Oto mamy nareszcie wymarzony ślub Janie, planowany od niemal dwudziestu sześciu lat. Ślub, po siedmiokrotnych zaręczynach. Osobiście uważam, że magazyn „Panna młoda” powinien zrobić z tego reportaż, zatytułowany: *Nasza najwierniejsza prenumeratorka decyduje się na stanowczy krok*. Ciekawa jestem, czy Janie odnowi prenumeratę dla zachowania tradycji albo choćby z przyzwyczajenia.

Siedzę w pokoju druhen, pozwalając przyjaciółkom Janie, Renee i Beverly, aplikować sobie kilogramy różu. Moja siostra wydaje rozporządzenia co do moich policzków i znika. Jest mniej zdenerwowana ode mnie, choć może tylko dobrze się maskuje. Maria stoi obok ze szczotką w ręce, gotowa zrobić mi ostatnie poprawki fryzury i udzielić wsparcia. Jej suknia, w majestatycznym kolorze burgunda, jest skrzyżowaniem plisek i warstw. Ja sama wyglądałabym jak dwunastolatka w pliskach i warstwach, natomiast ona wygląda bardzo szykownie.

- Masz pełnić rolę drużny czy starościny wesela? - pyta Maria. - Nigdy nie mogę się w tym połapać.

- Chyba starościny. - Kręci mi się w nosie od zapachu różu. Jest mocno perfumowany, zapewne drogi, opakowany w eleganckie, czarne pudełeczko, które otworzyłam z niejakim trudem. Sama zawsze kupuję bezzapachowe, hipoalergiczne kosmetyki, których potem najczęściej nie używam.

- Ale Holly jest rozwiedziona - wtrąca Beverly. - Czy starościna nie powinna być mężatką?

- A drużna panną - dodaje Maria. - Czy stara panna może pełnić odpowiednie honory na weselu? Czy to wypada?

- Sądziłam, że nie ma już starych panien. Zostały tylko w grach karcianych dla dzieci.

- Przechrzczone je na coś bardziej poprawnego towarzyszko - stwierdza Maria. - Na przykład zamiast mówić „stara panna”, mówimy „zastępca dyrektora naczelnego”.

- Za to „starościna” jawi nam się jako osoba dostojna i korpulentna.

- „Piersiasta”, jak powiedziałyby moja babcia.

- Proszę cię... Widziałam zawodników sumo z większymi piersiami niż moje.

- Ale ich obwisają.

- Fakt. W każdym razie nie sędzę, żeby można było z powrotem zostać panną, skoro się już było starościna, nawet z powodów czysto tytułarnych. Poza tym, jestem po trzydziestce.

- Po trzydziestce możesz wybierać - mówi Maria, podwijając mi włosy na szczotce.

- Wybieram mniej różu - oświadczam i ścieram go sobie chusteczką papierową z policzków. Beverly i Renee wydają jęk zawodu z powodu swoich straconych wysiłków.

- Kosmetyki... - wzdycha Maria. - To świetna zabawa, kiedy jesteś dzieckiem, ale czar pryska, gdy dorastasz i musisz sama za nie płacić.

Widzę, że Beverly zbliża się do mnie z pudełeczkiem niebieskich cieni do powiek. Jednak istnieją jakieś granice.

- Niebieskie cienie wyszły z mody wraz z lalkami Barbie - sprzeciwiam się.

- Lalki Barbie są nadal w cenie u kolekcjonerów - zauważa Maria.

- Obciąłam wszystkim swoim włosy na krótko - mówię. - Chyba wyobrażałam sobie, że odrosną. Miałam kłopoty z oceną rzeczywistości.

- Ocena rzeczywistości może sprawiać niejaki kłopoty w przypadku lalek Barbie zgadza się Maria. - Zwłaszcza jeśli nie zginają im się nogi.

- Moim się zginały, ale skrzypiały w stawach. Jakby Barbie cierpiały na artretyzm.

- Powinni produkować bardziej praktyczne egzemplarze. Przedwcześnie posiwała Barbie. Barbie chora na grypę. Barbie z zespołem objawów przedmiesiączkowych, wyposażona dodatkowo w stosowne opakowania lekarstw.

- Niektórych rzeczy nie można się nauczyć od lalki - mówię.

- To prawda. - Maria kiwa głową, kończąc moją fryzurę. - Za to tego, czego się można nauczyć od Barbie, oduczą cię poradniki.

- Nie mówią o życiu - dodaję.

Wstaję i oglądam w lustrze swoją postać w granatowej, wieczorowej sukni.

- Starsza siostra Barbie staje się dorosła - komentuje Maria.

Wyłamuję sobie palce dla lepszego efektu.

Następuje moment, kiedy zostaję sama z Janie i piętnastoma różnymi odcieniami różowych róż. Janie ogląda każdy bukiet oddzielnie, przyglądając mu się z bliska, jakby była krótkowidzem, choć - o ile wiem - nie jest. Może szuka ukrytych mikrofonów.

Ma kimonową narzutę na sukni ślubnej - tu i tam sterczą białe, jedwabne kitki materiału. Chciałabym powiedzieć jej coś od serca, dać jakąś siostrzaną, przedślubną radę, ale nic mi nie przychodzi do głowy, Seks nie wchodzi w grę - ma wszystkie stosowne podręczniki, niektóre ilustrowane. Może należałoby pomówić o zobowiązaniach? Nie jestem ekspertem w tych sprawach, z czym Janie z pewnością by się zgodziła.

- Ładne kwiaty - bąkam.

Janie wydaje głębokie westchnienie, podszyte nutką wątpliwości, jak sędzę. Mam okazję przyjść jej z pomocą, wykazać się w roli starościny wesela.

- O co chodzi? Obleciał cię strach? Masz jakieś wątpliwości? Troski? Pytania?

- Och, Holly, za bardzo się martwisz. Próbuję tylko przedłużyć tę chwilę. Chcę wszystko dokładnie zapamiętać.

- Wystarczy zrobić mnóstwo zdjęć - mówię. Widziałam co najmniej sześć osób z kamerami wideo. Udało mi się umknąć przed czterema.

- Wiesz - mówi Janie - wymarzyłam sobie, żeby wszystko było dokładnie tak, jak trzeba. „Mój ślub”. A wczoraj Bucky zaproponował, żebyśmy uciekli i niemal się zgodziłam.

- Ale myślałam, że tego właśnie chciałaś. Wielkiej pompy. - Zakreślam koło szerokim gestem.

- Tak - przyznaje Janie z nowo odzyskanym animuszem. Wącha różę w czyimś bukietcie, może w moim. - Wszystko idzie po mojej myśli. Wszyscy spełniają moje życzenia. Nawet ty zgodziłaś się umalować. - Wyjmuje chusteczkę i ściera mi jeszcze trochę różu z twarzy. Nie potrafię powiedzieć, jak jestem jej wdzięczna.

- Zrobiłam to tylko dla ciebie - mówię. Janie uśmiecha się.

- To dziwne, że wszyscy tak koło mnie skaczą, przynoszą mi sok od rana i tak dalej.

- Ty tu dzisiaj rządzisz.

- Bardzo przyjemne uczucie - stwierdza Janie.

- A więc poprosiłaś tatę, żeby cię poprowadził do ołtarza. Mimo wszystko trochę się zdziwiłam, nawet wzięwszy pod uwagę, że do nas wrócił. - Nie miałyśmy jeszcze okazji przedyskutować powrotu taty. Wiem, jaka była na niego wściekła, nie tylko za rozwód, ale za sposób, w jaki odszedł. Moja siostra długo potrafi chować urazę.

Janie znów głęboko wzdycha.

- Widzisz, rzecz w tym - zaczyna - że tato nie jest doskonały. Robi wiele błędów. Więc nie należy stawiać go na piedestale. Jest tylko mężczyzną, nie dziełem sztuki.

- Ładnie powiedziane - chwalam ją. Jestem pod wrażeniem.

- Zaczęłam już popijać szampana - przyznaje się Janie.

- Myślisz, że tato zostanie?

Janie waha się.

- Nie mam pojęcia.

Bierzemy kilka głębokich oddechów, wciągając w nozdrza zapach przedślubnych róż.

- Tak sobie myślę - mówi Janie, odświeżona. - Jest tu dwudziestu dwóch młodych i zdrowych hokeistów. Do tego większość nieżonatych. Niezły wybór, wiesz, co mam na myśli?

- Och, nie, proszę cię, nie chcę podrywać nikogo na twoim ślubie.

- Nie rozumiem czemu. To doborowa lista gości.

- Tak czy owak.

- Nie musisz przecież tego z góry planować - przekonuje mnie Janie. - To dodatkowa korzyść z pełnienia honorów domu. Starościna może sobie pozwolić na więcej swobody, na przykład przy doborze partnerów do tańca, rozumiesz?

Zastanawiam się, dlaczego moja młodsza siostra, w ostatnich, pełnych napięcia chwilach przed własnym ślubem, daje mi jeszcze dobre rady. Ale taka już jest, to jej sposób bycia. I właściwie wcale mi to nie przeszkadza.

- Niektórzy z nich całkiem nieźle tańczą - dodaje Janie. - A poza tym, doskonale ci w granatowym. To twój kolor.

Nie zdawałam sobie dotąd z tego sprawy, jak sędzę. Janie prostuje moje ramiona i podaje mi ciężki, ale gustowny bukiet. W skrytości ducha jestem zachwycona, że mogę trzymać kwiaty, mieć blisko siebie takie żywe kolory. Każe mi się to zastanowić nad różnymi rzeczami, jakie my, kobiety, nosimy na specjalne okazje, i ile to dla nas znaczy. Chciałabym porozmawiać o tym z Janie, ale już nie ma czasu.

Ojciec prowadzi Janie do ołtarza, uśmiechając się w granatowym garniturze, którego marynarka jest jakaś przyciasna, za mała czy za krótka, nie potrafię powiedzieć. Potem siada w pierwszym rzędzie, zgodnie z planem obok Marii i Henry'ego, nie obok matki. Matka siedzi z Ronnym, ubranym w elegancki, grafitowy garnitur, z niebieską chusteczką w kolorze jej sukni wystającą z kieszonki. Wydaje mi się to wzruszające, chociaż przy sposobności zauważam, że niebieskawe, koliste maziaje na jego popielatym krawacie przypominają kształtem ryby. Stałość jego upodobań musi być krzepiąca dla matki, jako że Ronny ceni sobie zarówno ryby, jak i ją, choć mam nadzieję, że nie w tej kolejności.

Podczas ceremonii stoję po lewej stronie Janie, poruszona słowami miłości i przywiązania, jakie płyną nad głowami młodej pary do drużyny hokejowej i reszty zgromadzonych gości. Te poważne słowa zdają się z palącym skutkiem walić mnie prosto w żołądek. Słowa o odpowiedzialności, opiece, wyzwaniu, ciągłości, współpracy. Słowa o miłości, samo słowo „miłość”, osobiste słowa wymawiane wyraźnie i dźwięcznie przez kobietę w długich, czarnych szatach. Jak się okazuje, ślubu udziela mojej siostrze kobieta o personaliach Jocelyn Hand, co brzmiałoby śmiesznie, gdyby miała mniej poważny głos. Choć moim zdaniem te słowa wymagają cichszego tonu, a nawet szeptu. Zerkam na drużny, które obojętnie patrzą prosto przed siebie, z szerokimi uśmiechami przyklejonymi na ustach, i zastana-

wiam się, czy nie wymyśliłam sobie całej tej przemowy. Potem kieruję wzrok na Janie i widzę, że całkiem się rozkleiła, łzy płyną jej po policzkach do koronkowej chusteczki z wyhaftowaną wielką literą „J”. Oczywiście, jak można nie wzruszyć się do łez takimi słowami, adresowanymi prosto do ciebie?

Ale moja siostra niełatwo się wzrusza - zdaję sobie sprawę, że to przemówienie nie tyle porusza czułe struny jej serca, ile ma się przyczynić do ukazania pełni istoty Janie, cokolwiek to miałoby znaczyć. Patrzy na mnie i uśmiecha się, całkiem opanowana, a w każdym razie ani na chwilę nie tracąc kontroli nad sobą. Jej spojrzenie mówi: w końcu panna młoda ma prawo płakać, więc czemu nie? Słyszę dalsze słowa o wytrwałości, spełnieniu, wierności po grób, życiu wiecznym - słowa, w które już nie za bardzo wierzę, ale które i tak przejmują mnie dreszczem. Słowa, którym Janie patrzy prosto w oczy.

Oglądam się na pierwszy rząd. Maria i Henry trzymają się za ręce, lekko poruszając splecionymi palcami. Z tej odległości nie rozpoznaję, czyje palce są czyje, ale niemal czuję ich dotyk.

Janie prześlizguje się przez „Ja, Janie” i dalsze słowa przysięgi gładko i bez potknięcia, jak na łyżwach. Należy do tych dziewczyn, które bez wysiłku raz po raz okrążają lodowisko i nigdy nie wyglądają na zmarznięte. Albo wyglądają dobrze, będąc zmarznięte. Czuję się, jakbym siedziała na obrzeżu, popijając gorącą czekoladę przy bufecie, pocierając zimne ręce i podziwiając jej wdzięczne łuki i piruety. Chciałabym wiedzieć, jak ona to robi, czy to wrodzony talent, czy z dużą dozą samozaparciu można się tego nauczyć.

Reporterka z magazynu „Krażek!”, kobieta w naszym wieku o imieniu Deidre, którego nigdy nie umiałam wymówić, dyskutuje żywo z Marią i Henrym. Wygląda na to, że Deidre i Maria chodziły do tego samego fryzjera i obie zostawiły go z tego samego powodu. Ma to coś wspólnego ze zbyt mocnym odcieniem czerwieni.

Deidre mówi nam o świecie magazynów sportowych.

- Konkurujemy teraz z dwoma nowymi pismami na rynku, „Nowości hokejowe” i „Strzelec wyborowy”, ale oni nie dostali zaproszeń. Będę mieć materiał na wyłączność - oznajmia z dumą. - „Krażek!” poświęca dużo miejsca życiu rodzinnemu zawodników.

- „Strzelec” woli raczej zdjęcia krwi i bebeczków - mówi Henry, a Deidre kiwa głową.

- Lubią zbliżenia - dodaje Maria, zdumiewając mnie swoją znajomością magazynów hokejowych. Nigdy nie miałam żadnego w ręku. Może to dla mnie potencjalnie nowa ścieżka kariery zawodowej, tygodniki sportowe. Zwłaszcza jeśli zdjęcia ukazują takie rzeczy, jak zerwane wiązadła i operacje laserowe, z czym każdy redaktor techniczny wydawnictwa naukowego ma duże doświadczenie.

Hokeiści wychodzą na parkiet, jeden z nich tańczy tango z małą dziewczynką, trzymając ją bokiem, trochę jak kij hokejowy. Deidre robi notatki. Obserwuję matkę i Ronny'ego, którzy poruszają się wolno, własnym romantycznym rytmem; wyczuwam, że mogliby brylować na parkiecie, gdyby chcieli, ale nie chcą. Janie i Bucky podczas tańca rozmawiają cały czas z ożywieniem, przyciszonymi głó-

sami, nie interesując się gośćmi. Kiedy Maria i Henry zostawiają mnie, żeby trochę zaszałeć, podchodzi ojciec i prosi mnie do tańca. Jesteśmy mniej zgrani niż inni, zauważam z przykrością. Chyba wyobrażałam sobie, że to powinno być lekkie i gładkie wejście w rolę zapamiętaną z dawnych lat, taniec z tatą. Co nie znaczy, że się tym zamartwiam.

- Wygląda na to, że Janie nareszcie dobrnęła do mety - zauważam.

- Cieszę się, że tu jestem - mówi ojciec. - Wy, dziewczęta, wy obie - dodaje nieco zagadkowo i urywa na pozór w połowie zdania. Ale wiem, co chciał powiedzieć. Obserwujemy ludzi kręcących się wolno wokół nas, każda para obraca się w kółko, tancerz z małą dziewczynką przecina tłum przez środek, orkiestra kameralna gra melodię z ostatniego filmu Disneya.

Ojciec i ja uśmiechamy się do siebie i do par przepływających obok. Orkiestra zmienia repertuar i zaczyna grać klasyczną wersję starego przeboju Bette Midler. Nie przepadam za tym rodzajem muzyki, ale właśnie podchodzi do mnie jeden z hokeistów i zaprasza do tańca. Przedstawia się jako Beau i zgadzam się z nim zatańczyć, mimo że ma przeciętą szramą lewą brew i ręce wielkie jak baseballowe rękawice. A może zgadzam się właśnie dlatego.

Nadchodzi moment krojenia tortu, Janie i Bucky rozdają wszystkim po kawałku, a Deidre robi zdjęcia dla „Krażka!” Potem wszyscy hokeiści - „nasi chłopcy”, jak mówi Maria - prezentują Janie jej własną bluzę hokejową z numerem. Janie wciąga czerwono-granatową bluzę na suknię ślubną i pozuje do kolejnego zdjęcia, wyglądając zarazem sportowo i uroczyście. Coś mi mówi, że magazyn „Panna młoda” umieściłby to w rubryce *Nie należy*, jeśli mają taką rubrykę, jednak na Janie ten strój wygląda całkiem dobrze. Niemniej wprawiła mnie w podziw, przymierzając bluzę, i to nie tylko dlatego, że nie musnęła sobie przy tym włosów.

- Musisz przyznać - mówi Maria - że to całkiem nowy styl na wieczór.

Zawodnicy wręczają teraz Janie jej własny kij hokejowy, żeby - jak mówią - trzymała męża w ryzach. Janie podnosi go dumnie do góry, a my wszyscy klaszczemy.

Później w pokoju panny młodej mama i ja wcinamy po drugim kawałku tortu, a Janie przebiera się w kostium koloru kości słoniowej. Przychodzi mi do głowy, że można by napisać książkę o naszej trójce, o naszych doświadczeniach małżeńskich oraz przed - i pomałżeńskich: Mama, która doskonale się dziś bawiła w swojej roli - tańczyła co najmniej z dziesięcioma hokeistami - mówi, że pewno nadeszła pora na jakieś matczyne rady. Janie nastawia ucha.

- Najlepsze, co mogę ci dać, to brak rad. Nie mam najmniejszego zamiaru w nic się wtrącać.

- Tak, jasne - mruzę.

- Naprawdę - mówi mama. - Nie ma nic, co mogłabym powiedzieć, a co nie zostało napisane w tych wszystkich popularnych poradnikach psychologicznych. Chociaż nie mają racji, zwłaszcza te, które zwalają całą winę na matkę.

- Och, te - mówi Janie, przypinając sobie mały bukiet do paska. Potem chwyta swój kij hokejowy i większy bukiet ślubny.

- To wszystko, czego potrzebuje panna młoda - komentuje mama, patrząc na nią z podziwem.

Janie wyciąga rękę, oddając mi bukiet ślubny - ten symboliczny obiekt dla każdej niezamężnej kobiety na całym świecie - ale potrząsam głową tak gwałtownie, że czuję ból nad prawym uchem, który jednak zaraz mija.

- Nie każ mi go w ciebie rzucać - ostrzega mnie Janie, więc przyjmuję bukiet i wdycham głęboko jego zapach.

- Mam nadzieję, że wszystkie kobiety w tym pokoju będą bardzo szczęśliwe - mówi mama.

- Oczywiście, że będziemy szczęśliwe - stwierdza autorytatywnie Janie i w tym momencie jej wierzę.

Wyprowadza nas z pokoju, trzymając kij hokejowy gestem tamburmajora, a my bez wahania podążamy za nią.

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Ciało w ruchu

Może to myśli o Janie sprawiają, że słyszę muzykę marszową, coś w rodzaju wiodących dźwięków trąbki, jakie towarzyszą meczom albo paradom, z głośnym taktem wybijanym na brzęczących czynelach. Nawet kiedy nie myślę o niczym specjalnym, muzyka huczy mi w głowie i łapię się na tym, że do wtóru bębna stukam kciukiem o blat biurka. Muzyka mnie napędza, czuję się, jakbym maszerowała po Main Street, niekoniecznie wraz z tłumem za orkiestrą, niemniej równie silnie pchana do przodu. To trochę deprymujące, te wyimaginowane dźwięki, ale przynajmniej nie zaczęłam jeszcze nucić.

Pewno to jest przyczyną, że niespodziewanie dla siebie znajduję się na schodach budynku Science Press, zmierzając na wyżyny szóstego piętra. Tam urzędują ci, którzy mają faktyczną - i z pewnością nieco przez nas wyolbrzymioną - władzę, kontrolę nad naszą przyszłością. Korytarz wygląda zdumiewająco podobnie do naszego, piętro niżej. Większość redaktorów technicznych nie zapuszcza się tu na górę, czasem tylko by skorzystać z toalety lub podkraść kilka papierowych kubków, kiedy nam zabraknie. Choć przyznaję, że robimy to zwykle pod koniec dnia, gdy kierownictwa już nie ma. Przemykam obok jednego z biur i słyszę ciche dźwięki muzyki klasycznej - wygląda na to, że nie zwracają tu sobie głowy noszeniem słuchawek, choć jak zauważam, dbają o zamykanie drzwi. Chopin musi się przeciskać przez szparę pod spodem.

Za wpółotwartymi drzwiami, które mnie najbardziej interesują, siedzi za biurkiem mężczyzna po czterdziestce, jak sędzę, choć nie jestem zbyt dobra w zgadywaniu wieku. Ma posiwiałe skronie. Jest przystojny i chowa się za cukierkowymi czerwonymi okularami, chociaż nie jestem pewna, czy „chowa się” to właściwe określenie, zważywszy na jaskrawy i apetyczny kolor czerwieni. Nie przypominam sobie, czy go już kiedyś widziałam, ale tabliczka na drzwiach głosi:

PATRICK MCCORKLE, WICEPREZES.

Mężczyzna wpatruje się w komputer z wyrazem takiej błogości, jakiej nie widziałam na twarzy nikogo w tym budynku. Lubię swoją pracę, lecz jego uczucia muszą być o parę stopni gorętsze. Pukam, ale mnie nie słyszy, więc wchodzę cicho. Mam nadzieję, że on patrzy na jedną z naszych nowo nabytych książek, tak wyśmienitą, że wprawi w bógostan każdego, kto na nią spojrzy, a ja dostanę ją do opracowania, jeśli nadal będę tu pracować. Możliwe, oczywiście, że wiceprezes gra po prostu w grę komputerową, ale staram się czym prędzej wyrzucić tę myśl z głowy.

Szuram nogami i wykonuję coś w rodzaju przytupu, głównie dla zrobienia hałasu. Patrick podnosi na mnie wzrok, nie zmieniając rozanielonego wyrazu twarzy.

- Witam, Holly Philips - mówi, wprawiając mnie w osłupienie, jakbym właśnie wpadła na wysokiego rangą urzędnika państwowego, który zna moje nazwisko, a może i coś bardziej osobistego, jak wagę.

- Dzień dobry, panie McCorkle - bąkam i brnę dalej, zachęcona jego półuśmiechem. - Przyszłam się dowiedzieć czegoś więcej o naszej przeprowadzce, o... hm... nowym wydawnictwie. - Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnego planu tej rozmowy i nadal słyszę brzęk czyneli w uszach, nie mówiąc o dźwięku dochodzącym z głębi żołądka, który brzmi nieco jak tuba.

Patrick McCorkle kiwa głową.

- Rozumiem. Wszyscy musicie być ciekawi. To całkiem naturalne, oczywiście.

- Oczywiście - powtarzam. - Oraz chciałam powiedzieć, jak bardzo cenię sobie tę pracę...

- Redaktor techniczny, tak... - mówi Patrick, odpływając gdzieś myślami. Po chwili wraca. - Jesteś w dziale Monique. Pracowaliśmy kiedyś razem jako redaktorzy techniczni.

- Naprawdę?

- Och, lata temu. To były czasy. - Znów wbija wzrok w ekran, a potem naciska jakiś klawisz z prawdziwym, jak mi się wydaje, uczuciem. Nie bardzo potrafię wyobrazić go sobie w symbiozie z Monique, ale z drugiej strony doskonale wyobrażam sobie, jak ona bezlitośnie go dręczy. Może to się przyczyniło do jego spokoju. Może teraz czuje bezgraniczną ulgę.

- Twoja współpraca z Monique układa się całkiem dobrze, jak słyszę - ciągnie.

- Jasne - mówię i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to niezbyt profesjonalnie.

- Jesteś tu cenionym pracownikiem - dodaje Patrick - ogólnie rzecz biorąc.

Mimo jego miłego uśmiechu, słowa „ogólnie rzecz biorąc” wprawiają mnie w panikę, jako że zwykle następują po nich jakieś zastrzeżenia. Ale jednocześnie popychają mnie do przodu, jakby ktoś stanął mi zniecacka za plecami i dmuchnął strumieniem powietrza z suszarki we włosy, co zresztą Monique niejednokrotnie robiła w damskiej toalecie.

- Jeśli chodzi o tę notatkę - zaczynam, mając na myśli pismo, jakie Sondra, kierowniczka działu korekty, rozesłała na mój temat, skarżąc się, że nie okazuję szacunku przełożonym, czy coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnie, jak to ujęła.

- Jaką notatkę? - pyta, splatając ręce na biurku.

- Od Sondry, na temat naszego spotkania dotyczącego nowych reguł współpracy między redaktorami technicznymi a korektą. Wie pan, tych reguł, które co roku niepotrzebnie się zmieniają?

Patrzy na mnie, jakby nie całkiem rozumiał, a może tylko udaje, że nie rozumie - skąd mogę wiedzieć? Kładzie jedną rękę na klawiaturze, pocierając ją palcem. Jestem pewna, że najchętniej wsadziłby nos z powrotem w ekran, gdybym nie stała mu nad głową.

- Wie pan, Sondra? - powtarzam, kładąc nacisk na imię.

Kiwa wolno głową ale uśmiech nie znika mu z twarzy, co mnie trochę niepokoi. Może są za-przyjaźnieni? Może uwiodły go jej lawendowe perfumy? Po prostu nie wie się takich rzeczy, kiedy się pierwszy raz wkracza do czyjegoś gabinetu.

- Notatka... - mówi. - Dostajemy mnóstwo służbowych notatek.

Wstaje i podchodzi do bardzo eleganckiego segregatora, który może być z mahoni, ale nie je- stem pewna. W każdym razie nie jest to jeden z tych szarych, metalowych regałów, jakie mamy na dole. Zatrzymuje się i kładzie na nim obie ręce, jakby mierzył mu temperaturę albo odczytywał jego zawartość za pomocą dotyku. Z sąsiedniego gabinetu dobiega nas muzyka Chopina, kuszące dźwięki lekko płynące z fortepianu.

Patrick wyciąga parę teczek. Na tej górnej zauważam moje nazwisko, gdy kładzie resztę wierz- chem do dołu na biurku. Zaczyna przeglądać moją teczkę, poczynając od tyłu.

- Hm... - chrząka i patrzy na mnie.

- Chciałabym zostać w naszym wydawnictwie, to znaczy zachować pracę w tym nowym miej- scu - mówię. - Każdy, cóż, każdy prócz Sondry, może zaświadczyć, że należycie wywiązywałam się ze swoich obowiązków przez ostatnie dziewięć lat. Ta notatka jest... - Przez chwilę brak mi słów. - Chcia- łabym wytłumaczyć... Ta notatka nie mówi prawdy.

Patrick znów się uśmiecha.

- Chyba jej tu nie widzę - oznajmia.

- Och... - Jestem zaskoczona. - Cóż, może tym lepiej.

Wydaje mi się, że czuję pulsowanie w kciukach, ale może to dobrze. Może to znaczy, że krew zaczyna znów krążyć w moich rękach. Nie jestem pewna.

- Naturalnie - dodaje Patrick - nasi redaktorzy techniczni zawsze są tu mile widziani. Cieszę się bardzo, że przyszłaś z wizytą.

- Dziękuję, było miło - bąkam i zaczynam się wycofywać z pokoju.

Patrick macha mi lekko na pożegnanie, jest to ten rodzaj uniesienia dłoni bez ruszania palcami, jaki do perfekcji opanowały królowe piękności i politycy. Potem widzę, że odwraca się do niszczarki i wkłada do niej kawałek papieru. Papier wychodzi w równo pociętych kawałkach. Bierze następną teczkę, wyjmując kolejny arkusz, uśmiecha się w moją stronę i kontynuuje proces niszczenia.

Zostawiam szóste piętro i schodzę z powrotem na piąte, z jego przyziemnym zapachem palonej kawy, dochodzącym z kuchni, łomotem wózków z pocztą wpadających na regały (ci roznosiciele nig- dy nie potrafią porządnie wziąć zakrętu) i odgłosami szarpaniny z oknem, które zawsze się zacina, aż w końcu ustępuje, skrzypiąc przeraźliwie.

Parę tygodni później siedzę w moim nowym boksie w Whatsit Press, nieco elegantszej wersji dawnego miejsca pracy. Ścianka działowa jest wybita jasnoniebieskim materiałem, grubym i miękkim, który aż się prosi, żeby go pogłaskać. Moje stołki doजारek stoją pod jedną ze ścian, ale mam także

krzesło obrotowe dla gościa, w zachęcającym, żółtym kolorze. Nie tylko nie straciłam pracy w Science Press, jak się obawiałam, ale zostałam awansowana na drugą kierowniczkę działu, obok Monique. Mam nadzieję, że moja wizyta u Patricka McCorkle'a grała w tym pewną rolę. Wspomniałam o niej później tego dnia Monique, ale powiedziała tylko: „Ach, Patrick”, na swój zagadkowy sposób, a potem podniosła brwi i głęboko westchnęła. Mogło to znaczyć, że mieli coś w rodzaju biurowego romansu albo że zamknęła go na noc w windzie towarowej. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z moim nowym stanowiskiem, ale wiem, która z tych wersji bardziej mi się podoba.

Wdrożyliśmy tu płynnie rytm produkcji wydawniczej, który nam odpowiada. Wraz z nami wielkiego skoku do śródmieścia ze starego budynku w Greenwich Village dokonało wielu innych redaktorów i grafików, doszło też kilkunastu nowych. Kilkoro z nas nadal zastanawia się, czy Whatsit Press to dostatecznie szacowna nazwa dla wydawnictwa, ale trzymamy to dla siebie.

Nina, Tom i paru innych nadal pracują pod kierownictwem Monique, ale ma też grono nowych, młodych pracowników, którzy dopiero się do niej przyzwyczajają.

- Lubię, jak są młodzi - mówi Monique. - Przestraszeni. Trzęsący się. Jak będą niegrzeczni, każę im siedzieć w kącie na jednym z twoich stołków.

Mnie samej dostała się świeża drużyna, dziewięciu nowych redaktorów technicznych, których mogę nazwać moim własnym zespołem. Mam pomóc im poznać krok po kroku etapy produkcji i nadzorować każdy projekt. Jednak sama nadal też opracowuję książki.

- Ale masz teraz pierwszeństwo wyboru - zwraca mi uwagę Monique.

- Postaram się być sprawiedliwa i nie dawać sobie wszystkich najlepszych książek.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć - mówi Monique, potrząsając głową i wprawiając w ruch żółte krzesło obrotowe przed wyjściem.

Jej własny boks jest wybity na zielono, nie tym ohydny, jasnym odcieniem, ale głębokim, nasyconym kolorem, który budzi respekt. W narożnej ścianie za biurkiem zaczęła już robić kolaż z fotografii, który z daleka wygląda jak abstrakcyjne dzieło sztuki, ale po bliższym wejrzeniu okazuje się zbiorem zdjęć organów wewnętrznych w różnych stadiach choroby. Nikt nie ma ochoty podchodzić zbyt blisko, co - jak sędzę - było głównym celem Monique.

Kierowanie zespołem jest dla mnie czymś nowym. Chłopak Marii, Henry, też awansował ostatnio w Transporcie Miejskim i według jej słów: „Rządzi teraz innymi facetami w pomarańczowych kombinezonach”. Spotykamy się często w trójkę i rozmawiamy o tym, co należy robić, by dobrze współżyć z ludźmi, jak powiedziałyby moją matka. Albo by ludzie robili to, co chcemy, jak powiedziałyby Janie. Maria, młodsza farmaceutka, już współpracuje z innymi, jako że uważa swoje klientki - te starsze panie, które przynoszą jej domowe wypieki i wyhodowane przez siebie zioła - za swoje współpracownice. Twierdzi, że ich zdrowie zależy w równym stopniu, jeśli nie w większym, od nich samych.

- Trzeba z nimi współdziałać - mówi o swojej wiernej klienteli. - Narzucić im aktywną rolę. Trzeba słuchać.

Henry i ja kiwamy głowami. Słuchamy i jesteśmy gotowi słuchać uważniej. Jej rady wydają mi się sensowne. Uświadamiam sobie, że wprawdzie będę teraz rzadziej nosić walkmana w pracy, ale w pewien sposób będę słyszeć więcej.

Nasz nowoczesny dział redakcyjny - nadal jesteśmy wszyscy na jednym otwartym piętrze, sąsiadując ze sobą - ma domową atmosferę i łukowe okna, z których jedno znajduje się naprzeciwko mojego biurka. Ale zostaliśmy pozbawieni niektórych dawnych źródeł rozrywki. Carl, nasz główny plotkarz i animator poczty pantoflowej, odszedł do konkurencyjnego wydawnictwa. Jak się okazało - ku powszechnemu zdumieniu - sypiał z Sondrą, tym fioletowym cudem, kierowniczką działu korekty i kobietą, która napisała o mnie jadowitą notatkę. Sondra została w końcu zwolniona na zebraniu po godzinach, w którym nikt z nas nie uczestniczył. Podobno zerwała fioletową tapetę ze swoich ścian. Korektorzy świętowali to całe tygodnie i jeszcze teraz wydają od czasu do czasu radosne okrzyki, po prostu dla przypomnienia sobie, jacy są szczęśliwi.

Ale mimo wszystko, Carl i Sondra? Nawet pomijając różnicę wieku i jego niejasny stosunek do kobiet, to nieco dziwne.

- Obrzydliwe - mówi Monique.

- Ponieważ jest o tyle starsza?

- Ponieważ to Carl. Pewnych rzeczy lepiej sobie nie wyobrażać - odpowiada, przypinając nowe zdjęcie do ściany.

- Ciekawe, czy miała fioletowe prześcieradła - mówię do Niny.

- Bałam się jej - przyznaje Nina. - Ale może mężczyźni czują inaczej.

- Nie - zaprzecza Tom. - Ja też się jej bałam. To nie ma nic wspólnego z płcią. Raczej z lizusostwem.

- Można by się spodziewać - wtrąca Monique - że w tych okolicznościach Carl powinien chociaż mieć prawdziwsze plotki.

- Musiał czytać ukradkiem nieaktualne notatki - wyraża przypuszczenie Tom.

Tak czy owak, Carla i Sondry już nie ma, podobnie jak naszej wiceprezes do spraw produkcji, Cheryl, mojej ulubienicy. Wydawnictwo Whatsit Press skasowało etaty wszystkich wiceprezesów, łącznie z paroma VIP-ami, których nigdy nie poznałam osobiście, ale żał mi, że Cheryl odeszła. Pożegnała się z nami w typowy dla niej sposób. Ostatniego dnia zeszła do naszej starej redakcji i odśpiewała: *So long, Farewell, Auf Wiedersehen, Good-bye* z musicalu *The Sound of Music*. Kilku redaktorów technicznych wykonywało wraz z nią układ choreograficzny rąk. Urządziliśmy jej owację na stojąco, i to nie tylko dlatego, że czysto wzięła wysokie nuty na końcu.

Nowe kierownictwo zachęca nas, żebyśmy w pełni korzystali z przerwy na lunch, co się akurat dobrze składa, bo jesteśmy w samym środku przyjęcia, wydanego dla nas przez naszą ulubioną stację rockową. Nina wygrała jeden z konkursów na „lunch dla około trzydziestu współpracowników” i stacja zafundowała nam ogromny bufet. Tamtejszy didżej okupuje kąt naszej sali, gawędząc z co śmielszymi, czy też bardziej przyjacielskimi redaktorkami. Monique nie jest jedną z nich.

Stoimy przy stole z jedzeniem, który ciągnie się przez całą długość ściany - prawdziwej ściany, nie ścianki działowej. Wszyscy mamy równy dostęp do przekąsek, które stanowią wybór specjalności z całego świata (choć w większości z naszej dawnej ulubionej knajpki, The Jelly Deli). Bajgle, sery, pierożki chińskie, kluseczki, pizza, małe klopsiki, falafele, wszystko co chcesz. Dla każdego coś miłego.

- Wszyscy się pochorujemy - mruczy Monique za moimi plecami, a w tle rozbrzmiewają stare rockowe przeboje.

- Dyrekcja nalega, żebyś zjadła przynajmniej bajgla - mówię.

- Nikt mnie nie uprzedzał, że będę tu musiała uczestniczyć w przyjęciach - narzeka na swój zgryźliwy, ironiczny sposób, który stał mi się bliski.

- Sprawdź w regulaminie obowiązków pracowniczych, paragraf czwarty.

Monique ogląda bufet.

- To wygląda, jakby ktoś nie mógł się zdecydować, co podać.

- Ktoś z mnóstwem kasy - dodaję. - A poza tym, to podstawowy przyjęciowy zestaw. Co byś podała, gdybyś urządziła przyjęcie?

Monique podnosi brew.

- Rzeczy nierekomendowane przez regulamin - szepcze. Bierze bajgla i trochę wędzonego łososa. - Idę teraz postraszyć tego didżeja.

Didżej, którego codziennie słuchamy i znamy jako Rona Ronsona - choć podejrzewamy, że to pseudonim - jest o wiele schludniejszy, niż można oczekiwać po kimś, kto puszcza tyle starego rock and rolla. Kiedy się śmieje, odrzuca w tył głowę i trzyma ją chwilę w tej pozycji, jakby go bolała.

- Wydaje mi się, że Monique chce spróbować go poderwać - mówi Nina.

- Na swój sposób - zgadzam się. Ten pomysł mi się podoba.

Na prośbę Rona Ronsona Nina włożyła na swoje ubranie T-shirt z napisem: ROCK'N'ROLL NEVER 4-GETS, który jest częścią jej wygranej. Jest nieco skrępowana tym, że znajduje się w centrum uwagi, ale wyznaje mi po cichu, że chińskie pierożki są jej ulubionym smakołykiem. Używa słowa „smakołyk”, a potem bierze talerzyk pierożków na swoje biurko, gdzie ktoś zostawił duży napis: Już jesteś zwycięzcą! To z pewnością dzieło działu graficznego, nikt nie ceni tak darmowego poczęstunku, jak nasi graficy.

Parę osób zaczyna tańczyć w sali pod serpentynami, które Jan znalazła w swoim biurku po czy-
imś przyjęciu urodzinowym. Serpenty są pokryte króliczkami „Playboya”, ale nikomu to nie prze-
szkadza. Widzę, że Tom prosi Ninę do tańca i zastanawiam się, czy powinnam udawać, że tego nie
widzę albo wykazać jakąś reakcję. W każdym razie nie jestem zdziwiona. Zdążyłam już zauważyć, że
na honorowym miejscu jej biurka stoi piękny łabędź origami. Uśmiecham się na tę myśl. Nic jeszcze
nie zostało powiedziane, ale spójrzmy prawdzie w oczy: łabędź to łabędź.

- Co za para - mówi do mnie Monique, patrząc na Toma i Ninę.

Nie zauważyłam, że wróciła.

- Wydaje mi się, że to miłe. Nawet bardzo.

- Jasne - potwierdza cierpko. - Miłe jak film Disneya.

- Co powiedziałaś didżejowi?

- Lepiej nie pytaj.

- No dalej, oświeć mnie.

- Uważam, że jest nieco za stary, żeby puszczać płyty w pokoju z serpentynami w króliczki.

- Zapewne.

- Z drugiej strony, może właśnie to mi się w nim podoba - dodaje.

Próbuję unieść brwi. Jeszcze mi to nie bardzo wychodzi, ale jestem na dobrej drodze.

- Może byś poprosiła Matta do tańca? - sugeruje Monique.

- Od kiedy zajmujesz się aranżowaniem par tanecznych?

- To należy do moich nowych obowiązków służbowych.

- Nie jesteś już moją szefową, zapomniałaś?

- Zawsze będę twoją szefową - odpowiada i pokazuje na Matta. Staram się zasłonić jej rękę, że-
by nikt nie zauważył.

Matt, nowy redaktor techniczny w moim zespole, kończy opracowywać dla mnie kolejną książ-
kę z serii *Brzuch*. Przeprowadzałam z nim rozmowę kwalifikacyjną - to moje pierwsze takie doświad-
czenie - i czułam, że nawiązaliśmy kontakt, co jest ważne między zwierzchniczką a jej nowym pra-
cownikiem. Spodobał mi się też jego bezpośredni sposób bycia, jakby znał mnie całe życie, ale nie
wspominałam o tym w swojej opinii.

- Gdybym go poprosiła do tańca - mówię do Monique - to byłoby molestowanie seksualne.

- Za dużo czytasz.

- A gdyby on mnie poprosił, to też byłoby molestowanie seksualne. - Postawiłam się w interesu-
jącym, choć smutnym, podwójnie trudnym położeniu.

Monique pokazuje na tańczących Toma i Ninę.

- Zauważ, postacie z Disneya nie poddają się takim towarzysko-politycznym naciskom.

- Przyjemnie jest żyć w animowanym świecie.

Właśnie w tej chwili podchodzi Matt.

- Pamiętaj, jest nowy. Bądź miła - szepcze do mnie Monique, po czym odwraca się do niego i mówi: - Masz resztki kroieta na koszuli.

To prawda, ale to tylko mały okruszek. Matt ściera go kciukiem i wzrusza ramionami.

- Chodź zatańczyć - mówi do mnie po prostu.

- Nie mogę tańczyć, jestem teraz kierowniczką - odpowiadam.

- To tylko znaczy, że nie powinnaś tańczyć wolnych tańców - wtrąca Monique.

- Może nigdy nie powinnam.

- To przyjęcie z lat sześćdziesiątych - mówi Matt. - Chodź, pora się zbuntować.

- Och... - Patrzę na śmiejącego się Matta. - No więc, dobrze.

Tańczymy w rytmie, który nie sprzyja trawieniu, ale takie okazje zdarzają się na tyle rzadko, że warto narazić się na niedyspozycje żołądka. To mój pierwszy taniec jako szefowej redakcji technicznej i chyba idzie nam całkiem nieźle. Przypominają mi się potańcówki w liceum, południowe tańce w deszczowe dni, improwizowane zabawy w auli, gdzie podłoga robiła się lepka i śliska od deszczu, okna zaparowały i nigdy nie tańczyło się z tym, z kim by się chciało. Pomijając króliczki „Playboya” na serpentynach, dzisiejsza impreza stanowi znaczny postęp, pod każdym względem.

- Lato to odpowiednia pora, by pewność siebie zatriumfowała nad poczuciem zagubienia i wprawiła ciało w ruch - wita mnie Roy, nasz były goniec, kiedy wychodzę z redakcji.

- Cześć, Roy. Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Idziesz sprężystym krokiem - wyjaśnia Roy.

To coś nowego. Oglądam się za siebie, jakbym chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie przewróciłam czegoś, wychodząc z budynku.

- Dzięki - mówię.

Roy przyszedł spotkać się z Tomem, Mattem i paroma innymi, którzy wybierają się pograć w koszykówkę na jakimś boisku. Ponieważ to dobrze wychowani, taktowni młodzi ludzie, zaproponowali, żebym z nimi zagrała, ale nie lubię asfaltu, i to nie tylko dlatego, że jestem kobietą, jak sędzę.

- Jak leci, Roy?

Roy zdecydował się w końcu wrócić na studia, gdzie z pewnością wprowadzi nieco zamieszania. Mówi, że będzie do nas wpadał „po duchowe i emocjonalne wsparcie” i brzmi to całkiem poważnie.

- W porządku. Życie to nierozwiązywalna zagadka, ale nie bez powodu.

- Mogłabym poznać ten powód?

- Poznasz go tylko poprzez zrozumienie, poprzez przeżycie. Jesteśmy stworzeni, by się gubić w domysłach.

Gubię się w domysłach całą drogę do domu.

Kiedy otwieram drzwi, dzwoni telefon, więc rzucam torbę w przedpokoju i spieszę się go odebrać. Automatyczne sekretarki nie wpłynęły na zmianę mojego zachowania w tym względzie. Ścigam się teraz z maszyną, kto pierwszy odpowie, choć zwykle nie mam w sobie ducha rywalizacji.

- Halo, kochanie. - To moja matka.

- Cześć, mamó - mówię, opadając na kanapę i spoglądając na moją pobitą sekretarkę automatyczną patrzącą na mnie gniewnie z kąta czerwonym światłem.

- Dzwonię, żeby przypomnieć ci o wycieczce z Ronnym.

Ronny od dawna planował wspólną wyprawę na ryby. Chociaż muszę przyznać, że samo wędkowanie niezbyt mnie pociąga, podobnie jak Janie.

- Kupiliśmy tobie i twojej siostrze kalosze w L.L. Bean - dodaje mama. - Niestety nie są zbyt atrakcyjne.

- Nie szkodzi - uspokajam ją. - Mam nadzieję, że ryby nie będą oceniać nas nazbyt krytycznie.

Maria i Henry też się z nami wybierają i, jak się okazuje, Maria ma już parę kaloszy do wędkowania. To coś, czego nie wiedziałam o mojej najlepszej przyjaciółce. Albo pożyczyła je od jednego ze swoich pięciu braci, albo wiedzie sekretne życie jako poławiacz krabów. Muszę ją o to wypytać.

- Cóż - ciągnie mama - nie ma nic złego w małym spotkaniu rodzinnym, pod warunkiem, że nie będę musiała walić żadnej ryby po głowie.

- Ani śpiewać. Nie będziemy siedzieć wokół ogniska i śpiewać, prawda?

- Obawiam się, że Ronny zna parę rybackich piosenek - przyznaje mama z westchnieniem. - Chociaż niektóre z nich są całkiem sprośne - ożywia się.

Zaczyna mnie ciekawić, jak to będzie wyglądać: nasza powiększona rodzina siedząca w kółko i śpiewająca jednoznacznie seksualne piosenki o rybach. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić ten obrazek, ale ma on pewien urok. A może po prostu jestem zmęczona.

- Idź już lepiej zjedz kolację, kochanie - kończy mama. - I nie żałuj sobie warzyw, nie, żebyś się wtrącała, oczywiście.

- Oczywiście.

- To tylko prosta dietetyczna rada, jaką da ci każdy, nawet byle poradnik. Taki, który dba o twoje zdrowie, naturalnie.

Odgrzewam sobie gotowe chińskie danie, złożone z warzyw i kawałków kurczaka, które smakuje nieźle, ale wygląda nieapetycznie i brejowato. Nie jest to rodzaj potrawy, który podałyby się gościom.

Kupiłam nowy materiał na zasłony, jako że te, które zaczęłam szyć całe miesiące temu, nigdy nie zostały ukończone. Mogłabym pewno rozpruć pozaciągane szwy, uprać całość i uprasować, ale z jakichś powodów chcę zacząć wszystko od nowa. Poza tym, nie lubię prasować.

Nowy materiał przypomina mi idealnie niebieskie niebo w jesienny dzień, w taki dzień, który zdarza się tylko dwa albo trzy razy w roku. To ten rodzaj błękitu, który każe ci wyjść z domu, nawet jeśli nie masz nic czystego do włożenia, bo wiesz, że pod takim niebem poprawi ci się samopoczucie. To ten rodzaj błękitu, który działa zawsze.

Wyciągam starego singera i zabieram się do roboty, uważając, żeby nie pobrudzić tkaniny moim niskosodowym sosem sojowym z kolacji. Szyję, słuchając Specjalnej wiązanki starych przebojów, zmontowanej przez Rona Ronsona, który zwykle prowadzi tylko audycjeienne. Dziś wieczorem puszcza piosenki, które mają te same słowa na końcu i na początku, tak że kiedy jedna kończy się słowem „*baby*”, następna to podchwytuje. Zastanawiam się, jak długo montował ten materiał i kim trzeba być, żeby w ogóle poświęcać temu tyle czasu. Chociaż muszę przyznać, że ja sama chętnie zrealizowałabym taki projekt.

Kiedy kończy się długa wiązanka piosenek ze słowem „*yeah*” - co uważam za lekkie oszustwo, ponieważ moim zdaniem „*yeah*” nie zalicza się do prawdziwych słów - ja też dobiegam do końca szycia, w każdym razie tej pary zasłon. Podnoszę je w górę - szwy biegną mniej więcej równo, a zasłony nie są przyszyte do siebie ani do niczego, co mam na sobie. Zawieszam je na drewnianym drążku i widzę, że tu i ówdzie układają się w miłe dla oka fałdy - wyraźnie wiedzą, o co mi chodzi, wiedzą, jak się udrapować. Są odpowiednio długie i odpowiednio szerokie. To prawda, jest jeszcze drugie okno, którym należy się zająć, okno po lewej, zaniedbane teraz, nieco nagie i wyczekujące. Ale to sprawa drugorzędna. Najważniejsze, że mam jedną parę zasłon i cierpliwie czekające drugie okno, którego kolej też nadejdzie, chociaż nie dzisiaj i zapewne nie w przyszłym tygodniu, ale kiedyś, prędzej czy później.

Przyjdzie i na to czas.

